ŻYWOT I SPRAWY

JPana Medarda z Gołczwi

PEŁKI.

ŻYWOT I SPRAWY

JMPana Medarda z Gołczwi

PEŁKI

Z NOTAT FAMILIJNYCH SPISANE

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Tom I.

WARSZAWA.
GEBETHNER i WOLFF.

1876.

Дозволено Цензурою
Варшава 17 Сентября 1875 г.

Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

Jedna z najmilszych i najpiękniejszych stron kraju — to Lubelskie. Żyzne, krasne, ożywione, zamożne, zasiedlone od dawna, a szlachtę rodziło krzepką i zdrową... nie ustępującą sandomierskiéj, tak jak pszenica lubelska sandomierce nie ustępowała. Było tu i możnych dosyć, i miernego majątku siła, a ubogich prawie nic... Ludzie żyli na starych gniazdach długo i nie wychodzili z nich tak łatwo jak gdzieindziéj, bo tu ziemią frymarczyć naówczas nie było we zwyczaju, i gdy Firlejowie raz niezamożnemu szlachcicowi chcieli w dwójnasób jego ojcowiznę zapłacić, byle im jéj ustąpił, uśmiechnął się tylko kręcąc wąsa i rzekł: Gdybyście mi za mój folwarczek księztwo w Niemczech dali — nie weźmiecie go...

Jakoż przy nim i on i następcy jego pozostali. Inne téż rody wiodły się tu ód prapradziadów na swoich zagonach, i jakoś im Pan Bóg błogosławił. Działo się różnie, czasem i głodu przycierpieć mu-

1*

siano, i biedy zażyć, i u żyda się zapożyczyć — a przecież, jak rok, dwa dobre przyszły i posypało pszeniczką złotą, spłaciło się grzechy, a jeszcze coś do sepeta na czarną godzinę wrzucono.

Mało kto znał Pełków z Gołczwi, a to była stara szlachta tutejsza, poczciwości i serca jakich mało. Całemu tu światu naszemu wiadomo, że Pełków u nas różnych po województwach i ziemiach, zwłaszcza w Koronie, siła zawsze bywała wielka, od najdawniejszych czasów — atoli Pełkowie Pełkom nierówni. Nikomu nie uwłaczając (boć szlachectwa na funty nie ważą) — choć o tych Pełkach niewiele pisano, choć siedzieli w kącie cicho, żadenby z nich na inne imię i ród choćby z dodatkiem się nie mieniał.

Byli — jak to z herbarzów i grobowców widać i z nagrobnych chorągwi — Pełkowie Radwany w Sanockiém, dobrze skoligaceni i dostatni a poważni ludzie, statyści wielcy; inni na Rusi herbu Mieszaniec, niepoślednia szlachta, z których jeden marszałkowstwo koronne wielkie dzierżył; byli i na Szlązku Pełkowie wywędrowawszy z Polski, a ci się Kaniową alias Jastrzębcem pieczętowali; byli jeszcze inni herbu Lis, a może i drudzy, o których wieść nie doszła. Ci zaś, o których tu mowa, z Gołczwi i na Gołczwi piszący się, mieli w herbie Janinę czyli Tarczę, a byli z Sobieskimi dzielnicy jednéj tylko imienia różnego. Od kiedy na Gołczwi siedzieli, samemu Panu Bogu wiadomo — nie zapamiętał nikt... Każdy to wie, że rodem kury czu-

bate i gniazdami téż szła szlachta, choć czasem i ona, z pozwoleniem, parszywiała... a no, rzadko. Jedni słynęli z urody, drudzy z męztwa, owi z rozumu, z siły, z gorącéj krwi i serdecznéj kompleksyi — i szło to z ojca na syna, równie może krwią jak i przykładem... O Pełkach téż można było powiedzieć, że tu się żaden nie wyrodził. Słynęli szeroko między swymi z humoru i fantazyi, odwagi wielkiéj, przytomności umysłu, cierpliwości na wszelką złą dolę, a wytrwałości prawie żelaznéj. Żaden się z nich niepoczciwością nie zmazał, dla grosza duszy nie sprzedał, ani się w chomąto zaprzągł dla białego chleba. Żyli na małém przestając, ale panami u siebie doma, nie dworowali chętnie jak drudzy, ani się o urzędy i łaski ubiegali. Dla tego téż, choć ród był stary, zacny, szanowany, nie podrośli jako inni co kark mieli giętki — na majętności, starostwa, królewszczyzny, arendy, kaduki nie polując. Żaden z nich nie wisiał u dworu, ani się klamki pańskiéj chciał trzymać — wołał skobel drewniany doma. Butę im przypisywano wielką, — a pewna rzecz, iż nosili się ubogo, chędogo, poważnie i niewiele drugim chcieli być winni — wszystko sobie. Jednym się to wydawało dumą, drugim zacnością, sądzili ludzie różnie — ale Pełkowie na sumieniu byli czyści, a to grunt.

Rodzina była, jakeśmy już mówili, stara, dawniéj o wiele możniejsza, potém już na małym kawałku ziemi, ale serca wielkiego. Niebardzo roz-

rodzeni, najczęściéj po jednemu u ojców lub po dwóch, rycerskiém rzemiosłem a gospodarką się parali. Żaden z nich pieniaczem ani palestrantem nie był, a procesami brzydzili się jak zarazą.

Gołczwia, naówczas była wieś dobra, ale z Gołczwianką razem, najwyżéj je ceniąc, ledwie mierną szlachecką fortunką nazwać się mogła. Nie brakło nic, bo był i las porządny, i łąk podostatkiem, i ziemia pszenna i stawek, i rzeczka, a no tego wszystkiego po troszeczku.

Dwór na wzgórzu nad wioską panujący, pozostał z bardzo dawnych czasów, a za panowania Jana Kazimierzowego, gdy się to działo, co opowiadać mamy — był już dobrze stary. Ale że go obyczajem powszechnym nie ze drzewa stawiono, ale z muru, i mocnego, choć się odrapał, krzepko trzymał... Przybudówki tylko z tyłu dawano drewniane. Dziedziniec pono z czasów napadów tatarskich był osypany wałem do koła, już obrosłym krzewami i drzewy. Był może kiedy i most zwodzony na fossie, ale z tego i z bramy murowanéj u wjazdu tylko ślady pozostały...

Ze dworu, wszedłszy na wał, a spojrzawszy na okół, miało się czém uradować oko: kraj było widać ogromny, rozległy, wesoły... zielone smugi, srebrne rzeczki, ciemne lasy — dwory, wioski, kościołki... cały światek jakby malowany... Nieopodal od dworu rozłożona była wieś w zielonych sadach, chaty porządne, stodoły wielkie... a gdy wieczorem do niéj

stado pędzono, dziwić się musiał każdy i liczbie jego, i urodzie... Żadna się wieś okoliczna takiém pochlubić nie mogła.

W téj chwili wszakże, mimo pięknego dnia, mniéj tu było wesoło niż zwykle, choć bardzo ruchawo. Po wszystkich gościńcach, wsiach i około dworów snuło się mnóstwo konnych, szlachty i czeladzi, i pacholików. Szły wozy skórami pookrywane, prowadzono konie w kulbakach i dekach, jezdni uwijali się z posyłkami, a tu i owdzie z rusznic palono, jakby dla wypróbowania. Około Gołczwi téż nie mniejszy był zachód i bieganina... W podwórzu ludzie robili coś około wozu, między folwarkiem a dworem biegała służba pośpiesznie, na ganku pokazywały się na chwilę kobiety i nikły... Czasami wysunął się na próg mężczyzna młody, pięknéj postawy, już jakby po podróżnemu ubrany, huknął na ludzi i zniknął.

Słońce się miało ku zachodowi... Widoczném było, że na wieczór zamierzał gospodarz wyruszyć, ale dotąd wiele było niegotowego i próżno do pośpiechu naglono. Była jakby zmowa czy spisek między ludźmi, aby się nic w porę nie znalazło i nie zrobiło. W ostatniéj godzinie parę koni okazała się potrzeba przekuć, ruszył po kowala stajenny, nie było go w kuźni, ba! i ona stała zamknięta. Kowala sobie sąsiedzi rozrywali, bo każdy chciał mieć konie dobrze podkute i niezagwożdżone... a tu słońce tuż miało się za lasy spuścić.

Tak wyglądało w dziedzińcu, cóż dopiero w domu! W starym dworze pośrodkiem szła, wedle dawnego obyczaju, sień przestronna, z kominem, u któregoby się i dwudziestu ludzi wygodnie zagrzać mogło. Tu już pełno było węzełków podróżnych, na niéj leżącéj broni i rynsztunku...

W lewo, w izbie gościnnéj sklepionéj, jejmość pani wojska Pełkowa przyszywała szkaplerze do jedwabnego sznurka, córka jéj Teressa na nizkim stołeczku ze spuszczoną głową dokończała woreczka podróżnego, w którym się sieci porwały. Obie miały oczy czerwone, a matka po cichu zdawała się odmawiać modlitwę.

Na stole widać było bieliznę poskładaną i rozłożony półżupanik, na którym nieprzyszytych leżało kilkanaście guzów wyzłacanych... Tu jeszcze cicho było a smutno... ale naprzeciwku, przez sień, z roztwartych na oścież drzwi izby mało co mniejszéj, buchało wrzawą, głosami, śmiechami, gniewy i niecierpliwością.

Wybiegał ktoś ztąd co chwila i wbiegał... nieśli ze skarbca rzędy i odnosili, a żelaztwami i zbroją brząkano. Nie było w tém dziwnego nic: młody dziedzic Gołczwi, jedyny syn pani wojskiéj, pan Medard Pełka, wybierał się na wojnę pierwszy raz... A! pilnoż mu było! pilno... tak jak matce smutno.

Stateczna, porządna, rządna, zacna była niewiasta pani Marcyanna Pełkowa, ze starego szlacheckiego domu Masłowskich, którzy się pieczętowali

Trzaską i pisali się z Wielkiego Masłowa, choć i innych Masłowskich po krajach koronnych się spotyka, ale ci są pewnie najprzedniejsi.

Takich kobiet u nas bywało dawniéj dosyć. Na niéj stał dom, ona była sercem i głową. Za nieboszczyka wojskiego, którego sobie wyrywano, bo na całe województwo był wszystkich przejemcą i kompromisarzem, ona gospodarzyła, ona dzieci wychowywała, ona się starała, aby chleba i grosza nie zabrakło. A gdy poczciwy pan wojski spoczął w Bogu, na nią spadły wszystkie starania o majętności i dzieci. Trzeba było Medardka najprzód w domu przysposobić do szkoły, potém słać do ojców jezuitów do Lublina, gdzie nauki z chwałą dokończył, a w ostatku niecierpliwe dziecko trzymać miłością macierzyńską i prośbami, i wszelkiemi sposoby, aby się przed nosem z domu nie wyrwał....

Łatwiéj przyszło z wychowaniem panny Teressy, bo téj matka oddała, co ją własna nauczyła i niepotrzeba było mistrzów, gdy bakałarz, który Medarda sposobił, czytać i pisać nauczył, a ksiądz katechizmu wespół z panią wojską... Ale ta znowu delikatna była, słabowita, od dzieciństwa smutna i w siły się ukrzepić nie mogła... Znać to było na niéj i teraz, choć lat miała siedmnaście i wysmukło wyrosła, na twarzy jednak nie postał rumieniec, wargi miała blade... i wesołość rzadko uśmiech sprowadzała na nie.

Medard za to poszedł po ojcu. Trudno było piękniejszego widzieć chłopaka, krew z mlekiem, silny, zdrów, barczysty, wesoły, żywy, gorączka, najpoczciwszego serca, ale do zapalania się skłonny— słynął już naówczas i z męztwa i zuchowstwa, i z tego, że dlań nic trudnego nie było, ani niepodobnego... Ludzie go kochali, bo choć często buchnął i lada skra go płomieniem oblewała, można go téż było dobrym sposobem zaprowadzić gdzie kto chciał, a dla matki był najlepszym synem w świecie.

— Czysty z niego Pełka! — mówili sąsiedzi, pamiętający tych, co znali wojskiego i zasłyszeli o dziadzie staroście hrubieszowskim.

Niebezprzykładném naówczas bywało, że młodzież i w ośmnastym roku na koń siadała, poczynając wprawę rycerską zawczasu, a nie zagrzawszy szkolnéj ławy. Pani wojskiéj to nie było do smaku, zaraz go w pole puścić, nimby zmężniał i czegoś się podduczył. Wymogła więc, że do dwudziestu przy niéj został, i teraz dopiero, gdy już trzeci krzyżyk napoczął, nie mogąc dłużéj doma zatrzymywać, ze łzami w świat go puszczała.

Zapowiadano wojnę ze Szwedem.

Macierzyńskie serce ściskało się myśląc o krwawych bojach i o tych wszystkich z rodziny, co w nich poginęli. Tych Masłowskich i Pełków, których grobów na krańcach szukać było potrzeba — niemało naliczyć mogła...

Ale szlachcicowi, nie pokosztowawszy wojennego chleba, w domu siąść na zagonie wstyd było. A kiedyż go kosztować, jeśli nie w sile wieku? Rada nierada, wojska musiała się zgodzić...

Było oprócz tego czém się zakłopotać, bo wyprawa na wojnę niemały ekspens ciągnęła za sobą, koni trzeba było kilka, i to wytrzymałych i dobrych— a szczególniéj pod samego pana, daléj i pod czeladź wojenną... Bez grosza téż się wybrać ani myśleć było, bo płaca wojsku często i po kilka lat nie dochodziła. W boju téż czy koń padł, czy tłomoki zginęły, trzeba było mieć z czego się połatać — na towarzyszów się nie spuszczając.

Wprawdzie na dobrém gospodarstwie w Gołczwi coś się zebrało na czarną godzinę i nieprzewidziany wypadek, ale niewiele tego było... A dziecko jedyne, choć ubogo, chędogo chciała wojska wyprawić, aby się przed drugimi nie wstydziło. Sam siwy jabłkowity pod Medardka, którego kupiono u Koryckiego rotmistrza, wychodził na półtorasta bitych talarów... Prawda, że był koń jakich mało, bo i piękny, choć go malować, i rozumny, choć z nim gadać, i dobry, choć go pieścić, i takich przymiotów, że mu żaden nie zrównał.

Na jednym rzędziku ojcowskim przestać téż nie było można. Na drogę musiał być pospolity, a na popis, albo przed króla lub przed hetmana, w dzień świąteczny, gdy wojska lustrowano, albo i na posyłki do panów, musiało się mieć i sadzony i zło-

cisty... Toż z odzieżą, która się na wojnie drze i psowa łatwo, nie mówiąc o broni, któréj często człek życie winien. Było wszystkiego podostatkiem w skarbcu i rzeczy pięknych a cennych, matkaby téż ich nie żałowała, a no, jednemu tego brakło, drugiemu owego, — jedno było zaszerokie, drugie zawązkie, lub i z użycia wyszło... Więc robić i przerabiać, i sztyftować musiano.

Szczęściem, że Medard się umiał matce wyprosić, boby mu z wielkiéj troskliwości pół Gołczwi do wozu zapakować kazała... Wszystko się jéj dla dziecka zdało potrzebném, począwszy od mięty i rumianku, aż do kiełbas wędzonych i szynki... O dryakwi téż na wypadek choroby nie zapomniano.

Doszywała szkaplerz pani wojska — a spóźniła się z nim, pono i córce szepnąwszy, żeby się nie spieszyła, dla tego, że to był dzień feralny, w starym kalendarzu przez dziada oznaczony, że w nim ani krwi puszczać, ani się do drogi brać, ani żadnych zamysłów poczynać się nie godziło.

Dziecku o tém mówić nie chciała pani wojska, sama przecież usiłowała wszelkiemi sposoby wyjazd odwlec do rana, a w najgorszym razie choćby za północ — aby się jéj serce nie trwożyło złą wróżbą. Być bardzo może, iż kowal na dany znak ze dworu gdzieś się zawieruszył... i krawiec z sukniami nie pokończył, i matka z córką szyły jeszcze wieczorem to co dawno było gotowe, a na nowo popruto...

Pani wojska coraz to spojrzała w okno, co się tam ze słońcem dzieje... Zachodziło już... kowala nie było... Medard niecierpliwy ludzi słał i latał po domu jak opętany, — a no, nic nie pomagało...

W izbie jego panował jeszcze nieład jak największy... Szable, zbroiczki, misiurki, czepce żelazne, rusznice, pistolety, leżały kupą na stole, odzienie się walało po ławach i łóżku... Chłopak pakował niby, a no, nie szło... Rzemyka w trokach zabrakło, to sprzążki...

Pośród tego nieładu, latał młody Pełka mnożąc go jeszcze pośpiechem i rozkazami wydawanemi tak, że jeden od spełnionia drugiego odrywał... Służba więcéj biegała niż robiła... Pan także.

Jedyny człek spokojny i wcale tém wszystkiém nie zmieszany, był stary Węgorzewski... przyjaciel domu jeszcze od czasów wojskiego, stary żołnierz, wygadany dworak... który bawił w Gołczwi w ciągu roku przynajmniéj sześć miesięcy. Miał on swój folwarczyk na Podlasiu i mówiono, że się nawet nieźle miał, ale był stary kawaler i nudził się doma.

Jeździł tedy od dworu, do dworu opatrzony zawsze w najświeższe wiadomości i w różne z dalekich stron ukłony — i choć był skąpy bardzo — w małe podarunki i gościńce, które zawsze tak dobrane bywały, że go nic nie kosztowały, a wielką miały cenę. Przywoził zwykle to wodę z jakiego cudownego źródła, to skuteczną modlitewkę, to jaki

środek lekarski nieomylny, to suszone ziółko, to coś podobnego, mającego tylko pretium affectionis.

Węgorzewski wyglądał jak gruby kół, na którymby kto suknie powiesił... Statury był ogromnéj, prosty, choć lat dochodził siedmdziesięciu, z głową długą na karku wychodzącym mu z kołnierza i żylastym, ale dziwnie poplecionemi żyły temi oplątanym... Po nogach i rękach poznać było można, że i dużo chodził i nie mało robił, bo butów sobie rzadko mógł gotowych dobrać, tak wielkich potrzebował, a na dłoni siąść mogło dziecko jak na krześle. Pomimo tego wzrostu i marsowego pozoru, bo mu się wąsy siwe do pasa zwieszały niemal, człowiek był najłagodniejszy w świecie — prawdziwy baranek... Mówił powoli, chodził mierzonym krokiem, którego nigdy nie przyspieszał — a miał to do siebie, że go nigdy nic ani niecierpliwiło, ani zadziwić mogło.

Mawiał o nim stary Byczyński, że gdyby go królem czasu elekcyi okrzyknięto, aniby się odwrócił, by braci szlachcie podziękować... Dobre i złe przyjmował zarówno spokojnym umysłem.

Medarda on niecierpliwił, ale Medard jego do niecierpliwości przywieść nie mógł. W téj chwili stał z rękami w kieszeniach i patrzał to na przybory do drogi, to na swojego kochanego chłopca.

— Ale czego to się spieszyć? — cedził przez zęby — dowiedziona rzecz, że nigdy się dłużéj nie robi nic, niż wtedy gdy, się chce zrobić prędko.

Czego się spieszysz?.. Już dziś ani kowala nie będzie, ani jejmość gotowa być nie może... a jutro do dnia sama pora..

— Tak! tak! a całe towarzystwo z sąsiedztwa i pan Jeremi, i Feliks, i podstolice, i sędzic, i wszystko ruszy, a ja się ciurem będę wlókł za nimi! To niepięknie... Pierwszy raz jechać i dać się sąsiadom wyprzedzić.

— Jako żywo!—odparł Węgorzewski—ja zakład stawię, że pan Medard nie będziesz nigdy ostatnim: choćbyś i za dwa dni wyruszył, to drugich tą swoją gorączką prześcigniesz, a nie ma gorszéj rzeczy nad gorączkę.

Medard ruszył ramionami i rzucił się do progu, bo zobaczył w téj chwili zdyszanego chłopca, którego był niedawno znowu posłał do kuźni...

— A cóż? — zawołał — a co? ten kowal przeklęty... Cóż się przecie z nim stało?

— A! proszę panicza — rzekł ledwie dysząc chłopiec... — kowal nie winien nic. Tam w chacie lament wielki... wzięli go...

— Kto? co?

— Do Laskowskich go gwałtem wzięli, bo przecie wiedział, że we dworze będzie potrzebny — a no, taki był rozkaz. Chorążyc przysłał czterech ludzi, ba! i z pistoletami, zachuczeli tak, że baby się pochowały na wyżki... Opierał się im, aż mu pistolet do łba przyłożywszy, na konia rzucili i powieźli...

— Dokąd? do Wólki?

— A! do Wólki...

— Dawaj konia! — krzyknął Medard porywając pistolet i szablę — ja ich nauczę buszować tu u mnie... Hej! Prokop na koń niech siada za mną...

I ruszył do drzwi, ale szczęściem matka wrzawę posłyszała i wybiegła, a twarz matki dla pana Medarda była cudownie uspokajającym gniewy widokiem. Stanął w progu.

Z po za niego Węgorzewski jejmości dawał znaki, aby w tym ferworze syna nie puszczała.

— Medardzie! co tobie! czekaj! — zawołała matka łagodnie.

— Jak nie mam być zły i nie lecieć! A toż mi Laskowscy gwałtu na gruncie dokonali. Kowala porwali, pistoletami grożąc... Pojadę go odbić... i nauczę...

Wojska choć twarz miała smutną, uśmiechać się poczęła.

— Słuchaj Medku, — rzekła spokojnie — a tyś to lepszy! a tybyś tego nie zrobił, gdyby kowal w Wólce siedział; a tobie pilno było? Wszyscyście tacy, i jeden drugiemu nie macie co przyganiać... Z Laskowskimi byłeś zawsze dobrze, przyjdzie pod jedną może służyć chorągwią, to właśnie czas do zwady... Takie to szalone pałki jak i ty, mój jegomość. Kowala ci nie zjedzą...

Medard się trochę powstrzymał, ale po włosach się ręką szarpnął z niecierpliwości, bo spojrzał, że słońce zachodziło...

— Już dziś gotów nie będę! matuniu! a chciałem był innych do chorągwi wyprzedzić...

I ręce złamał.

— Dobrze ci tak... a po co ci się pierwszym być chce koniecznie? — odparła matka... — Nie spóźnisz się i jutro. Wiem to dobrze, iż Jeremi, i Feliks, i chorążyce, daj Boże, by jutro wyruszyli...

Węgorzewski dodał:

— I pewnie — u nikogo nie gotowo na zawołanie, choć to dawnego czasu inaczéj bywało... Ostatnia to rzecz dopiero rzemienie łatać, gdy na koń siadać... U szlachcica każdéj godziny w pogotowiu bywało... Panu Medardowi to wybaczono, bo pierwszy raz idzie na wojnę, innym mniéj, boć *experti* być powinni. A ja moje powtarzam — tylko się nie spieszcie...

Medard, który na to nieszczęsne słońce zachodzące patrzał ciągle, przyłożył nagle rękę do czoła i syknął...

Matka odwróciła się, poglądając w tę stronę, w którą poszły synowskie oczy. Na gościńcu widać było jadących ku dworowi wprost całą gromadką. Z góry można było dobrze rozeznać gości...

Przodem konno z wolna posuwało się dwóch po żołniersku już przybranych kawalerów... za nimi kilkoro czeladzi, i wozy szły dwa ładowne...

Ani jéjmości, ani Medardowi, choć gościnny był bardzo, w tę porę nie smakowały odwiedziny niczyje... Twarz mu pochmurniała.

Węgorzewski, który z daleka doskonale jeszcze widział, a z bliska tylko do książki okularów używał, odezwał się po chwili:

— Ani chybi Świnarski z Odmiechowa i Żołudek.

— Badźże im rad — szepnęła matka po ramieniu syna klepiąc. Już Bóg widzi, jak oni mnie w porę, bo mi się z tobą ani rozmówić, ani nacieszyć ostatnią chwilą nie dadzą, a jednak... pogodną twarzą ich przywitam...

— Juściż co robić, i ja marsa nie postawię! — westchnął chłopiec — ale niech mateczka wina każe nagotować zawczasu, bo Żołudek zawsze spragniony, a Świnarski téż z kielichem się obchodzić umie...

— To się rozumie! — cicho rzekła wojska.

— O! Świnarski, Świnarski! — dodał Węgorzewski — już go znam z dawna... jak piasek w posuchę chłonie co mu dasz. Niewybredny to prawda, za to nastarczyć mu trudno...

Jeszcze tak rozprawiono w sieniach, gdy Medard krzyknął:

— Dalipan, od Wólki Laskowscy jadą!.. żeby choć kowala z sobą przywieźli.

— Jeśli oni jadą, to i kowal będzie — rzekł Węgorzewski... — I słusznie uczynili, że póki czas przybywają przeprosić...

Medard odetchnął lżéj: szło mu o to, aby go nie wyprzedzono, obrachował zaraz, że chorążyców popoi, wstrzyma i nie puści, aż u niego wszystko będzie gotowe.

— Pojedziecie razem! — wzdychając kończył Węgorzewski. — Ech! ech! ślinka mi do ust idzie... zazdroszczę wam młodym... bo gadajcie sobie co chcecie, nie ma nad wojnę... Tam człowiek dopiero żyje... W domu gnije... Dla młodego nie ma szkoły nad siodło i nie ma nauki jak w polu... a co szablą napisze, to najrozumniejsze...

Pani wojska spojrzała na starego jakby z wyrzutem, ale ten zdawał się tego nierozumieć.

— Pani wojska dobrodziejko — mówił daléj— pobłogosławcie tylko syna, aby się bardzo nie zbisurmanił, i niech rusza... niech rusza. Już trochę pole zależał...

Myśmy wszyscy do lat dwudziestu już na harcach bywali.

— Porać i mojemu, nie zestarzał... — i westchnęła matka...

Wzdrygnęła się domawiając tych słów, bo Świnarski z Żołudkiem dojeżdżając właśnie pode dwór, na wiwat obaj palnęli z pistoletów i z wielkim hałasem a okrzykiem przyczwałowali przed ganek.

Obaj potém z wielkiego pędu konie osadzili jak wryte, i zobaczywszy panią wojską, powtórzyli: Wiwat! — a Świnarski z konia skoczywszy, pokłonił się nizko...

— Czołem wojskiéj dobrodziejce nieproszeni goście... — rozśmiał się — prawda? Wiemy to oba! ale jakże to może być, aby Pełka po raz pierwszy z domu na wyprawę wyruszył sam, i żeby

go przyjaciele domu nie uczcili, nie poprowadzili i strzemiennego z nim, za pomyślność wyprawy, nie wypili?... Jejmość dobrodziéjka trochęć nam wdzięczną być powinna, bobyście się rozstając z jedynakiem popłakali, a my go po rycersku i po szlachecku wyprowadzimy na wojenkę.

Wtém i Żołudek przystąpił, a Laskowskich tylko co nie było widać, bo już koni czwał za wałem się słyszeć dawał.

Pani wojskiéj twarz się rozjaśniła, bo miała wielką moc duszy i panowanie nad sobą, tak, że nawet najcięższy smutek przemogła, gdy tego uznała potrzebę; a jéj wesołość była wskazówką, któréj Medard nawykł być posłusznym.

Weszli tedy wszyscy do izby gościnnéj, lecz jeszcze za gospodynią ceremonie wszczęli Świnarski z Żołudkiem, gdy już konie Laskowskich przed gankiem prychały.

Panowie chorążyce podobne do siebie bardzo, bo bliźniaki, obaj jednego wzrostu, jednéj tuszy, młodzi, ogorzali, miny zawadyackie, wąsy do góry, nadjechali podrzucając czapki i śmiejąc się.

Medard wyszedł przeciw nim.

— Macie szczęście, — zawołał pierwszy, — że samiście przybyli, bobym był za kowala mszcząc się, pewnie wam dwór najechał. Gdyby mi się który z was nadarzył, dopókim był zły, do niemałéjby zwady między nami przyszło... Wściekałem się...

Chorążyce się śmieli i obaj go przyszli uściskać.

— E! bratku, — zawołał starszy (o godzinę)— nie takiś to ty straszny jak powiadasz, a my cię nadto kochamy, abyśmy się ciebie ulękli. Prawda, że Zwincza nasz głupstwo zmalował i kowala nastraszył, aleśmy ci go do kuźni już sami odstawili, i twego sułtana okują do jutra — jak należy.

Całowali się tedy jakby nigdy nic nie zaszło, a Medard ciekawie już opatrywał, jak się téż wybrali i co za broń mieli przy sobie. Zaraz w ganku, nim próg przestąpili, jak to zwykle między młodzieżą bywa, poczęły się oględziny szabel, rusznic i pistoletów, i misiurek, i koni, i kulbak. Każdy swoje chwalił. Nie można było przyganić wyprawie panów Leskowskich, bo koło nich było i chędogo, i zamożnie; ojciec, stary żołnierz, sam wyboru pilnował.

Poszli z ganku do koni. Bliźniaki mieli téż darowane przez ojca chorążego dwa konie podobniuteńkie, oba brudne kasztany z łysinami na głowie, ale tak dobrane, że ich téż w stajni rozróżnić było trudno.

Oglądano i czeladne, i powodowe, i zapaśne, i wóz, i wszystko. Niemała to była rzecz naówczas na wyprawę szlachcicowi się wybrać. Tego się ludzie uczyć musieli. Niewiadomo było dokąd wojna poniesie, co się nadarzy, każdy więc z sobą prowadzić musiał wszystko niemal czego potrzebował, i co wóz a konie dźwignęły. Tabory bywały niemałe, ciurów za wojskiem niemal druga armia się

wlokła, a nieraz i oni się w bitwę wdali, najsprawniéj jednak koło nieżywych się zwijając, których nikt inaczéj w parę godzin po spotkaniu nie znalazł, tylko do naga odartych.

Trafiało się, gdy wieść chodziła, że nieprzyjaciel dla ochrony złota dukaty połykał — że nieboszczykom na placu brzuchy płatano. Z ciurami téż większa czasem bieda była i kłopot, niż z żołnierzem, żeby ich w ładzie i sforności utrzymać, bo zwad i kłótni było w obozie bez liku... Ginęło tego mnóstwo, gdy się pod koniec wyprawy, człek z domu wzięty spokojnym, rozbujał i rozwydrzył.

Opatrzywszy wozy, Medard i Laskowscy, który się w ganku ciężkiego rynsztunku pozbyli i półzbroiczki poskładali, weszli do izby, kędy już Świnarski, Żołudek i Węgorzewski, z jéjmością i Panną Teressą się zabawiali. Śladu tu już nie było owéj bielizny i porozrzucanych sukni Medarda... Pokój wyglądał czysto a pięknie, bo u wojskiéj największy ład wszędzie panować musiał.

Gdy na próg wchodzili Laskowscy, panna Teressa zwykle blada, zarumieniła się nieco, obu téż braci oczy najprzód się ku niéj zwróciły. Stała za krzesłem matki, ze złożonemi na piersiach rękami, jak zwykle smutna i milcząca.

— A to nas, chwała Bogu! — zawołał chorążyc starszy — tylu jest, że gdybyśmy chorągiew szwedzką gdzie na drodze spotkali, jużbyśmy się samopiąt jéj nie zlękli.

W śmiech tedy wszyscy, i poszli ręce jéjmości całować. Wojska oczy miała czerwone, ale twarz wypogodzoną i uśmiechniętą.

— Bóg zapłać — rzekła — kochanym sąsiadom za dobrą ich wolę dla mnie i Medarda. Cieszę się z przybycia ichmość panów do mnie, tém bardziéj, że im mojego jedynaka polecić będę mogła. Młode to i w pierwszym polu... bo na wojnie różnie bywa.

Rozśmiał się Żołudek, wskazując stojącego w progu Medarda...

— Pani wojska dobrodziejko! — zawołał — chyba nas jemu polecać, a nie jego nam. Dość nań spojrzeć! Przesadzi on nas starszych i młodych... a radę sobie da, niedarmo Pełka! znamy co to krew znaczy....

— Bóg zapłać za dobre słowo — odezwała się wojska, i skinęła zwracając się do córki, która dobrze zrozumiała co to znaczyć miało.

W siwy długi kubrak ubrany, z wygoloną wysoko głową, w starych żółtych butach, wtoczył się dawny sługa domu, niosąc gąsiorek na tacy i szkła podostatkiem różnego kalibru... Uśmiechęły się twarze, bo po znoju dnia tego i utrapieniach, po owych żegnaniach z miłymi i frasunku na odjezdném, każdemu się spotkać z kieliszkiem było przyjemnie. Medard téż, nieodrodny syn ojców swych, umiał dobrze przyjmować, tak, że wojska spokojnie się nań zdać mogła.

Siedziała zamyślona, gdy jéj, i syna, i całego domu zdrowia pito; a rozmowa się wszczęła o prawach ogólnych, a szczególniéj zaś o Szwedzie. Chociaż nowy ten nieprzyjaciel zdawał się zagrażać ostateczną zagładą Rzeczypospolitéj, ducha szlachta nie traciła, owszem ochoczo jakoś szła, choć siły Karola Gustawa, straszliwie obliczano, bo ich nie było nad siedmnaście tysięcy. Surowo tedy sądzono Wielopolan, że się dali wziąć na łapkę jakichś obietnic, i w pierwszym popłochu z nieprzyjacielem paktyzowali.

— A no, to wszystko nic,—ozwał się Żołudek— niech-no my się z kątów ruszymy, wszystko zaraz inaczéj pójdzie. Lubelska a sandomierska szlachta obroni Rzeczpospolitą — niech Szwedzi idą tu do nas, coraz głębiéj, prosimy, tu ich dopiero wybijemy do nogi.

Świnarski głową kiwał, inni milczeli.

— Ciężkie czasy przyszły, — rzekł Węgorzewski stojący w kącie: — nie trzeba sobie czynić illuzyi. Siła złego wielu na jednego, *nec Hercules contra plures*...

— Ale my téż z sobą mamy bodaj sto tysięcy Tatara, który się ofiaruje z pomocą i wierną przyjaźnią... — przerwał Żołudek... — Tatarzyn choć w polu długo nie strzyma, ale do żwawéj napaści dobry jest...

— Gdyby mi się ofiarował — odparł Węgorzewski — na posiłek w ciągnieniu do cudzego kraju,

przyjąłbym go, nie od rzeczy taka ćma gdy boki osłania i gościńce toruje; ale we własnym wołałbym nie mieć — bo to szarańcza, obje i obrabuje...

Już się brało na tę nić wesołą rozmowę o sprawach domowych, gdy Laskowski jeden przerwał.

— E! panowie bracia, —zawołał,—w bożéj mocy co ma być. Myśmy żołnierze nie wodze. Niech królowi Jmci i panom hetmanom o to głowa boli co poczynać mają; naszą rzecz stanąć do szeregu i tęgo siec, gdy się nieprzyjaciel pokaże... Ja nie rozpaczam...

Rozdzielili się biesiadujący na dwa kółka, a pani wojska skinąwszy na córkę, powoli się wysunęła z izby zostawiając im swobodę, bo doma robić było co jeszcze przed odjazdem. Za odchodzącą panną Teressą powiedli oczyma panowie chorążyce obaj, ona odwróciła się na chwilę twarzą ku nim od progu uśmiechnęła smutnie i znikła.

Wrzawa się dopiero wszczęła większa, gdy kobiet nie stało i kielichy żwawiéj krążyć zaczęły. Było o czém opowiadać, bo w całém sąsiedztwie co młodszego wszystko ciągnęło i w każdym domu niemało z tego powodu zamętu powstawało... Kobiety płakały, słudzy się po cichu cieszyli, że pańskiego zbywali się oka... Niejeden zapożyczyć się musiał u Żydów i zastawić, aby miéć o czém wyruszyć. Wszystkie plotki sąsiedzkie rozpowiadano sobie, ba! nawet o koniach i szablach,

gdzie kto jaką dostał i wziął... i komu czego zabrakło...

Wśród tych gawęd wesołych i mrok zapadł... i jeszcze światła nie dano, gdy w progu nowy gość zwiastował się grubym głosem: „Niech będzie pochwalony... intonując. Poznano go po nim choć w ciemności. Był to Ojciec Lambert, kapucyn z Lublina, który w samą porę nadciągnął, żeby szlachtę na drogę pobłogosławić.

Przyjazd jego nie był wcale wypadkiem: potajemnie ściągnęła go pani wojska, chcąc wedle starego zwyczaju, aby syn pierwszy raz wyjeżdżający na nieprzyjaciela, wziął uroczyste błogosławieństwo. Wolałaby była może innego duchownego, nie ojca Lamberta, ale cóż już było począć, gdy innego nie dostali, a i ten poczciwy był i święty tylko zgaga straszna i nielitościwy smagacz na ludzi.

Ledwie mu odpowiedziano na pozdrowienie, ledwie bosą nogą próg przestąpił, stanął namarszczywszy brwi, jak gdyby przerażony i zgorszony.

— Ho! ho! — zawołał podnosząc głos — ho! ho! co mi za ochota i wesele, gdy głowyby popiołem posypać należało i *Miserere* śpiewać leżąc krzyżem na ziemi! A no! nieodrodne dziatki! tak u nas było od lat stu... trudno, by się na raz zmieniło... na wojnę ciągną i kielichami rozpoczynają!.. Otóż to mi obrońce dla Rzeczypospolitéj!

— Ksiądz Lambert! — zawołał z kąta Świnarski

— nie widzą go oczy moje, a zgaduję... Jeszcze progu nie przeszedł, a już nam łaje....

— Boście łajania godni, ba! gorzéj, chłosty! — odparł kapucyn... — Pono jednak i groźby, i słowa, i plagi nie pomogą, aż was ostateczna zguba złamie.

— Otóż masz!—rozśmiał się Żołudek, już począł.

— Ale boście mu kielicha nie dali! co za dziw że na sucho tak piorunuje! — krzyknął Świnarski. Ręką rzucił tylko kapucyn i siadł na ławie u drzwi przy Węgorzewskim.

— Co z nimi gadać — szepnął do sąsiada... — niechno ich Szwed pokropi, dopiero się pokajają...

Gdy światło wniesiono, oczy wszystkich zwróciły się na kapucyna. Był to mężczyzna nie młody już, twarzy wychudłéj i ciemnéj, czarno zarosły, z brodą nieco siwiejącą po bokach... Pofałdowane czoło i ostry błysk oczu nadawały mu wyraz surowy.... W ręku trzymał paciorki różańca, spoglądając po przytomnych z politowaniem i smutkiem... Milczenie jego zrobiło większy skutek niż pierwsze wyrzeczone słowa: jakiś chłód powiał po komnacie szmer i gwar uciszył się powoli, postawiono kieliszki... i między sobą tylko po cichu szeptano...

Kapucyn obliczać się zdawał gości, wodząc po nich wzrokiem nieustraszonym.

— Coś ja wam tu wpadłem jak Piłat w Credo — rzekł satyrycznym uśmiechem — z gorzką prawdą

niepotrzebną albo nieskuteczną. — Nie zważajcież na mnie... proszę... jakoby mnie nie było.

Wstał Żołudek.

— Jakież nowiny? — zapytał ojca z cicha i poważniéj się strojąc.

— Złe — rzekł bez ogródki mnich: — takie, na jakieśmy zasłużyli. Wielkopolskę nieprzyjaciel zagarnął, bo mu sama dała... Szlachta króla lutrowi zaprzedała... Ucztują z nim bracia nasi... a pobożny pan nasz wkrótce może dla głowy przytułku mieć nie będzie...

Milczenie zapanowało tém większe, że znaczna część przytomnych do obozu regalistów nie należała, jak i sami Pełkowie. Miał król Jan Kazimierz nieprzyjaciół wielu, i okazało się to zaraz, po odezwaniu ojca Lamerta... Świnarski namarszczywszy brew, rzekł;

— Pobożny pan mówicie — a no coś się o tém wie... modli się pod figurą, prawda, a ma djabła pod skórą...

— Tylko mi na majestat królewski mówić wara — przerwał — pasek podnosząc kapucyn... Wybraliście go, przysięgliście mu, daliście dzierżyć losy Rzeczypospolitéj — słuchajcież i brońcie... czy wam się już lutra zachciało? popróbujecie go! nie macie się czego lękać... popróbujecie... aż wam zęby ściśnie oskoma...

Na te słowa weszła Pani wojska, bo już wieczerza była gotowa, przerwała się rozmowa i Żo-

łudek rękę jéj podał, a za nim dwaj Laskowscy skoczyli do panny Teressy, ale ich Świnarski do niéj uprzedził. I pociągnęli do wieczerzy.

* * *

Skromna i dosyć cicha była wieczerza ostatnia w Gołczwi. Przytomność wojskiéj, panny Teressy i ojca Lamberta powstrzymywała od zbytniéj wesołości wyskoków, i na sercach téż niebardzo im było raźno; choć się wszyscy ku ochocie zmuszali. Każdy z nich kogoś w domu zostawiał, a choć to los człowieka i żołnierza jutra być niepewnym — choć na to gotowym być zawsze potrzeba — chmurą przypomnienia okrywały im czoła... nawet Medard posmutniał.

Dziwna rzecz, gdy oni ciszsi się stali i posępni, ów srogi kapucyn weselszym być zaczął, ozwał się przy drugiéj misie:

— A to mi piękni żołnierze, kiedy jeszcze przed bitwą nosy pospuszczali! Cóż to znowu waszmościom żeście z takiéj wesołości wpadli w taką zadumę?

— Ze wszelkim respektem dla twéj sukni i charakteru kapłańskiego, — ozwał się Żołudek urażony, pozwólże sobie téż prawdę powiedzieć, kiedy ją drugim często prawisz... Wprzódyś nierad był żeśmy hałasowali i śmieli się jak żołnierzom przystało, a teraz ci znowu źle, żeśmy milczący! Bodaj ci o to zawsze idzie, abyś gderał.

Ksiądz z ukosa ostro spojrzał na mówiącego i zakąsił usta...

— Zdaje ci się mości poruczniku, — rzekł — że masz słuszność i żeś mnie zwalczył. Otóż ci powiem, że tak nie jest, a wiesz dla czego? Oto że u was ani weselu, ani smutkowi miary nigdy. Gdyście w dobrym homorze, gotowiście na dachy powłazić; gdy was mucha w nos ukąsi, tobyście się pod ziemię pochowali. Temum ja nie winien, i dla tego na was gderzę, czy zanadto w was rozpasania, czy zbytku i troski... *Dixi.*

Mimowolnie nawet przyjaciele Żołudka pospuszczali głowy i przyklasnęli kapucynowi. Nie było mu co odpowiedzieć. Miał słuszność.

Niech i tak będzie — rzekł zwyciężony; — kłaniam głowę przed rozumem i światłem jegomości.

Rozmawiano o tém i owém obojętnie, jakoś nie szło, struł ich kapucyn -- nikt nie śmiał ust otworzyć, a i sarknąć nań nie śmiano, bo był człowiek czysty i poważany powszechnie...

Wstano od stołu, bo jeszcze było dużo do czynienia, a kompania téż zażyć chciała wczasu, nimby się o świcie w drogę wybrała... Medard szepnął do ucha, że gąsiorek do siebie zanieść każe, gdzie we dwóch komnatach, na łóżkach i pokotem spać mieli, dodając, że kapucyna nie zaprosi.

Ojciec Lambert odmówił modlitewkę, — pożegnano zaraz od stołu panią wojską i goście poszli na przeciwek do pana Medarda. Tu już tedy byli spokojni...

Węgorzewski się téż powlókł za nimi; a gdy się drzwi zamknęły i znikła surowa twarz kapucyna, powróciła pierwsza wesołość...

Już się do śpiewów brali, bo Świnarski był wielce dobrego humoru, gdy drzwi się otworzyły, i przez nie wygolona głowa ojca Lamberta pokazała.

— Nie bójcie się waszmość — rzekł — idę odmawiać pacierze i przeszkadzać wam nie będę, bo wiem, żem zawsze *turbator chori* — tylko jedną rzecz oznajmić wam muszę. O godzinie piątéj rano msza święta w kaplicy i błogosławieństwo na drogę, bez którego ruszyć się nie godzi... więc żebyście mi byli gotowi — a teraz... dobréj nocy...

Znikł — i poczęli o nim gwarzyć co za jeden był człowiek... Nikt nań złego słowa nie rzekł, lecz że ciężki był dla ludzi, to mu wszyscy przyznawali.

Gąsiorek poszedł po rękach, Węgorzewski uproszony gospodarzył, bo Medard siła jeszcze miał do roboty... a dowiadywania... Czas tak szybko ubiegł, że około północy było, gdy się do snu zabierać zaczynali... W téj chwili chłopak po cichu wywabił Medarda, z którym się matka widzieć chciała.

Nie spała ona jeszcze i nie myślała nawet kłaść się téj nocy, chcąc ją spędzić na modlitwie. Siedziała w swéj izbie sypialnéj, która taką pozostała, jaką jeszcze za pana wojskiego bywała.

Po niéj łatwo było poznać gospodynię. Kilka obrazów pobożnych na ścianach, wizerunek nieboszczyka Pełki naprzeciw stołu okrytego dywanikiem, w oknie trochę kwiatów, a do koła szafy i półki, i klucze na kołkach, i co do gospodarstwa mezkiego i niewieściego należało. Porządek był wielki, każda rzecz na swojém miejscu.

W krześle siedziała matrona wsparta na ręku i zadumana. Przed nią na stole szkaplerze i worek zielony, pełny pieniędzy, i mała książka pobożna, i notatka ręką jéj spisana...

Słysząc nadchodzącego syna, zwróciła się ku niemu i wyciągnęła ręce, nie mówiąc nic. Przypadł jéj do kolan — pocałowała go w głowę — długo się na słowa zebrać nie mogła.

— Wstań mój Medziu, — rzekła w końcu — nic tu łzy nie mogą, co Bóg przeznaczył, spełnić się musi, a nam z sobą spokojnie, rozumnie pomówić należy.

— Chciałeś wojny, los ci dopisał — jedziesz, niech Bóg błogosławi... niech Bóg obrania, niech się Bóg opiekuje... A! dużobym miała do mówienia, gdyby serce głowy nie psuło! Daję ci co mam na wyprawę... talary są w puzderku, którego kaza-

łam pilno strzedz, a złotem co było noś w trzosie przy sobie, bo w wojnie łatwo o to, że sakwy zginą.

Podniosła szkaplerze do góry... Medard pośpieszył — zarzuciła mu je na szyję i znowu go w głowę pocałowała i westchnęła.

Którażby matka rada była wojnie i wyprawie dziecięcia? — poczęła po chwili — a no, ja prawiem szczęśliwa, że sobie z Gołczwi na jakiś czas ruszysz.

Medard się zdziwił nieco i zarumienił mocno; obejrzała się matka, czy ich kto nie słucha. Teressa była w swoim pokoju.

— Domyślisz się co mam na sercu — kończyła — lepiéj że z oczu stracisz Jadwisię Pociejównę...

Medard zmilczał spuściwszy oczy.

— Sto razy ci to mówiłam, a bodaj sto razy powtórzę, niepotrzebnie się ta bieda do nas uczepiła... Piękne dziewczę, ani słowa, i dobrém być może — ale niedaleko pada jabłko od jabłoni, matka dosyć płocha. Pociejowie ludzie dworscy i regaliści, i ród hetmański i senatorski, my uboga szlachta... to nie dla nas. Dostatków wielkich nie mają, owszem pono ubogo koło nich, a do życia pańskiego nawykli. Pono ostatkami gonią, a jejmość z córką częściéj na dworze królowéj Ludwiki niż doma... puste to — moje dziecko, i że nie dla nas to nie dla nas. Zerwie ktoś ten kwiatek co się ukłóć nie będzie lękał, bo doń złote rękawice włoży... a dla nas!

Medard, na którego matka pilno patrzała — nie odzywał się wcale. Między nim a tą dobrą jego macierzą stosunek był na owe czasy rzadki, bo wówczas w wychowaniu więcej było ryzy niż serca. Pani wojska zaś dzieci chowała tak, że poszanowanie ufności i miłości nie zmniejszało. Medard nawykł był się przed matką spowiadać, dla tego snadź i jego przywiązanie do panny Jadwigi Pociejówny wcale dla matki tajemnicą nie było.

— No, cóż ty tak milczysz, Medardzie? — jak ci się zda, źle ja mówię?

— A! złota moja matuniu! — przerwał milczenie chłopak — wy mi to mówicie tylko co ja sobie sto razy mówiłem sam, a nadaremnie. Jużci to wszystko prawda... ani słowa...

— A dla tego ci Jadwisia w głowie...

— Gdzie zaś w głowie, matuniu kochana! gorzéj, bo w sercu... — rzekł wzdychając Medard. I dobrze to wiem, że ona nie dla mnie, i że mi jéj nie dadzą, i że nadaremnie głowę sobie psuję — a cóż poradzę, kiedy mi ona tak miła — tak miła!...

Westchnęła pani wojska.

— Odżegnaj się od tego uroku, mój Medku — rzekła. Doprawdy, gdybyśmy byli bogatsi, a im się to na co zdało, powiedziałabym, że stara Pociejowa istotnie urok na ciebie rzuciła... Kto ją wie, co ona umieć może! Patrzy jéj z oczu, że się żadnéj, by i złéj nauki nie wzdrygnie... Ale o tém dosyć — nie trzeba już i mówić... a trzeba zapomnieć.

Westchnął Medard i zmilczał.

— O gospodarstwo się nie troszcz — dodała — ja go tu dopilnuję — chybaby Szwedziska się po kraju rozprzestrzenili, a uchowaj Boże! bezpieczeństwa szukać już trzeba było w murach... a no! toć rady nie ma... pojedziemy z Terenią do Lublina, wszystko zdając, jako drudzy, na łaskę bożą...

— A teraz idź i wypoczniéj — odezwała się wojska. — Jutro o piątéj msza święta i benedykcya w kaplicy... Zabieraj dziś co masz wziąć, pieniądze, ojcowską książkę do nabożeństwa i ten oto spis rzeczy, które ci daję na wyprawę. Trzeba ci go mieć, bo choć czeladź poczciwa, ale jak co zgubią, powiedzą, że nie wzięli... myśmy tu z Terenią spisali wszystko aż do uprzęży, aby potém wymówki nie było.

Tak się ten wieczór skończył... Gdy Medard do gości swych powrócił, Laskowscy już na sianie chrapali wtórując sobie, Żołudek przez sen świstał pociesznie, Węgorzewski tylko ze Świnarskim po cichu nad lampką gwarzył. Medard się do nich przysiadł... Noc była piękna, letnia, księżycowa, z okna widok na szeroką dolinę uśpioną, wśród któréj gdzieniegdzie rozlane wody srebrnemi pasy połyskiwały — nie chciało się do snu iść. Czuli, że to może ostatnią noc tak jeszcze cicho, spokojnie, bezpiecznie pod dachem przebyć mieli... Świnarski, który młodą żonę w domu z synkiem małym rzucał, bardzo był tęskny i wzdychał. Medardowi téż, mimo

jego wrodzonéj wesołości, tak jakoś było smutno, że choć pić nie lubił, dużą szklankę węgrzyna wychylił...

Węgorzewski miał taką naturę, że z rzędu i kilka nocy spać nie poszedł, byle z kim gadać było.

Wśród téj uroczystéj ciszy nocnéj, najmniejszy szelest słychać było. Mogła być godzina około drugiéj i kury piały na wsi wtóre albo trzecie, gdy się na grobli dał słyszeć tętent konia tęgim puszczonego kłusem, a ucho baczne rozeznać mogło, że tam na nim nielada chłop oklep jechał, ale zbrojny człek, bo żelazo przy nim chrzęściało. Choć za wałami widać go nie było... zmierzał widocznie ku dworowi... zwolnił kroku, i Medard wybiegłszy na ganek, zobaczył żołnierza wjeżdżającego właśnie w bramę.

Nie chciał głośném wołaniem budzić i przestraszyć matki, z cicha więc tylko: „Bywaj!“ rzekł, ręką mu znać dając, bo po księżycu widno było jakby we dnie.

Podjechał konny... Nieznajomy był opylony cały, koń bokami robił, odzież na nim potargana.

— A z czém panie bracie? — zapytał Medard.

— Ostatnie wici, jedne za dwoje — rzekł przybywający — rozesłano na wszystkie strony, co żywo kupcie się waszmość pod chorągwie... *Periclitat* Rzeczpospolita... do boku królewskiego potrzeba iść, a na obronę stawać. Zdrajców szatan namnożył...

To mówiąc i z konia nawet nie zsiadając, jął go nawracać.

— Stójże waszmość, na miły Bóg! — zawołał Medard — dokąd? po co?

— Po co? a no, do każdego dworu bramy zakołatać potrzeba: o gardło idzie... a póki konia i mnie... nie pofolguję...

— Spoczniéjże chwilę, — uparcie począł nawoływać Pełka — u mnie ze trzech dworów szlachta nocuje, darmobyście jéj szukali. Sumienie wam nic nie zada, gdy tu wytchniecie, a koń choć wysapie się i zęby przetrze...

Klasnął na czeladź, która u stajen stojąc gotowała się do drogi, przybiegł parobczak konia wziąć i przeprowadzić, pókiby się nie wysapał. Dał się jakoś namówić i żołnierz, że zsiadł trochę wyprostować i nogi wyciągnąć. Był to niejaki Sędziszewski, znajomy Świnarskiemu... poprowadzono go do izby, i zaraz mu się winem dano pokrzepić — ale nie tyle napoju co posiłku potrzebował, bo szlachcic był wielkiego serca i sumienia. Wziąwszy na się szlachtę po dworach budzić, nie jadł i nie pił nie ustając, nie spoczywając, pókiby swego koła nie objechał. Gdyby nie koń, który go zmuszał popasać kiedy niekiedy, ze znużeniaby padł nieborak...

Wszedłszy do izby, gdy misiurkę zdjął a czoło z pyłu otarł, a siadł lub raczéj padł na ławę, długo do siebie przyjść nie mógł. Dopóki na koniu siedział i passya ta obowiązku go na nim trzymała, sił mu

się zdało starczyć... teraz się dopiero okazało, że ledwie dyszał.

Chłop był już niemłody, zawiędły, żelazny... Służył wojskowo od lat trzydziestu, przebył wszystkie potrzeby, i gdziekolwiek pewnego człeka chciano mieć, nikogo innego nie użyto, chyba Sędziszewskiego. Ten nie zmylił, nie zaspał, nie zjadł i nie wypił, dopóki na swém nie postawił...

Świnarski i Węgorzewski chcieli go cokolwiek ze zbroi porozpinać, ażeby tchnął swobodniéj, ale się im nie dał...

— Jakbym tylko się rozdział, toby mi wszystko ponabrzmiewało, a tu niedługo, daléj w drogę muszę... więc... Bóg zapłać, panom braciom — wytchnę i tak...

Przynieśli mu jeść, posilił się skromnie, bo i jadła obawiał się za dużo, aby mu w drodze nie wadziło. Dopieroż go badać zaczęto!...

— Nic waszmościom nie powiem więcéj nad to jedno, że Rzeczpospolita wszystkich swych dzieci potrzebuje... Szwed wkroczył i już jest w Wielkiéj Polsce. Ludzie wierzyć nie chcieli, dopóki języka nie dostali. Aliści złe zawsze się posadzi, mamy go... a mamy nie jego jednego... Zewsząd na nas chmury ciągną, i własne dzieci na ojca idą. A no? tak... Wielkopolanie się gromadą Szwedowi poddają... który lepsze im obiecuje rządy i złote góry. Kto żyw do broni i na koń! Już tu nie czas pytać i radzić, a garnąć się, a iść... do ostatniego.

Miało się na dzień, gdy Sędziszewski o konia zawołał, który był się wysapał i podjadł nieco, a był niewielki, ale tak twardy, jak jego pan i już prychał zęby przetarłszy. Wyprowadzono go w ganek. Strzemiennego nie chciał, na kulbakę ledwie wlazł, ale w niéj siadłszy, a cugle ściągnąwszy, pokłusował jakby miesiąc odpoczywał... aż mu się ludzie długo stojąc dziwowali...

Dzień się robił wielki, koło stajeń i koni ruch był żywy... Laskowscy się jeszcze obmywali ze snu, dopytując kto był i co gadał, bo nic nie słyszeli, taki ich sen wziął na sianie — gdy w kapliczce zadzwoniono.

Stała ona nieopodal odo dworu, naprzeciw lamusu, który jéj z drugiéj strony w wałach odpowiadał. Chędoga była, murowana i przyozdobiona pięknie, choć bardzo mała. Za owych czasów, gdy się zawsze spodziewać było można napaści i oblężenia, musiano mieć przy dworze gdzie się pomodlić. W grobach leżało dwóch Pełków. Otwarte już były drzwi, i światło gorzało na ołtarzu, gdy się wszystko co żyło we dworze, ba! niektórzy i ze wsi gospodarze na głos dzwonka zbierać się zaczęli. Wyszła tedy w czarnych szatach wdowich zakwefiona pani wojska, a za nią córka i fraucymer cały, szli panowie wojskowi w zbrojach i przy szablach paradnie, jak się Bogu należało — ciągnęła służba i dworscy, którzy mieli zostać doma... A że kapliczka była szczupła, ustawili się panowie we wnętrzu, służba za nimi

pod kruchtą, a reszta na schodach i przeciwko drzwi na podwórzu. Słońce właśnie wschodząc rzucało pierwsze promienie przez drzewa na zgromadzony pobożny lud — i piękny to był widok tych zbrojnych rycerzy u ołtarza czekających na błogosławieństwo... Z wielką powagą stali wszyscy... trzymając żelazne hełmy na rękach... Poczęła się msza cicha...

Odprawiał ją ojciec Lambert zawsze z takiém namaszczeniem, jakby duszą do nieba sięgał, cóż dopiero dziś, gdy mu tę młodzież, na którą gderał, ale ją kochał — żegnać i błogosławić przychodziło, nie bez téj myśli, iż niejeden z nich nie powróci!... Wśród szmeru modlitwy słychać było tylko ciche łkanie pani wojskiéj i Tereni, które oczy i usta chustkami tuliły, aby Medarda i towarzyszów jego nie smucić... Gdy od ołtarza przeżegnał ich przed ostatnią ewangelią, powoli kreśląc krzyż w powietrzu... najweselsze twarze okryły się chmurą...

Dopiero zrzuciwszy ornat, a wdziawszy stułę, stanął kapucyn u stopni, aby odczytać benedykcyę i pokropić ich święconą wodą... Pochylili głowy wszyscy, poklękali komu zbroje pozwoliły... a między czeladzią miększego serca i płacz się dał słyszeć... tak się obrzęd ten dokończył... Ojciec Lambert tylko mając już odchodzić, kropidło złożywszy, odwrócił się żegnając ich raz jeszcze ręką drżącą.

— Bóg Abrahamów, Izaaków i Jakóbów niech będzie z wami! — rzekł głosem cichym.

Mówił i słowa mu się urywały, i czuć było, że jemu, surowemu sędziemu spraw ludzkich — na łzy się zbierało niemęzkie... wolał więc odejść od ołtarza...

Wytoczyli się wszyscy za wojską ku dworowi... gdzie ich czekała ranna przekąska... Tuż i konie u ganku stały, i gwar był w dziedzińcu wielki... Wozy, ludzie, psy, gromady ciekawych wieśniaków, dzieci... wszystko to piszczało, rwało się, gadało i płakało... Coraz to który z czeladzi skoczył jeszcze żegnać jaką oczy fartuszkiem ocierającą dziewczynę.

Wojska chodziła milcząca, całując syna w głowę, patrząc w okna i nie widząc nic. Czuli, że gdy się to przewlecze, smutku tylko namnożą. Żołudek więc ostatni kieliszek podniósł.

— Komu w drogę, temu czas — i wielki czas... na koń!...

Medard jak stał, choć w zbroi — rzucił się plackiem do nóg matki, któréj stopy całować zaczął... Dopieroż lamenta... i łzy... Szczęściem ojciec Lambert nadciągnął.

— A co mi to za matki rycerzy! — krzyknął, a co mi to za żołnierz, który się we łzy rozpływa! A wstyd! a niegodnie!... Bóg z wami! na konie, dosyć tego...

Wzruszyły te słowa, posypali się więc pożegnawszy każdy do swych ludzi i siodeł... Wyszedł Medard ostatni... a siostra mu się jeszcze na szyi zwieszała zachodząc z płaczu... Matka modliła się

już... Medardowi w oczach wiło się wszystko... gdy na sułtana skoczył... odwrócił się ku domowi, skłonił głowę... zobaczył w oknie matkę, która go jeszcze krzyżem żegnała, i spiął siwego...

Ruszyli wszyscy... Żołudek przodem zanucił: *Sub tuum praesidium...*

Wozy ciągnęły za nimi.

Gdy śpiew ustał... a odwrócili się jeszcze spojrzeć za siebie, dworu tylko dachy było widać z za wałów — tuman kurzawy wlókł się za nimi. Konie raźno prychały, ludzie wzdychali... słońce przypiekać zaczynało... Tuż za wsią i łąką a polem, wjechali w dębinę należącą do Gołczwi...

W prawo za lasem tym szła granica i przytykała do Horbowa... a w Horbowie mieszkała pani Pociejowa z córką... Dopóki lasem jechali i dworu sąsiedniego widać nie było, trzymał się Medard krzepko, nie myśląc o niczém, tylko o matce, rozstaniu i o przyszłéj wojnie...

Gdy las się skończył, a nieopodal ukazał się dwór stary w drzew wianku, i drożyna od krzyża pod lasem wijąca się jakby na pokusę wlazła, a sułtan nawykły ku niéj się skierował... Medardowi jakby błyskawica przeszyła głowę i serce... Zawrócił się do Laskowskich, z którymi jechał razem.

— Jakeście bracia mili, nie mówcie nikomu i złéj myśli nie miejcie, muszę podczaszynę pożegnać... muszę! Na popasie, jeśli nie wprzódy was dopędzę, chybaby Bóg niełaskaw. Nie zabawię

wcale, tylko z konia siąść, w rękę pocałować i nazad...

— A no — rozśmiał się Laskowski młodszy — tośmy obaj z panem bratem wiedzieli, że waszmość także tu od krzyża zboczysz... A nie mów nam, że do podczaszynéj, bo po co kłamać, kiedy to Jadwisi oczy prowadzą? Niech Bóg szczęści...

Dawszy znak ludziom, aby z taborem jechali, sam konia poparł chłopak i drożyną po pod lasem ruszył żwawo... a koń drogę dobrze znając, kłusował ochoczo...

Dwór w Horbowie niegdyś był pański i dziś jeszcze choć trochę opuszczony, bo w nim podczaszyna nie od dawna mieszkała, straciwszy rezydencyę, z któréj ją bracia mężowscy wygnali — szczególniéj się odznaczał wspaniałym starym ogrodem, obwiedzionym murem do koła i piękną bramą w dziedzińcu. Reszta nie bardzo odpowiadała wyobrażeniu, jakie sobie o nim można było czynić z daleka. Dwór był wielki, sale ogromne, ale to pustką trąciło...

Jakże serce biło Medardowi, gdy się począł zbliżać ku bramie! Trochę sobie wyrzucał ten krok po wczorajszéj z matką rozmowie i jéj radach — lecz nie umiał się powstrzymać... Czuł grzech a brnął. Któż wie? — myślał — może ostatni raz ją zobaczyć? może nadaremnie przybyć, zostać odprawionym i powrócić z niczém?..

Dziwne bo to były stosunki z panią podczaszyną, i nie bez przyczyny serce matki się ich lękało. Dumna pani Pociejowa nie była ani razu w Gołczwi, o miedzę od niéj mieszkając. Zdawało się jéj, iż szlachcianka pierwsza odwiedzić ją powinna, a pani wojska wysoko téż się nosiła. Medard wypadkiem poznał wdowę i jéj córkę.

Pociejowa rodem była ode Gdańska i nosiła niepolskie nazwisko, wychowana była pono we Francyi i po cudzoziemsku... Gdy po przybyciu Maryi Ludwiki do Polski dwór się stał na pół francuzkim, wcisnęła się tam i była bardzo dobrze przyjmowana. Tymczasem mąż zmarł, przyszły z familią swary, na które i król Jmość nie pomógł, choć panią Pociejową bardzo lubił i chętnieby ją był zaprotegował.

Trzeba się było z córką dorastającą, przy uszczuplonym majątku, do Horbowa wynosić... Wprawdzie często się czyniło wycieczki do Warszawy, lecz stała rezydencya musiała być na wsi... Nawykła do innego życia, nudziła się jeszcze i nie stara i całe piękna, i bardzo zalotna podczaszyna...

Szukała więc rozrywki, jaką lubiła...

U dworu snać nauczyła się jéj szukać w myśliwstwie... Polowała więc i słynęła z tego, że strzelała dobrze, a na koniu sadzić po świeżéj roli się nie lękała...

Na jednych takich łowach, gdy się zapędziła na gołczwiańskie pola, spotkał ją Medard. Piękny,

zręczny, młody chłopak podobał się jejmości, która téż radaby mu się była podobać. Ale los inaczej zrządził. Zaprosiła go do Horbowa z sobą; tu Medard poznał pietnastoletnią jéj córkę Jadwisię.

Dziewczę było cudo piękności... ani podobna opisać, jak Bóg tę laleczkę stworzył... na któréj skazy najmniejszéj, nic, coby doskonałą jéj piękność zmniejszyło, znaleźć było niepodobna. Niezbyt wielkiego wzrostu, ale zręczna, kształtna, giętka... i w każdym ruchu uroku pełna dzieweczka... twarzyczkę miała jak z marmuru wykutą i różanym słońca promieniem oblaną, oczy czarne, wielkie, usta maluśkie, niby gniewne, niby téż uśmiechające... na karczek biały spadały ciężkie włosów sploty, które zdawały się ciężyć ślicznéj główce...

A śmiało się to wesoło, szczebiotliwe, pieszczone, swawolne, jakby przez całe życie z uśmiechem przejść miało...

Było to dziecię jeszcze, umyślnie przez matkę utrzymywane w tém usposobieniu dziecięcém... i było jéj z tém do twarzy, bo wyglądała jak anioł bez skrzydeł... Dowcipna, żywa, roztropna, ciekawa, Jadwisia zgadywała świat nim go widziała... a ze słów nieostrożnych matki snuła snać więcéj niż one mówiły.

Medard raz ją zobaczywszy, zakochał się śmiertelnie... Pani podczaszyna sama była jeszcze dość młoda i piękna, by odwiedziny młodego sąsiada

brać raczéj do siebie. Ten ją może z błędu wyprowadzać nie chciał, a może i nie domyślał się niczego...

Jemu tylko patrzeć trzeba było i słuchać szczebiotu tego skowronka zwiastującego wiosnę i miłość... choć sam nie wiedział, co śpiewał. W istocie Jadwisia była tak naiwna, tak dziecinna, tak śmiała, a z Medardem jak z bratem tak poufała, że go swojém postępowaniem mogła o szaleństwo przyprawić... Matka patrząc się śmiała. Znała widać córkę tak dobrze, iż się lękać nie potrzebowała...

Jadwisia ze słów, opowiadań i książek wiedziała o miłości, mówiła o niéj często nawet, ale dla niéj była to jakaś dworska zabawka miła, coś we wstążkach i w kwiatach, jakaś galanterya pusta, po za którą ani się domyślała uczucia i boleści... Od dzieciństwa odbijała się o jéj uszy ta jakaś miłość zabawna, wcale niegrzeszna, niby taniec dworski, którego się trzeba nauczyć i z reguł go umieć wśród oklasków odegrać...

Darowana wstążka, rzucony kwiatek, wyszyta przepaska... to były sceny dramatu, który znała Jadwisia, a w którym piękność, doskonale jéj wiadoma, grała główną rolę... Umiała się stroić i nadzwyczaj zabawnie udawać starszą, poważną wielką panię... królowę, któréj ruchy majestatyczne przy jéj dziecięcéj postaci cudną stanowiły sprzeczność.

Kochał się więc Medard na zabój i nie wypędzano go z tego raju... owszem, podczaszyna bawiła się nim, odwiedzinami, swoją władzą nad nim i córką, która lubiła Medarda...

Czytała dobrze w serduszku, które w swych rękach wypiastowała... tam miłość siebie, i próżność, i pustota zajmowały wszystkie kątki... na nic więcéj miejsca nie było.

Żartowano sobie z Medarda w Horbowie, a on męczył się na prawdę i kochał po młodemu szalenie...

Ranek letni był piękny. Czy téż już powstawali? myślał dojeżdżając do bramy... W bramie kilku sług stało... poznali sąsiada... skłonił się im z daleka, byli to wszystko przyjaźni mu ludzie, których dobrém słowem pozyskać umiał.

— Héj! panie Bernardzie — zawołał z dala... — a co we dworze słychać? Widzicie jadę na wojnę, radbym panię waszą pożegnał...

Bernard niby dworu marszałek, niby rękodajny dworzanin, ręką z podziwem w powietrzu zrobił jakby znak zapytania.

— Z naszą panią pożegnać się o pół do siódméj na półzegarzu! — zawołał — albo to pan Medard życia wedle dworskiego obyczaju nie zna? A któż to z kurami się kładzie i z kurami wstaje?.. Pani podczaszyna miała wczoraj gości... z Warszawy, i do północy grali i śpiewali... teraz śpią jak kamienie...

Medard już nawet z konia nie zsiadał — nie było na to rady — smutek go objął, głowę spuścił, milczący tak stał... Sułtan tylko korzystając ze spoczynku prychał i rżał. Czy rżenie jego kogo w domu zbudziło? Jeszcze Medard nie wiedział dobrze, co pocznie, gdy w ganku pod kolumnami zjawiło się — to, czego tak pragnął... dziewczę z czarnemi oczyma, które mu od ust bez ceremonii słało wesołe pozdrowienia...

Jużby go było nic w świecie nie powstrzymało naówczas u bramy... w dwóch skokach stał przed gankiem, a Jadwisia cieszyła się ślicznemu sułtanowi...

— A cóż to tak rano? we zbroi? dokąd? gdzie? jak?

— Na wojnę... panno podczaszanko...

Dziewczę się niezmiernie zdumiało...

— Jakto? i pan? i pan? koniecznie! dziś!

— Natychmiast! Chciałem tylko podczaszynę i pannę podczaszankę pożegnać, zwróciłem się z gościńca.

Poczęła dziwnie główką potrząsać...

— Jaka szkoda sułtana! — zawołała dziecinnie... — pył, kurz, błoto... głód może, wszystko znosić będzie musiał...

— A ja? panno podczaszanko?

Podniosła oczy zdziwione. Na myśl jéj to nawet nie przyszło...

— A pan? to prawda! ale pan jesteś... mężczyzną, rycerzem...

— I mnie pani wcaleś nie pożałowała?

— A po cóżbym miała żałować? — odpowiedziała spokojnie. — Pan mówiłeś tyle razy, że takbyś chciał iść na bisurmana — na Tatarów... na nie wiem kogo, byleby się bić... Myślałam, żeś pan szczęśliwy...

— A! tak — szczęśliwy, że na wojnę idę, ale nieszczęśliwy, bo panny podczaszanki nie zobaczę długo...

Jadwisia obejrzała się do koła żywo, bystro, i postąpiła krok bliżéj.

— A! to dobrze... — odezwała się ciszéj — matki nie ma, nikt nie słucha... powiedz mi pan... pan się we mnie zakochałeś?

Uśmiechnęła się — Medard stał zdumiony, rękę przyłożył do serca...

— Na śmierć! panno podczaszanko!

Uderzyła w dłonie.

— A! jakaż ja jestem szczęśliwa — zawołała z radością, która jéj tryskała oczyma... — A! jakże to dobrze! Ja będę miała swego rycerza! pan będziesz nosił moje kolory, spełniał moje rozkazy... pan mi przysiężesz wierność dozgonną... i nikt! nikt na świecie wiedzieć o tém nie będzie...

— Spełnię, co tylko każesz, podczaszanko... ale pani...

— A! ja! czekaj pan! — jakby przypominając coś sobie szeptała Jadwisia rękę przykładając do czoła — czekaj pan... ja... dam panu wstążkę na pamiątkę. Widzisz pan to jest już bardzo, bardzo wielka łaska... jabym tak od razu panu nie powinna dawać moich kolorów... ale mam litość nad panem... i jedziesz na wojnę...

To mówiąc, odpięła niebieską wstążkę od kosy włosów i śmiejąc się rzuciła Medardowi, który ją w powietrzu chwyciwszy, do ust przycisnął, a potém na piersiach pod zbroją schował...

— A! panno podczaszanko! królowo moja, daj mi jeszcze więcéj niż wstążkę, daj słowo nadziei!

Jadwisia cofnęła się, pociesznie bardzo kręcąc główką i surową przybierając postawę...

— O! co to — to nie może być! tak prędko! nie! toby było przeciwko wszelkim prawidłom. Nigdy w świecie... pan tego nie powinieneś nawet żądać, będąc grzecznym kawalerem...

Palcem pogroziła mu...

— Gdy pan z wojny powrócisz... no! zobaczymy... ale pan mi nie przysiągłeś... ja chcę przysięgi! Pan mi zawsze, do śmierci — powinieneś być wiernym... pan będziesz moim rycerzem, tak, moim, i żadnych innych nie włożysz kolorów...

Medard palce podniósł do góry...

— A! przysięgam... do zgonu... na wszystko, co jest najświętszego w świecie, co najdroższego mam... przysięgam podczaszance...

W téj chwili zaszeleściało coś, Jadwisia skoczyła, dając znak Medardowi...

Lecz popłoch to był próżny... We dworze z wyjątkiem służby stojącéj z dala w bramie, wszyscy spali. Jadwisia tylko raniéj wstać mogła, bo ją matka odprawiła zawczasu, nie chcąc, by była może świadkiem zabawy... jaką kilku płochych dworaków, cudzoziemców, sprawiało sobie — i jéj — w chwili, gdy kraj cały ogarnięty był trwogą i żałobą. Nie można zaręczyć za to, czy nadzwyczaj ciekawe dziewczę nie podsłuchiwało gdzie pode drzwiami.

Medard stał na koniu przed nią, nie mając siły ruszyć z miejsca, patrząc w rozpromienioną jéj twarzyczkę. Trudno było zaprawdę określić, kto z nich dwojga w téj chwili był szczęśliwszy, choć wcale inne uczucia w tych dwojgu młodych piersi grały. Medard kochał ją do szału, do zapamiętania... ona — była uradowana niezmiernie — a dziecinnie i niewinnie, że nareszcie miała kochanka — rycerza — uradowana jakby lalką lub nowym stroikiem... Jéj to dawało naostatek przywiléj dojrzałości... Miała kochanka! rycerza! który jéj poprzysiągł wiarę dozgonną.

Więcéj już nie potrzebowała nic — zupełnie jéj to starczyło... Zdaje się nawet, że Medard czy kto inny, było jéj prawie rzeczą obojętną. Wolała go może, bo był zręczny, przystojny, śmiały, bo jéj kolorem mógł dać zwycięztwo, a jéj dumie uciechę...

lecz nie czuła dlań więcéj nic nad trochę wdzięczności za to, że rozpoczęła nareszcie życie... że była wielbiona...

Po główce jéj latały jak motyle różnobarwne myśli słoneczne... Medard przez jéj miłość mógł się stać bohaterem... jego sława miała spłynąć na nią...

Zobaczywszy że nikogo nie było... Jadwisia znowu podeszła bliżéj ku swemu zachwyconemu rycerzowi.

— Pamiętajże pan! uroczysta w obliczu niebios przysięga!

Podniósła rączkę do góry...

— Wiarołomców karzą bogi!.. nie daj pan sobie wydrzeć téj wstążki...

— Nigdy! panno podczaszanko...

— A powróciwszy z wyprawy, złożysz u stóp moich trofea zwycięztwa... bo musisz być zwycięzca... inaczéj widzieć go nie chcę...

Mówiąc to żywo, pośpiesznie, uradowana, szczęśliwa... od ust jeszcze raz posłała mu pożegnanie... uśmiechnęła się.

— Pamiętaj! — powtórzyła i znikła.

Pan Medard stał jakby ze snu nieprzebudzony, jakby upojony szczęściem, którego się nigdy nie mógł spodziewać. Nie umiał on ani uczuć, co dyktowały jéj słowa, ocenić, ani trzpiotowatéj płochości dziecięcéj... dla niego było to coś wielkiego, uroczystego co rozstrzygało o życiu... on także

uczuł się w téj chwili raz pierwszy mężczyzną, a związanym przysięgą i obowiązkiem... Węzeł święty dlań łączył go z tą anielską istotą, któréj przyrzeczenia, wyrazy, uśmiech, pożegnanie inaczéj sobie tłómaczył niż były...

Szukał jéj jeszcze oczyma — ale napróżno... pusto było do koła... słońce podnosiło się szybko, nie mógł pozostać dłużéj. Znając doskonale drogi, spodziewał się towarzyszów napędzić jeszcze przed popasem... Wyjechał więc co żywo żegnając Bernarda i zebranych sług za bramę, i wziął się inną drogą prostszą, aby przeciąć gościniec... Sułtan, któremu do swoich koni tęskno było, puścił się drobnym kłusem jak wiatr szybkim, i długa jego srebrzysta grzywa rozwiana wionęła jak chorągiew.

Medard nie widział nic, nie słyszał, nie kierował koniem, dobył wstążki i całował ją, i szukał dla tego skarbu najbezpieczniejszego miejsca... dopóki go nie umieścił na bijącém szczęściem sercu...

O wszystkiém zapomniał w téj chwili. Przysiągł Jadwisi... i miał nadzieję nadziei... przysiągł jéj wierność do zgonu... Czyżby żądała przysięgi, gdyby on jéj był wstrętny?

— Powrócę zwycięzcą! — wołał do siebie — matce do nóg upadnę! dobra matka pozwoli... Jadwisia będzie moją!

Ani pomyślał o podczaszynie!

Obóz stał natenczas pod Krakowem, a znajoma nam szlachta lubelska rozsypała się tu po różnych

chorągwiach. Pełce dostało się być w pana Myszkowskiego regimencie, złożonym z różnéj drużyny, gdzie nikogo swojego nie znalazł, ani twarzy znajoméj, ani dłoni przyjaznéj. Smutna to rzecz młodemu wpaść tak między obcych, a jak tu jeszcze, starych po większéj części wyjadaczy, którzy sobie ową młodość lekko cenili, a z niedoświadczenia śmiechy stroili, choć czasy były cale nie do wesela i żartów...

Ktoby był poznał ów obóz, nie poznałby tego rycerstwa tak ochoczego i dobréj myśli, które zawsze bywało i w najgorszym razie serca nie traciło, ani fantazyi. Był to taki dopust na rzeczpospolitą, że go i najhartowniejszy człowiek równym umysłem znieść nie mógł. Nieprzyjaciela w kraju niejeden raz ludzie widzieli i pożogę najstraszniejszą, oną tatarską, co jak płomię niszczące przelatywała ogromne obszary, zostawiając po sobie pustynie — tego się ludzie nie lękali... gorsze przyszło daleko. Nie wiedzieć było gdzie szukać przyjaciela, a gdzie wroga, bo połowa lepsza przeszła do Szweda, i nierzadko jeden brat trzymał z Gustawem, a drugi z Kazimierzem... tak, że i w polu dostało się spotkać nieraz z takim, co go zamiast szablą ciąć, powinno się było uściskać.

Zadumani chodzili ludziska, nie wiedząc co począć. Kwarciani niepłatni już się burzyli, dopominając żołdu; inni mówili sobie, że gdy większa

połowa z Gustawem trzyma, toćby lepiéj do niego pójść wszystkim, aby raz pokoju zażyć.

Ale się serce na to drugim wzdrygało — boć przysięgali swojemu panu, a w złym razie na sztych go wystawić sromotą było. Nawet ci, co z królem nigdy nie trzymali, teraz go obraniali, bo nie winien był nic, tylko dopuszczenie boże go ścigało. Rozdwojone były umysły, chmurne twarze, niejeden zdania i żołnierz z obozu prawie w téj rozpaczy w nocy uchodził, aby doma być i od najazdu się jako obronić, a przynajmniéj gdzie familię w murach przechować.

Jeszcze się wszakże wielu zdawało, że Krakowa bronić potrafią, i ufano mocno Czarnieckiemu, który był jeden człek mały, wielkiego serca, co do końca nie wątpił, a męstwo miał tam, gdzie już drugim tylko łzy zostały...

W obozie przy jesiennéj pogodzie, a niewielkim dostatku, choć Kraków był tuż — smutkiem wiało jak po pogrzebie. Z ucha do ucha podawano sobie o królu szwedzkim takie wiadomości, że od razu serce odejmowały. Potłukł ci go był parę razy pan Czarniecki, ale kawałkami urywając, a całéj potędze mało było nadziei się oprzeć.

Choć z młodą odwagą, jaką niedoświadczenie daje, i z ufnością w powodzenie przybył pan Medard do chorągwi, tu cale inaczéj znalazł niżeli się spodziewał. Przyjęto go z ukosa patrząc... Na regestrze zapisany stał daleko, o co się niewiele

troszczył, ale z towarzyszów do nikogo przystępu, i od nikogo słowa.

Czeladź mu bito, wozy spychano... a od nikogo dobrego nic nie posłyszał. Ale harda dusza, gdy się tak zobaczył samotnym, rzekł sobie: „Wolę zostać pojedynkiem, niż się ludziom napraszać“. Nie zważał i na to, że go zawsze słano gdzie najciężéj było wytrzymać: po nocach, na podjazdy, na straże; — pełnił co przykazano i milczał, trzymał się, aże miał postawę silną i widziano, iż sobie w kaszę napluć nie da — nie zaczepiali go, samopas tylko zostawując.

Przecież smutno mu było.

Pod innemi chorągwiami miał znajomych, przyjaciół i krewnych, byłby się pomieścił, ale wziął to sobie za honor, aby od złego nie uciekać, ale je przemódz i zwyciężyć. Łatwa rzecz była ujść — a śmiech za sobą zostawić. I mówiliby słusznie, że go ztąd wykurzyli.

— Licha zjedzą, nim mnie do ucieczki zmuszą, — rzekł w duchu i trwał.

A trwać trzeba było tam prawdziwie dzień i noc oka nie mrużąc, ucha nie odwracając, bo się nań uwzięto, aby dojadać — a że im nie szło, bo się zawsze obronił i cało wyszedł, tém więc się naposiedli nań.

Do zwady kilkakroć o włos nie przyszło, przecie się jeszcze rozmyślali. Radby jéj był Medard i wyzwaniu na rękę, bo wiedział, że rycerskich

ludzi nic tak nie jedna, jak gdy się zetną i porąbią. Choć tu niezbyt nawet było bezpiecznie, bo słynęli z téj chorągwi towarzysze, iż im i rozsiekać w kilku wpadłszy na jednego, nie było osobliwości. Miał przyporzysko swe z ludźmi i końmi Pełka przy węgle stodoły, którą kilku z towarzystwa zajmowało... Mało nie chlew mu się dostał; bo to był kawał dachu na słupkach, który czeladź chróstem z płotu wyłamanym ścianami ostroiła od wiatru i deszczu zimowego, co niemal dzień w dzień przechodził. W téj biedzie jeszcze wytrwać jako tako było można, bo dach trzymał i nie przeciekał. Całe tu gospodarstwo, i sułtan, i wozy, i pod wozami czeladź się tuliła.

Ściana drewniana tylko dzieliła go od zajmujących stodołę, a że była dziurawa i nieszczelna, słyszał przez nią łatwo co rozprawiano pod bokiem...

Trafiła się nieraz nieostrożna mowa i o nim samym, — puszczał ją mimo uszu... Wieczora tego Medard wróciwszy z objazdu, wcześnie się na wojłokach położył, aby trochę dać kościom wypocząć — ale nie spał. W stodole świeciło się jeszcze, ichmość towarzysze przy latarce grali w kości i baraszkowali, miodu sobie nie żałując, bo to sławny był ów dawny miód krakowski...

Snadź musiano sądzić, iż Medard z objazdu nie wrócił, bo rozmowa się toczyła swawolna o nim. A słyszał ją tak wyraźnie, jakby naumyślnie mu ją do uszu kładli.

— Wlazło nam to do chorągwi — mówił stary Żebrowski — i ani się myśli starszym akkomodować, ani dba jak się na niego patrzą... Prawda, że swoje robi... ale do życia z towarzystwem się cale nie zda...

— Choćby go *mores,* mocanie, nauczyć trzeba— odezwał się drugi, Broński niejaki, ja to dawno mówię. Chłopak snadź pieszczony, słyszę jednak u jejmości... przy podwice się chował — to zaraz znać... Chrzestby mu dać!

Rozśmieli się, a w Medardzie krew zawrzała, ale się poskromił — myśląc co daléj prawić będą... Ręka mimowolnie szukała szabli — słuchał...

— Kiegoż bo licha zwłóczyć! — zaśmiał się ten sam Żebrowski: potrącić go i obciąć, będzie miększy...

— Kat go wie jak się bije — odparł Broński.

— Młokos, choćby się bił najlepiéj — mówił stary Żebrowski — na sztuki go wziąć można... doświadczenia nie ma...

— Bywały takie wypadki, że młodzi starych obcinali — dodał Broński.

— A no — rozśmiał się z boku inny: waści, panie Tadeuszu, nikt nie wypiera... jeśli się boicie!

— Słuchaj! — zaryczał zagadnięty, aż się stodoła zatrzęsła — co ty mnie tu tchórzem będziesz czynił?.. ty — jakiś...

Porwali się do szabel, rozerwano ich... Żebrowski pluł, jak ma zwyczaj gdy zły był...

— Jedną waści radę dam, Broński — rzekł — musisz z nim szukać zwady i ściąć się... bo się inaczéj nie oczyścisz...

— A choćby przyszło i do tego? Myślicie, że mi straszny...

Tyle Medard słyszał, bo gwar się zrobił w stodole i poczęto wołać i pić, i czém inném zagadywać, a w końcu Pełka usnął ze znużenia, nim oni się rozeszli.

Nazajutrz rano deszcz pruszył. Zbudziwszy się, przypomniał sobie co nocą słyszał. Ostrzeżony był i wiedział jak poczynać. W stodole znowu huczało... Medard około koni i siebie się zakrzątnął...

Wtedy gdy się ludzie kręcą, Broński stanął pod boki się wziąwszy naprzeciw i poświstując patrzał— miny robiąc różne... Medardowi zdało się do czasu tego nie widzieć, nie z bojaźni, bo kipiał cały, lecz żeby pierwszy zwady nie szukał, któréj już był pewien.

Broński podśpiewywać zaczął... a nucił coś na Lublinian, że są hołysze, i że bez koszul chodzą... Coraz głośniéj śpiewał, że go już nie można było nie słyszeć.

Wystąpił Pełka z pod daszku.

— Mości towarzyszu — rzekł — myślę, że to do mnie przyśpiewujecie na dzień dobry? czy wam skóra świerzbi?

— Nie skóra, ale dłoń, gdy na waści patrzę...— odparł butno Broński.

— Trzebaby jéj krwi upuścić, to jedyna rada — odezwał się Pełka... — możebyście po cyrulika posłali do Krakowa?

Czeladź się śmiać zaczęła, Broński przystąpił krok.

— A już tego dość! — krzyknął — wlazłeś nam tu, gagaciku... nieproszony i niedziękowany... myśmy tu starzy towarzysze, chodzisz pojedynkiem na nikogo nie zważasz... trzeba cię rozumu nauczyć.

— Byle po kawalersku — odrzekł Medard: jeden na jednego, nie dziesięciu, jakeście ze Trzcińskim zrobili, bo to niepoczciwa i nierycerska...

Broński się zapierzył i już szabli dobywał.

— Stanie mnie jednego na ciebie! — krzyknął — wychodź z jamy!..

Ledwie tych słów domawiał, gdy Pełkę już miał przeciwko sobie. Ani słowa nie rzekłszy, stanęli z szablami dobytemi. A że zwadę pewnie i widziano i słyszano, kołem się zebrało dużo ciekawych, szczególniéj z szopy, wczorajszych.

Wszystko to milczało, szydząc sobie i drwiąc z pod wąsa.

Broński był żołnierz stary, rębacz dobry, człowiek ostrożny, ręka silna — serca miał wiele, ale dosyć był nieszczęśliwy w starciach, mało kiedy bez kresy wyszedł.

Słyszeli wszyscy, gdy Medard mówił o Trzcińskim rozsiekanym, a że to była sprawa naganiona

i któréj się po trzeźwemu wstydzono, nie pomyślał nikt za Brońskiego się zastawić.

Cicho jak mak siał... w koło gromada, deszczyk kropił i ziemia byłaby oślizła, szczęściem pod nogami wybrał się piasku kawałek...

Pełka umiał z pałaszem dać sobie rady, a miał batorówkę, śmigającą, lekką, wypróbowaną, którą dwa portugały na wpół przecinał...

Już przy pierwszém zwarciu poznał Broński, że będzie miał do czynienia z rębaczem doskonałym, cofać się nie była pora, tylko usta zaciął i pobladł, kilka razy się spotkały szable i szczęknęły, złapać Pełkę na nieopatrznego nie można było, ciąć się ani tknąć nie dawał. Dwa razy sam zaciął po suknie Brońskiego, ale bez szkody. Może jedno Zdrowaś Maryo trwała robota, gdy Broński po prawéj ręce dostał, ale tak dobrze, że szabla mu wypadła, a lewą się za nią pochwycił i uskoczył w bok piszcząc... Pełka go mógł po plecach spłazować, ale dał pokój, zawołał tylko:

Staremu żołnierzowi... przebaczona; gdybym z innym miał do czynienia... dałbym pamiętne... choć płazem.

W koło się śmiać poczęli.

— Gracz! zawołał Żebrowski — ale kiedyś taki tęgi do płazowania, a choćże za mną...

Ten był kościsty, gruby, wyrobiony człek i straszny na cały obóz.

Nie mam do waćpana ani urazy, ani przyczyny — odezwał się Pełka, — a czasu wojny zabawiać się nie pora!

— Cóż ty mi smarkaty jakiś — ryknął Żebrowski — nauki będziesz dawał!.. Ot masz przyczynę...

Złożyli się w chwili...

Tu już były nie przelewki... Wiedział Pełka, że na sucho nie wyjdzie, szło mu o honor, aby wziąwszy coś i sam téż dał — patrzał tylko gdzie trzepnąć...

Raz, drugi zamierzyli się napróżno... Medard... następował — stary chcąc się poprawić, nogą na trawę cofnął i ośliznął odrobinę. Tego było potrzeba Pełce, który w łokieć ciął z całym impetem, a w téjże chwili po ramieniu, jakby go co skrobnęło...

— Dosyć! zawołano ze wszech stron — dosyć!

Między patrzącymi był niejaki Ozderski, człek imienia nieznanego, ale żołnierz osiwiały i którego nauczyli się szanować wszyscy. Mruk był małomowny... a co na żołnierza rzadka, nabożny bardzo, różaniec na zbroi nosił i malowaną Najświętszą Pannę na ryngrafie... a pod nią krzyż mosiężny w napierśniku. Ozderskiego nazywano pod chorągwią kapucynem, bo i brodę całą nosił, i głowę miał wyłysianą tak, że na niéj tylko niby korona z włosów zostawała. On pierwszy zawsze Bogarodzicę zaczynał i Pod Obronę, gdy szli ran-

kiem w pochodzie — do mszy sługiwał... Jemu dawano do strzeżenia pieniądze chlebowe i co kto miał droższego... Człek był wielkiéj poczciwości...

Ozderski wystąpił pierwszy z koła do Pełki i wyciągnął rękę...

Dosyć tego, zawołał — wypróbowaliście, że nam wstydu w chorągwi nie zrobi — nie odpychajcież go — ja z nim stoję... a kto chce mieć do czynienia z Pełką, będzie miał i ze mną.

Wściekali się przyjaciele Żebrowskiego i on sam. Nie szło mu o ranę, bo ją zaraz zalepiono; nie szło o bół, bo do tego był nawykły, ale że się młokosowi dał ciąć sam ledwie go udrapnąwszy, bo Pełce tylko kontusz i półżupanik rozciął precz, a na skórze siną pręgę zostawił, krwi nie dobywszy. Na śmiechu się tedy skończyło i przejednaniu niby; miał za sobą choć Ozderskiego Pełka łatwo przecież poznać było, że tam ani na prawdziwą zgodę, ani na przyjaźń wielką rachować nie wypadało...

Zostali we dwaj sam na sam — bo się reszta rozlazła powoli po szałasach i po szopach. Medard nowego przyjaciela zaprosił pod swój daszek, a że nie było na czém siąść, kulbakę mu wyrostek podstawił. Dobyto puzderko z wódką i wędliną... lecz że to piątek był, Ozderski podziękował i chlebem zakąsywał...

Ojca waszmości znałem—rzekł siadając stary— takuteńki był, jak dwie krople wody za młodu.

Dziarskoś się znalazł... Ja na waszeci z dawna mam oko. Po co ci było takiego pułku szukać, gdzie najcięższe życie?... Mało tu kto wytrzyma...

— Prawda to — odpowiedział Medard — lecz gdy się raz weszło, już nie rycerska rzecz była się cofać.

Masz słuszność — dodał Ozderski — a co będzie dalej? Myślicie, że to już koniec?

— Sądzę, że początek.

I ja tak trzymam — mówił stary — a no Bóg jeszcze jeden wie co z nami tu wszystkimi będzie... Chcą Krakowa bronić — azali potrafią — nie wiem. Drudzy już o domach myślą, inni o Szwedzie pomrukują. Nigdy u nas tego nie było co dzisiaj. Gdzież kto słyszał, żeby mając swojego pana, ludzie się do cudzego garnęli?

Westchnął.

— A pan Czarniecki? wtrącił Pełka.

Podumał stary.

— Jeden nie starczy, rzekł, choćby największe serce miał, gdy drugim na nim zbywa. Stary to żołnierz, a czy za nim pójdą drudzy? nie wiem. Prywata się u nas zagnieździła. Jakżeby to Lanckorońskim, Potockim i Lubomirskim pod takiego iść, co wczoraj nie miał nic, i jakby sroce wypadł z pod ogona?.. A któż go znał przed kilkunastą laty! gdy mu jak na pośmiewisko król dał — Świniuchy? Tak tam panowie pracowali, że gdy już nagrodę trzeba było dać choć za te zęby, które mu

kula wybiła — jeszcze choć w nazwisku ugryść starali się, i Świniuchy mu wydzielili... Cóż ten człek pocznie, — *homo novus,* gdzie starych powaga nie starczy?..

Westchnął Ozderski i mówił dalej zakąsując chlebem.

— Czy tam który do króla Jmci serce ma czy nie, to rzecz poboczna... boć to król dziwnego autoramentu, ja to sam powiadam... mnichem chciał być... wszystkiego próbował i nic mu się nigdy nie udawało — ale pomazaniec boży... i pan nasz... odstąpić go nie chrześcijańska i nie synowska rzecz.

— Ja też do regalistów nie należę, — ozwał się Pełka — bo u nas w rodzie tego nie bywało, byśmy dworowali; przecież trzymam z wami — majestatu bronić należy...

— Choć to majestat biedny, co sam obronić się nie umie, tylko narzeka a nawołuje i płacze... i dosyć.

To rzekłszy, wstał Ozderski, podał dłoń Pełce, który go z należytą siwiźnie czcią w ramię pocałował, i pociągnął. Został się Medard sam pod daszkiem, słysząc jak w szopie wrzawa się ogromna jęła. A że wczoraj na podjazdach był i dnia się spodziewał wolnego, poszedł zaraz do pułkownika, aby się do miasta wyprosić choćby do nocy.

Był podówczas Mrozowski wicegerentem pułkownika, bo samego w obozie nie widziano; do niego się więc zameldował, choć drudzy i bez mel-

dowania szli gdzie się któremu podobało. Pełka téj winy na sobie nie chciał mieć.

Mrozowski, choć jakoby z Tatarów pochodził, bo mu to niektórzy zadawali, żołnierz był ostry i człek prawy... Zgryzot się niemało najadł z towarzystwem swém, któremu rady trudno dać było... Znał on wszystkich, nietylko z imion, nazwisk i twarzy, ale z humorów, i na co który kulał. Pełkę ostro trzymał, choć mu krzywdy nie wyrządzał, a był w każdym czasie takiego oblicza człek, jakby się wiekuiście gniewał, nadąsany, kwaśny, niby zły i pomrukujący. Może wiedział, że gdyby się nieco łagodniejszym uczynił, jużby po nim było, niktby go nie posłuchał.

Gdy Pełka pod namiot wszedł, już snać wiedział co zaszło — ostro nań spojrzał.

— A co to waszmość za okazyę miał?—zapytał.

— Ja żadnéj — rzekł Pełka — do mnie ludzie jéj szukali, trudnoż się dać zjeść.

Zmilczał Pułkownik...

— Wczoraj na podjeździe byłem — a dziśbym do miasta życzył, na kilka godzin...

Pokiwał głową Mrozowski.

— Jeszcze to łaska, że ja o tém mam wiedzieć — bąknął — drudzy się nie pytają.

Chodził po namiocie wąsa targając... potém przystąpił do Pełki.

— Czy waszmości tu służba bardzo słodka?— zapytał.

— Choćby piołunem była — ozwał się Pełka — na tom żołnierz...

— A gdyby się rozlazła chorągiew jako drugie — rzekł Mrozowski — cóż począć myślisz?

— Zostać przy niéj do ostatka...

— Wkrótce tu nie będzie co robić pono — mruczał Mrozowski. Z waszeci dobry być może żołnierz, ani słowa — ale na téj wojnie nauczyć się wiele będzie trudno... Królowi Jmci wiernéj garści trzeba, coby za nim szła, gdziekolwiek go losy zaniosą — nie chcesz waszmość do téj selwegwardyi należeć?

Spadło to niespodzianie na Pełkę, tak, że z razu milczał długo, a ten mu w oczy patrzał.

— A no, jakże? — dopytywał.

— Wielki to zaprawdę honorby był i pożytek dla mnie, wybranym do niéj być — lecz mi wolno prawdę rzec. Na wojnę wyszedłem, żeby się bić — a wątpię, by król na wojnę szedł, bo pono salwować się nie chce. Na dworaka zaś anim stworzony, ani się czuję powołany...

— Nie wyrzekaj się — przerwał Mrozowski: — wszystko to dobre coś rzekł, trzeba jednak pomyśleć. Gdyby tak wszyscy mówili, że dworować nie chcą... koło królaby człeka nie zostało...

Pełka milczał.

— Jedź waść do Krakowa — dodał stary... choćby na dwa i trzy dni — ale jedź jak ja poradzę, aby się rozpatrzyć. Kartkę waści dam do

Lubomirskiego marszałka... Nikt nie będzie cię silił... zobaczysz, pomiarkujesz... jeśli ci się zda, że to nie twe miejsce, powrócisz do chorągwi...

— Spojrzał nań pułkownik — Pełka milczał.

— Cóż — zgoda? — zapytał.

— Nie może być, tylko posłuszeństwo ordynansowi — rzekł Medard... Wszak-ci powrócić mi wolno będzie, i czeladź tu zostawić. Troska tylko o nią. Wezmę z sobą szeregowego lub pacholika, resztę zostawić trzeba — to mi tu ich na kapustę panowie bracia porąbią.

Uśmiechnął się Mrozowski.

— Dacie mi ich do moich w opiekę, a włos im z głowy nie spadnie, odezwał się. Ja do marszałka piszę, a waszmość konie siodłać każ, i jeśli król na Bielanach, to się melduj na Bielanach, a jak w Krakowie, to na zamek lub gdzie będzie...

Tak się skończyła rozmowa. Pełka pokłoniwszy się odszedł, nie wiedząc co o tém trzymać. Zdawało mu się, że od zemsty go broniąc, pułkownik wysyłać chciał — a to mu nie smakowało; to znowu ciekawość brała, dwór i króla, którego chyba na talarach widywał, zobaczyć.

Gotował się więc do drogi — co niewiele czasu zabrało, tylko na odmianę suknie musiał wziąć z sobą przedniejsze, aby mieć w czém na dworze wystąpić.

Pacholik z Gołczwi rodem Gabryk, zuchowata sztuka, piśmienny, śmiały, obrotny i z końmi się

znający dobrze, miał mu towarzyszyć, bo to była jego prawa ręka... i najlepszy przyjaciel, od tych jeszczę czasów, gdy razem bodaj wróble wykręcali i na grzyby chodzili z rusznicami do lasu.

Ku południowi wypogadzać się zaczęło i deszcz ustał, a szmaty chmur podartych tylko uganiały się po bladém niebie. W dali ciemne mury Krakowa z wieżami swemi i bramy, stały jak wał najeżony... Z obozu płynęło tam wiele, bo każdy czegoś potrzebował, i chciał jeszcze dobréj myśli zażyć, dopóki zła godzina nie przejdzie. Szwedzi bowiem z całą potęgą swą i sam król pod Kraków ciągnął.

Warszawa już była zajęta, gościli tam Oksenstierny... i dziwy opowiadano, jaki rabunek okrutny po zamku i kościołach się szerzył. Ludzie uchodzili ztamtąd z życiem, bo i tego nie byli pewni.

A co wprzód miasto bezbronne stało, Szwedzi się w niém trzymać myśląc, wały sypali.

Około Krakowa téż pan Czarniecki pracował, bo i tu stare mury i bramy wielce rąk potrzebowały. Przez długie lata obrosły one jak grzybami poprzyczepianemi domostwy. W tych ciasnych gniazdach mieściła się siła rodzin ubogich, rzemieślników, wyrobników, przekupniów, których teraz na cztery wiatry trzeba było rozpędzić, a domostwa poklecone rozrzucać i palić.

W mieście ruch był żwawszy niż w największy dzień targowy, ulice pełne, rynki napchane, w bra-

mach gwarno od koni, wozów i ludzi. W wielu miejscach ani się przecisnąć, zadławiło się przejście, ludzie klęli, konie rżały, a baby płakały. Żołnierstwa, żydowstwa, pospólstwa tłok był wszędzie... Zdawało się, że już chyba nieprzyjaciel na karku siedzieć musiał, a co żyło, w mury się napchało.

Pełka z Gabrykiem ledwie się do Floryańskiéj bramy dostali, a tu z niemałą biedą przejechać mogli. Choć to był dzień powszedni, wydawał się niedzielą, tak wszędzie było przepełnione. Pod Panną Maryą, i gdziekolwiek obraz lub krzyż wisiał, paliły się świece, i ludzie klęcząc śpiewali pieśni nabożne. Lamentujące ich głosy mieszały się z klątwami żołnierzy i szwargotem żydów z Kazimierza, którzy z wojny korzystali, handlując czém kto mógł.

Widok, jaki przedstawiał rynek, niewiele się różnił od ulicy przebytéj; tu także rycerstwa i koni i taboru było pełno, a koło ratusza i Sukiennic ciżba mieszczan niespokojnych o losy miasta, bo co chwila nadbiegał ktoś zwiastując ciągnących Szwedów i ich króla.

Postrach rzucało samo to imię, bo już mu się i Wielkopolska, Warszawa i wiele miast poddało, i wojska polskie ciągnął za sobą, i Radziejowskiego miał, i innych zdrajców niemało. Cała nadzieja była na panu Czarnieckim, chociaż ludzie przebąkiwali, że dobry on był w polu, gdzie trzeba było napaść, urwać, stłuc i zaraz się rzucić gdzieindziéj,

a nie w murach zamknięty, kędy innéj trzeba umiejętności i sztuki. Na mieście znać było popłoch wielki — prawie rozpacz... a motłochu tyle zewsząd napłynęło, że nawet pewném być nikt nie mógł, aby i tu się zdrajcy nie wcisnęli.

Mieli Krakowianie w murach swoich króla, ale ten wielkiego zaufania nie budził, więcéj politowania nad sobą, — odbieżany bowiem był i bezsilny...

Dodawało strachu między ludźmi, iż szeptano, jakoby Lubomirskiemu marszałkowi zdawano skarbiec koronny, który na furach wywożono nocami, już i zamkowi nie ufając.

Słowem, widowisko to było ściskające serce młodego Pełki, miasto niegdy potężne, dziś jakby mrowisko, w które padł grom ruszające się trwogą i w zamęcie. Kościoły stały cały dzień wszystkie otworem, świece paliły się po ołtarzach, śpiewano pieśni, wiele ludzi krzyżem leżąc szlochało.

Rozmyślając nad tém a przyglądając się, jechał daléj Medard ku zamkowi, gdy w ulicy rozstępujący się szeroko lud oznajmił mu, że ktoś ciągnął przed kim z drogi trzeba było ustąpić. Cofnęli się więc razem z Gabrykiem ku wrotom kamienicy... i tu stanąwszy, patrzali.

Jechało najprzód konnych kilku ze dworu, ludziom dając znać, aby się mieli na ustęp; potém szło kotcze pana marszałka w cztery konie z niebieskiemi aksamitnemi srebrem okładanemi chomątami uprze-

żone, potém dworzan kilkunastu otaczających poszóstną karocę otwartą. Siedział w niéj z boku posępnéj twarzy, z cudzoziemska wyglądający mężczyzna, jakby zmęczony i zagniewany, w stroju francnzkim czy niemieckim, z koronkami przy czarnéj sukni aksamitnéj, w kapeluszu z piórem czarném, trzymający w ręku rękawiczki, których snadź włożyć nie miał czasu... Był to król; pokłonili mu się wszyscy, ale milczeli stojąc i nikt nie okrzyknął... Jan Kazimierz oczyma jakby osowiałemi poglądał po tłumie, i niby widząc, niby nie widząc, kiedy niekiedy rękę do kapelusza przyłożył. Na stopniach karocy z obu stron stało po dwóch karłów, a z tyłu dworzan dwóch się uczepiło... Nie było z nim na siedzeniu nikogo, tylko naprzeciwko w sukni zakonnéj — braciszek jezuicki... Za powozem króla jechało jeszcze konnych panów kilkunastu, skromnie ubranych... Cała kalwakata zawróciła się do kollegium akademickiego, gdzie król, jak mówiono, jechał jeszcze raz z astrologiem sławnym dr. Żebrowskim przyszłość swą badać, bo mu jéj on pierwszym razem, narysowswszy i obrachowawszy *nativitatem,* wyjawić nie chciał co znaczyła.

Po frasobliwych minach króla i dworu, lepszych na przyszłość nie można się było spodziewać wypadków.

Namyślał się tedy Pełka, czy zaraz się do dworu przyłączyć i marszałkowi przedstawić, lub w mieście

nieco spocząć... a zdawało mu się lepszém niezbyt spieszyć... i lepiéj się rozpatrzyć i rozsłuchać...

Zajechali tedy do znajoméj gospody w rynku pod Murzyny.

Na wstępie zaraz nadarzyli się chorążyce Laskowscy, którzy tam już snadź przydłuższy czas byli, bo porozdziewani wyszli i w dobrych humorach. Zobaczywszy Medarda, o mało go z kulbaki na rękach nie znieśli.

— Bywajże nam, miły panie sąsiedzie a towarzyszu, coś się tak dziś dzielnie sprawił, że o waści w całym obozie jeden jest głos: — dał im dobrą naukę. Lublinianie górą! wiwat!

I ta wesołość, i to przyjęcie nie bardzo ucieszyło Pełkę, ale z dobrego serca musiał je przyjąć. Oddał tedy konia Gabrykowi, który się z nim do szopy ledwie mógł wcisnąć, bo tam już stało całe stado... a sam zaraz z Laskowskimi szedł do wspólnéj izby na dole...

Napchana była tak, aż gorąco buchało od ścisku wielkiego, i słyszeć nic nie było można, tylko jakby war wielki, kiedy woda szumi, przerywany niekiedy głośniejszym śmiechem i krzykiem. Stołów było dosyć i ław przy nich, dokoła i pośrodku, a no, na nich nietylko miejsca upatrzyć nie było można, ale dużo się z drugiéj strony po ławach poprzysiadało i poczepiało, a inni i na same stoły powłazili.

Chciał się cofnąć Pełka z pośrodka tego zamętu, wzięli go pod ręce Laskowscy i poprowadzili do

kąta, gdzie sami Lublinianie siedzieli znani i nieznani, a pili na zabój. Oprócz Świnarskiego, Żołudka i znajomych, kupa była takich, których Pełka w życiu nie widział... Był jeden Dłuski, choć krewny daleki Pełków, a daleko mieszkający, więc z twarzy niewidziany nigdy, Chrzanowscy i Masłowscy, i siła różnych. Gdy go Laskowscy przyprowadzili, mówiąc, że tryumfatora wiodą, wszczął się między Lublinianami gwar, i wstali wszyscy, kto z czém miał, zdrowie pić, że honor ziemi ratował. Szerokich dłoni wyciągnęło się ku niemu ile ich tam było, a on je po kolei ściskał... Posadzili go zaraz między siebie... Pełce byłoby może to pochlebiło, gdyby weselszym mógł być, popatrzywszy niedawno na miasto i na trwogę jego, a przypominając sobie ową ciemną i posępną twarz królewską... na któréj losy Rzeczpospolitéj wyczytać było można.

— Coś mi wasze — zawołał Świnarski — nie wyglądasz teraz na tego zucha, jakim z rana byłeś? cóżeś to połknął?

— Nic mi nie jest, — rzekł Pełka, jako był zawsze szczery i otwarty, i co myślał tego w sobie zdusić nie umiał — a przyznam się waszmościom miłym panom braciom, że mi widok Krakowa serce zakrwawił. Bodajbyśmy się w nim obronić potrafili Szwedowi... a daléj i w całym kraju, bo go już posiadł...

Siedział téż koło Medarda okrągły człek jak bańka, twarz pyzata, postawa wszystka jakby wy-

dęta, ręce jakby na nich skóra popękać miała, oczy jakby mu je na wierzch wysadzało, rumiany i sapiący... Był to téż Lublinianin... niejaki Świrski, dobrego bardzo rodu, Rusin, ale z kniaziów... ten się począł na całe gardło śmiać.

— Nie znamy się, mości Pełko, — rzekł — więc przebacz poufałość, starszy jestem, powiem ci jedno, co na całe życie posłużyć może — choćbyś się za radę i pogniewał, bo ci się z nią nieproszony cisnę. Nigdy się ewentem spraw ludzkich do zbytku frasować nie trzeba. Nam się zdaje, że my tém coś pomożemy! Gdzie zaś!... my się zmagamy do potu, a Pan Bóg chlaśnie dłonią i powywraca, gdy zechce, cośmy najdłużéj po odrobinie budowali... Więc i teraz, choć bieda to hoc — Rzeczpospolita jak trawa po kośbie odrośnie... a dopustu Bożego nie zmienimy...

Uderzył go lekko po ramieniu.

— My swoje zróbmy, a resztę Bogu zostawmy.

— Ale bo prawda! — podchwycili drudzy — Świrski doskonały kaznodzieja, tylkoby go na ambonę...

Poczęli się śmiać.

W tém obejrzał się Pełka: u drugiego stołu Żebrowski z ręką obwiązaną siedząc, wąsa ponuro kręci. Trącił łokciem Laskowskiego, szepcząc mu: Ot jeden siedzi...

Żebrowski dopatrzył Pełki łatwo, pofałdowało mu się czoło, coś począł szeptać ze swoimi. Łatwo

było wnieść, że sam nie mogąc dla rany, nasadzał przyjaciół, aby w gospodzie i tumulcie, o który zawsze łatwo, Pełkę porąbali. I on się téż tego domyślał, ale Lublinian była sroga kupa, i niedobrze ich było zaczepić.

Poczęli tedy pić, bo Świrski chcąc dowieść, że nietylko kazania umiał prawić, ale i częstować potrafi — dzban kazał przynieść nowy...

Od stołu do stołu krążyły nowiny na okół, więcéj złych niżeli dobrych. Odzywano się już, iż król z Krakowa na Szląsk myślał uchodzić do królowéj, że skarby wywożono, że Gustaw sam pod stolicę ciągnął; najbardziéj to serce odejmowało iż nie ufając w zamek i mury, klejnoty koronne zabierano...

Krążyła téż gadanina, iż dr. Żebrowski astrolog coż lichego królowi miał przepowiedzieć, a właśnie o tém gwarzono, gdy stary ów ranny Żebrowski powiedział, iż od brata z kollegium jedzie — i że najlepiéj o tém wie.

Astrolog ów był, jak się okazało, rodzonym owego z pod chorągwi Żebrowskiego, co go Pełka rano nauczył młodość szanować. Poczęli tedy wszyscy dopytywać i nalegać — aby im powiedział, ile w tém prawdy i jaka była...

— Krótka to i niedobra rzecz — począł Żebrowski. — Król jegomość dopominał się u brata mego, żeby mu przyszłość przepowiedział, któréj figurę zrysował doktor, ale mu tak fatalnie wypadło,

że za pierwszym razem przed królem, nie chcąc go na duchu osłabiać, złożył się niedostatecznym rachunkiem... i nic mu nie powiedział. Posyłał tedy król ustawicznie, żeby mu eksplikował... aż oto dziś stało się zadość.

Zewsząd się posypały pytania: — A cóż?

Żebrowski ramionami ruszył.

— Nie bardzo ja wierzę, żeby człek Pana Boga mógł odgadnąć — krótko odparł żołnierz — jednak powiada pan brat, iż tak mu padło, jakoby król z teraźniejszych zawikłań miał wynijść cało — ale że ani w Polsce, ani królem nie umrze...

Zamilkli wszyscy.

Wtém, gdy się znowu do szklanek zabierali, odedrzwi ktoś podszedłszy, pana Medarda po ramieniu uderzył. Był to posłany przez wicegerenta towarzysz, który miał sobie zalecone, aby Pełce udanie się na zamek przypomniał. Rad był temu po części, bo mu kielichy nie w smak szły, i pożegnawszy swoich, wyrwał się od nich za posłem spiesząc, który go miał do pana marszałka Lubomirskiego doprowadzić. Snadź o ludzi niełatwo było dla króla, gdy ich tak tam ciągniono.

Laskowscy go aż do sieni przeprowadzili z wielkiemi okazami przyjaźni, za którymi też i Żebrowski wyciągnął, nie bez przyczyny.

— Słuchaj wać, jak się zowiesz, Pełko — rzekł z dala — pono mi się z pod chorągwi wynosisz, abym cię za moją krew nie karał; ale mi nie ucie-

czesz — prędzéj czy późniéj znajdziemy się i za swoje oddam.

— Bądźże waszmość pewien, — odparł Pełka — że ani mu uchodzić myślę, ani się go obawiam; znajdziecie mnie w pogotowiu na zawołanie.

To rzekłszy, skłonił się Laskowskim, siadł na koń i do zamku jechał.

* * *

Królowéj już naówczas w Krakowie nie było, a król téż choć był rad dotrwać placu nieprzyjacielowi, mało się tu sam czuł potrzebny. Nie dodałby nic osobą swą, a wiele mógł przeszkodzić, bo do niego biegli wszyscy z różnemi prośbami, i rad był każdemu folgować, a Czerniecki się dąsał na to i gniewał...

Nalegał więc i on, i Lubomirski, i inni panowie, którzy przy królu byli, aby z Krakowa gdzie chciał ciągnął, a nie przeszkadzał ku obronie.

Mieszkał jeszcze Jan Kazimierz na zamku przy Kurzéj Stopie, a choć tam teraz pusto nie było, bo i dworzan, i szlachty miał przy sobie dosyć, i z fraucymeru jeszcze trochę zostało pań, co z królową nie podążyły, zamek od dawna nie zamieszkany, smutny był i wydawał się jak gospoda... po wielkich salach mieścić się służbie było niewygodnie, stały więc pustkami — a w mieszkalnych komnatach nawet sprzętu brakło.

Dwór wyglądał posępnie, i jak nigdy był spokojny i korny. Za lepszych czasów nigdy przy boku Jana Kazimierza sworności nie było, bo pan raz był za porywczy, to znowu zapobłażający, i trzymać ludzi nie umiał, ani ich do siebie stale przywiązać, ani sam długo serce do nich zachować.

Gdy się Pełka na zamek dostał, z razu od Anasza do Kaifasza posyłany, nic dopytać nie mógł. Znać było nieład wielki i samopasność osobliwszą. Każdy się o siebie troszczył... porządku nie było żadnego. Dworzanie się zabawiali kupkami porozdzielani, o królu słychu nie było, coby robił, i czy do niego przystęp był wolny. Marszałek téż Lubomirski zajęty więcéj niż inni, łatwo przystępnym nie był. Błąkał się tedy Pełka dopytując długo, najwięcéj mu ramionami ruszano, i tém go każdy zbywał o swojém myśląc.

Mrok już dobry padać poczynał, a jeszcze Gabryk z końmi w podwórzu stał, i Medard do drzwi wszystkich próżno stukał. A było ich tam podostatkiem, pozamykanych, i takich, których nigdy już nie otwierano. Nareszcie zapytał człeka niemłodego, który ze psem ogromnym u boku, założywszy ręce na piersiach, przechadzał się samotny.

— Widzę waszmości od godziny błądzącego po zamku — zagadnął ów ze psem — nie możesz widzę w tym labiryncie drogi ani opytu znaleźć. Z czémżeście to przybyli?

— Sam z sobą — rzekł Pełka, któremu się już z téj przygody raczéj na śmiech zbierało, niż na smutek. — Posłano mnie tu, bym się panu marszałkowi stawił... mam i kartę polecającą; ale ani marszałka, ani człowieka, coby mi o nim chciał nauczyć, nie mogę dopytać.

Stary ramionami ruszył.

— Snadź, żeś pierwszy raz na dworze — rzekł — tu inaczéj jak przebojem do niczego się nie docińniesz.

Popatrzał nań z uwagą.

— Do marszałka — dodał — ani chybi waszmości stręczą do boku króla, bo pono mało jest coby się z królem Jmością po świecie chcieli błąkać?

— Tak ci to jest — zawołał Pełka — ja téż wielkiéj ochoty ku temu nie mam, ani się tak bardzo garnę, ani to moja rzecz dworować, ale gdyby ludzi nie stało, jużbym téż musiał, aby nie mówili wrogowie, że u nas królowi zabrakło nawet służby... Choć nie wiem czy strzymam ją... niechbym poznał.

Stary ze psem począł się trochę uśmiechać.

— Dobrze asindziéj mówisz... marszałka wam wyszukam i do niego doprowadzę, a co daléj... radź sobie sam... jak cię Pan Bóg natchnie.

Chciał się Pełka pytać z kim miał honor rozmawiać, gdy mu sam ów przyznał się, że burgrabią zamkowym był niemało czasu, bo jeszcze za Zygmunta III. nastał...

Weszli razem na piętro pod kolumny i krużgankami szli długo, aż do izby, przed którą dosyć stało młodzieży i dworzan. W pierwszéj ogień się palił na kominie, czekało dosyć różnych... polecił burgrabia pana Pełkę starszemu ze dworu, aby go nie bawiąc meldował. Złożyło się tak szczęśliwie, że i sam marszałek wyszedł.

Człek był pańskiéj postawy, piękny i spokojnego czoła...

Dowiedziawszy się od burgrabiego o co szło, zaraz kartkę do rąk odebrał i Pełkę z sobą do drugiéj komnaty zawezwał. Tu sepetów stało pieczętowanych, jednych na drugich, wielkości różnéj moc wielka... Pośrodku stół okryty, na nim papiery i pargaminy, i różny sprzęt, i klejnoty. Świec kilka jarzących słabo obszerną izbę rozjaśniało.

Popatrzał marszałek na Pełkę z uwagą, jakby go do wzrostu i twarzy dobierał.

— Wiecie — rzekł — panie Pełka, o co idzie, król ma szczerby w swoim dworze, trzeba je zapełnić. On sam zwykł dobierać tych, których ma około swéj osoby; więc zaczekajcie, gdy będę do niego wezwany, poprowadzę was z sobą, lub — co lepiéj — idźcie na przedpokoje królewskie i tam na mnie czekajcie...

— A macież ochotę być z nami? — dodał Lubomirski.

Pełka chwilę pomyślał — kłamać nie lubił i nie umiał.

— Cóż mam rzec — odezwał się — kiedy ani dworu, ani pana, ani mojego obowiązku nie znam? Wolałbym żołniersko służyć.

Popatrzał nań marszałek.

— Więc się jaki dzień sam wypróbuj — dodał.

Wyszedłszy z pokłonem, Pełka już się mógł łatwiéj królewskich przedpokojów dopytać i poszedł na nie, Gabryka do stajen dworskich odesławszy, aby sobie radę dawał jak mógł.

Dziwną drużynę znalazł w antykamerze pańskiéj. Dwa karły w polskich strojach przy szabelkach siedziały przy małym stoliczku na krzesełkach dla siebie robionych i grały w kości. Małpa na łańcuszku, około któréj dozór snadź miały, skakała to na plecy jednemu z nich, to na stół między kości. Tuż nad nimi, w wielkiéj mosiężnéj klatce, krzyczała przeraźliwie papuga. Na dębowych ławach przy ścianie, dwóch chłopaków spało, nogi postawiwszy do góry; innych dwóch przechadzało się po izbie. W kącie chrapał starszy mężczyzna po niemiecku ubrany... w drugim ksiądz ze spuszczoną głową odsunąwszy się od wszystkich, zadumany siedział...

Oprócz karłów i papugi, milczała reszta. Aksamitna zasłona drzwi z téj izby do dalszych gęstemi fałdami oddzielała... Kilka świec w lichtarzach do ściany przybitych ponuro ciemne mury oświecało. Gdy Pełka wszedł, popatrzali nań przytomni tu... ale zmiarkowawszy, iż musiał mieć jakieś prawo

wnijść — dali mu pokój. Karły tylko przyszły go obejrzeć do koła... a rozbudzony w kącie siedzący mężczyzna, przetarł oczy i wpatrzywszy się weń, jakby z obowiązku doń przystąpił.

Nie rzekł jednak nic, czekając, ażeby go Pełka zagadnął. Popatrzali na siebie długo... Zrozumiał Medard, że powinien był swą przytomność wytłómaczyć.

— Czekam na pana marszałka — rzekł.

Mężczyzna ziewnął nic nie odpowiedziawszy i do kąta powrócił.

Wszystko téż po dawnemu znowu szło... a Pełka miejsca sobie szukał, gdy karły nagle wściekać się poczęły i bić. Przyskoczyła małpa rozwadzać ich, zrobiła się wrzawa straszna...

Nim z kąta ów śpiący nadbiegł dla uczynienia porządku, zasłona się podniosła, postać w czerni z białą krezą wyszła z pod niéj, dwa policzki dały się słyszeć głośne — i ten co je wymierzył karłom powrócił za zasłonę.

Jakkolwiek zdawało się Pełce, iż to był sam król, oczom nie chciał wierzyć... a pytać nie było kogo. Dwaj przechadzający się po izbie śmieli się po cichu, karły płakały, a małpka téż łapami sobie mordkę przysłoniwszy głową rzucała, jakby nad ich losem kwilić chciała. Nagle jednemu z nich nieszczęśliwszemu wpadłszy na głowę, czule zajęła się włosami, jak najtroskliwsza matka Włoszka w dzień świąteczny, na progu domu...

Dopiero gdy się uciszyło nieco, Pełka, który z wielkiém zdumieniem przypatrywał się téj scenie, uchem pochwycił z po za grubéj zasłony w poblizkich komnatach gwar różnych głosów... których tam było niemało. Zdawało mu się, iż towarzystwo liczne musiało się znajdować na pokojach...

Przybycie marszałka opóźniało się — położenie było dosyć przykre. Służby w przedpokojach nigdy Pełkowie nie lubili.

Naprzeciw tych drzwi, z których wyszedł ów sprawiedliwość nad karłami domierzający, znajdowały się drugie podobne, zasłoną też zawieszone... Z tych po chwili poczęła wychodzić służba w barwie królewskiéj, niosąca na srebrnych półmiskach cukry i owoce, i różne słodycze, drudzy flaszki kryształowe i serwety szyte, tuwalnie, nalewki i misy... Starszy nad nimi z pałeczką w ręku pochodem tym kierował. Wszystko to przeciągnęło przez antykamerę i znikło za drugą zasłoną.

I znowu cicho było... bo karły i małpa rozszedłszy się w dwa kąty, drzemały po płaczu...

Wszedł nareszcie marszałek, zobaczył Pełkę i dał mu znak ręką, aby nań tu czekał.

— Nie będziesz waść długo stał, upewniam, królowi powiem zaraz, a choć godzina nie bardzo po temu, wyjdzie do waszmości lub go wezwie do siebie.

Trzeba więc było mieć cierpliwość — choć Pełka już sobie mówił, że mu téj próby dosyć.

Za marszałkiem zapadła zasłona i długą chwilę przechadzać się znowu musiał Pełka w jedną, gdy dwaj młodzi ichmość chodzili w przeciwną stronę.

Wychylił się dopiero z za zasłony marszałek i skinął nań, aby wszedł.

Podniosłszy zasłonę i uchyliwszy drzwi, znalazł się Pełka w komnacie obszernéj, oświeconéj massą światła jarzącego przy ścianach i po stołach. W téj pierwszéj nie było króla, dwóch panów rozmawiało cicho w kącie. Z postawy i stroju znać było magnatów; nie obejrzeli się nań nawet. Tuż za pierwszą, była druga obszerniejsza, mocniéj jeszcze oświecona izba z sufitem złoconym, ale spełzłym, ze ścianami obleczonemi obiciem ciemném w kwiaty złociste. Drzwi do niéj były otwarte, a przez nie widać było towarzystwo liczne panów i pań, rozmawiające dosyć wesoło... W pośród nich stał mężczyzna w czerni, ubrany z hiszpańska... żółtéj twarzy, ciemno zarastający, z wąsikiem cienkim na górnéj wardze... Ten spostrzegłszy marszałka, wyszedł zaraz, z dala się z uwagą wpatrując w Pełkę.

Był to król...

Jedną ręką trzymał się za kutasik od krezy, drugą w bok. Twarz, którą Pełka widział w powozie tak smutną, była już wyjaśniona, ale na niéj nic wyczytać nie mogło oko patrzącego, oprócz wielkiego znudzenia — ani troski panowania, ani nadziei dni lepszych. Apatya dziwna oblewała te rysy woskowe— wystygłe... do ziewania stworzone. W oczach tylko

było nieco życia, i warga przypominająca krew rakuską, odstawała z pewną dumą.

Stojący po za królem marszałek dał znak Pełce, aby się panu do kolan skłonił, co téż rozmyśliwszy się, uczynił pan Medard...

— Jak waści mianują? — spytał król zimno.

— Medard Pełka... N. Panie...

— Pełka! Pełka! stare imię — odparł Jan Kazimierz.— A masz ochotę zostać przy mojéj osobie?

Medard trochę się potrzebował namyślić.

— Jeśli bić się mamy, N. Panie — rzekł — zostanę z chęcią.

Coś jakby rumieniec przebiegło po królewskiéj twarzy.

— I ja tego szczęścia wyglądam — mój chłopcze — odezwał się wzdychając; modlę się o nie do N. Maryi Panny. Daj nam je Boże obu!

Medard zmilczał.

— Nikogo siłą w służbę do siebie nie zaprzęgam — dodał król — choć mi dziś ludzi braknie, ale ja kwaśnych twarzy nie lubię, ochocze tylko, ochocze... rozumiesz waść?

— Rozumiem N. Panie — aleć one na rozkazanie się nie stawią... bo co w twarzy ma być, w sercu wprzódy być musi.

— Dobrześ rzekł, *bene dixisti,* — odparł król i począł nań patrzeć ciekawiéj coraz.— Idźcież sobie odpoczniéjcie.

Wyciągnął rękę do pocałowania, była to łaska wielka jak na pierwszy raz, i Pełka ucałował białą, chłodną dłoń królewską, poczém skierował się ku zasłonie.

Snadź się Lubomirskiemu żal zrobiło niedoświadczonego na dworze, bo zaraz za nim wyszedł i śpiącego w kącie mężczyznę głośniejszą przemową zbudził.

Był to starszy nad dworzany komnaty królewskiéj, niejaki Plaskowski, który miał tę jedną wadę, że spać nadto lubił. Zdał mu w kilku słowach Pełkę marszałek i odszedł.

Plaskowski ziewając się mu przypatrzył, ujął go za rękę i wyszli razem.

— Dam ci izbę i jeść, posłania niekoniecznie u nas pytać. Młody jesteś, prześpisz się byle jak, bo ja ci ani kilimka nie znajdę, a w puchu młodym niezdrowo, — odezwał się idąc krużgankami.— Chcesz być sam czy z drugimi?

— Wolę sam — rzekł Pełka.

— To sobie sam i ognia zrobisz, bo ogrzanéj izby nie mam — odezwał się Plaskowski. — Jeść ci przyszlę.

Na tém się skończyła rozmowa, Plaskowski oddał Pełkę słudze, a sługę Pełce, i poszeptawszy mu na ucho, sam do przedpokoju powrócił.

Nocleg na królewskim zamku nie był ciekawy... izba prawda bardzo przestronna, wysoka, nawet z trochą sprzętu ladajakiego, ale w niéj z murów

opuszczonych wiało chłodem, a po stołach pył leżał kilkoletni... Szczęściem Gabryk, który konie postawił bezpiecznie, szukał Pełki i znalazł, a z nim już było jak w domu.

Gabryk sobie wszędzie radę dać umiał. Natura to była wieśniacza, człowieka od dzieciństwa nawykłego być w walce z chłodem i głodem. Rozpowiadano u nas o poleskim chłopie, który konia za grzywę wprowadził do lasu, a potém z niego wozem wyjeżdżał. Powieść to doskonale uosobiająca przemyślność ludu na pół dzikiego, ale umiejącego po swojemu na wszystko radzić: z kory chleb upiec, z ziela polewkę zgotować, drzewem żelazo zastąpić. Gabryk miał jeszcze te drogie instynkta dziecka natury, które cywilzacya zaciera i gubi. Niemiec, co się urodził na bruku i nie wyszedł za drugą ulicę, puszczony w las umarłby do dwóch dni z głodu... wieśniak nasz wyszedłby z niego dobrze wykarmiony, choćby grzybami i zwierzyną... Na zamku tym królewskim potrosze było jak w lesie, ale Gabryk czekając na panicza, poczynił pewne geograficzne odkrycia, oryentując się w stronę kucheń i innych potrzeb żywotnych. Pozawierał był już nawet na prędce znajomości miłe i pożyteczne, gadał z panną służebną od fraucymeru pozostałego królowéj i zarekomendował się kuchcie...

Więc choć komnata wedle wyrażenia Gabryka wyglądała jak psiarnia — potrafił do komina dostać drewek, postarał się o światło i dopilnował,

aby należna wieczerza nie minęła jego pana. Zbywszy tych trosk, poszedł po siano do stajen, bo innego posłania trudno mu było żądać i otrzymać,— rozesłano dwa kilimki, i nocleg był gotowy.

Nie zamknąwszy drzwi nawet, obaj się znużeni pospali, ognia nałożywszy na kominie, aby im choć do rana dotrwał. Lepiéj tu jeszcze było niżeli w obozie pod daszkiem przy chruścianym płocie.

Na zamku téż do snu było ciszéj, bo wkrótce głosu ludzkiego, ani szmeru najmniejszego nie usłyszeli, cisza była przerażająca, grobowa, niekiedy tylko dzwon miasta zajęczał lub bicie zegaru dalekie...

Obaj nawykłszy do rannego wstawania, obudzili się ze świtem, w kominie ogień zupełnie nie był przygasły, szarawe światło dnia wpadało przez szyby w ołów oprawne. Gabryk musiał spieszyć do koni, i wymknął się prędko, bo choć je powierzył stajennym dworskim, nie bardzo im ufał...

Pełka jeszcze spoczywał w sianie, gdy się drzwi otworzyły i człek odziany po podróżnemu stanął w progu. Twarzy nie można było rozpoznać o mroku... Medard zawołał:

— Kto tam?

— A przecież żywą duszę znalazłem — odparł wchodzący — na całym zamku jakby wymarło, ani się dostukać, ani dopytać... śpią... a dzień się robi...

Pełce głos zdawał się znajomy...

— Kto waćpan jesteś? — spytał — czego?

— A my! — odparł podróżny.

— Czego szukacie? — wołał Pełka.

— Zmiłowania bożego! — rzekł z westchnieniem przybyły...

Głos tak mu kogoś przypominał, iż Medard opończą się osłoniwszy, z posłania się zerwał i podbiegł...

Bliżéj podchodząc poznał — Bernarda, sługę podczaszynéj z Horbowa.

— A wy tu co robicie? — krzyknął zdumiony.

— Panicz z Gołczwi, jak mi Bóg miły, a wy?

— Zkądżeś się tu wziął?

— Z panią i panienką przybyliśmy!

— Wy? tu? po co?

— Mieliśmy w domu na Szwedów czekać!—zawoła Bernard. — Pani spieszyć chciała za królową Jmścią, a tuśmy pono już nie zastali jéj, dobrzeby choć króla złapać... boć się podczaszyna ratować musi... Król Jmość wielki ma dla niéj respekt... nie odmówi wziąść nas do swojego orszaku...

Pełka słuchał zdumiony i oniemiały.

— Kiedyżeście przybyli? — zapytał.

— W nocy! I to jeszcze łaska boża, żeśmy od szwedzkiego tałałajstwa uszli, bo ich po wszystkich gościńcach pełno, a kto się z nimi spotka, życia ani worka nie pewien... Wykradać się musieliśmy lasami i manowcami. Ćma ich zewsząd sunie na Kra-

ków. W podczaszynie ducha nie stało z trwogi...— mówił ciągle Bernard. — Dobiliśmy się pół żywi... ledwie izdebkę znaleźć było można jak pudełko małą... Posłano mnie na zamek...

Zamilkł.

— O téj porze! — zdziwiony rzekł Pełka.

— Kiedy naszéj pani się co zda... nie pyta pory — dodał Bernard. — Kazałaby o północku stukać, choćby do króla Jmości — jak jéj co przyjdzie do głowy...

— Ale cóż ty tu o świcie ze śpiącymi poradzisz? — odezwał się Medard ruszając ramionami.

— Nie poradziwszy nic powrócę z niczém — cierpliwie dodał Bernard, pani mnie sfuka i kwita.

— Alboż na was czekają? nie kładłyż się spać? spytał Pełka.

— Gdzież się miały kłaść! — mówił sługa: izdebinę na Żydach zdobyliśmy pięściami taką, że ledwie jest gdzie usiąść...

Medard poruszył się z razu, zapomniawszy, że jest niewolnikiem, i chciał się ubrawszy na prędce biedz w pomoc pani podczaszynie i podczaszance. Szczęściem, przyszło mu na myśl, iż król kazał pozostać, i że w każdéj chwili mógł się spodziewać jakiéjś służby, a od rana trzeba było z innymi być na zawołanie... Nie godziło się więc z zamku ruszyć — westchnął biedny.

— To dla nas wielka pociecha — odezwał się Bernard — żeś nam się tu pan trafił, jéjmość się

wami wysługiwać będzie, a mnie, prawdę rzekłszy, trochę kłopotu z głowy spadnie, bo ja jejmościnym fantazyom nie podołam...

Schwycił się za głowę biedny i wzdychał znowu.

— Ja się wam tu teraz nie na wiele przydam, począł Pełka wracając na siano — jestem przy królu, przynajmniéj do czasu, zatém w służbie i nie tak swobodny jak w Gołczwi... Na przypadek jednak, gdyby mnie do miasta posłano, lub gdybym wyrwać się zdołał, gdzie was szukać? jak się dom nazywa?

— Otoż to sęk! zawołał po chwili sługa. Tak, z twarzy ja ten dom poznam, ale żeby on się jak nazywał— wątpię. Dom lichy żydowski i w kącie... Co lepszego to pozabierali ci, co tu się przed nami schronili, a nam już zostało czego nikt nie chciał.

Dzień wpadał coraz większy oknem, Gabryk powrócił dając znać, że dworzanie na pokoje szli wkrótce, że czas było i Pełce się stawić...

Zobaczywszy znajomego z Horbowa, mało nie krzyknął z podziwu, tymczasem Bernard żegnał się już i odchodził, a Pełka wziął się do ubierania... Od Gabryka dowiedział się, że na ranną mszę regularnie król szedł do zamkowego kościoła, i że cały dwór na téj mszy musiał być, bo zaniedbania jéj nie podarowano. Jan Kazimierz z dawnego stanu duchownego zachował zawsze wziętą też w spadku po ojcu pobożność wielką a szczerą i głęboką. Nie zawsze ona z życiem i obyczajami

bywała w zgodzie, lecz chwalił Boga jak mógł i umiał.

Już tedy rozedniało zupełnie i zdawało się na piękną tego dnia zanosić pogodę — gdy Medard przybrany ochędożnie i pięknie, wyszedł na pokoje króla, wczas właśnie, aby się nie opóźnić, i nie wyprzedzić drugich, coby mu też za złe mieć mogli, jako pochlebstwo. W antykamerze i drugiéj izbie pełno było dworzan, dworu, sług, panów, przybyłéj szlachty, mieszczan z prośbami i t. p. Kilku duchownych także widać było wmieszanych w ten tłum milczący i smutny. Czekano na króla, który o téj godzinie zwykł był iść na wotywę do katedry, u grobu Św. Stanisława odprawiającą się uroczyście, z supplikacyami, kazaniem i modlitwami.

Już tego poranku znowu nadeszłe nowiny o zbliżaniu się Szwedów szeptano sobie do uszu, podając po cichu jedni drugim — a na twarzach malowały się wrażenia ich coraz większym smutkiem.

Wtém pośród tłumu dały się słyszeć głosy: Król idzie! król...

Jakoż zasłona się podniosła, dworzan dwóch niosących książki nabożne i poduszkę pod kolana, ukazało się we drzwiach, a za nimi Jan Kazimierz otulony płaszczem popielicami podbitym, bo ranek był chłodny, z kapeluszem na głowie...

Nie podniósłszy nawet oczu, przeszedł powoli rozstępującemi się szeregi i skierował ku wyjściu,

a za nim co żyło, wedle dostojeństwa i porządku, pociągnęło do kościoła...

W kościele już duchowieństwo wedle obyczaju czekało u drzwi ze święconą wodą... kanonicy przeprowadzili króla Jmości do ławki i klęcznika dla niego przysposobionych, dywanami wysłanych — za którą stanęli *honoratiores.*

W tejże chwili wyszła msza święta przed ołtarz, którą celebrował staruszek *in odore sanctitatis* będący, ulubiony królowi, zaproszony od Dominikanów...

Zwano go po prostu ojcem Jackiem, i nazwiska jego nawet nie wiedziano — ale człek były świątobliwy, pobożny, i już można było rzec, do świata tego nie należący, a miewał widzenia takie i zachwyty, w których mówił o przyszłości, jak gdyby na nią patrzał. I widywano go przy Ofierze Św., czasem we łzach i zachwycie stojącego jakby bezprzytomny długie chwile...

Kazanie, jak zwykie, miał mieć ksiądz kanonik Szymon Starowolski, wymowy wielkiéj i surowości a uczoności człowiek, którego téż szacowano dla nauki i prawdomowności, bo nikomu nie skąpił jéj, a co mu Bóg podał do serca — nie wahał się głośno rzec...

Gdy wszedł na ambonę, oczy wszystkich skierowały się ku niemu... Postawy był poważnéj a surowéj, w sile wieku, rysów pospolitych, ale dopóty aż w nie wewnętrzny ogień nie wlał jasności, która

je zupełnie zmieniała. I stawał się wcale niepodobien do siebie, gdy z kazalnicy grzmiał przeciwko nadużyciom wieku i skażonym obyczajom.

Bardzo w porę tego dnia wziął ksiądz Starowolski assumpt do nauki swéj najwybitniejszéj wady narodowéj, pychy a buty... którą nieprzyjaciel gnany prawicą bożą upokorzyć miał właśnie.

Poczuli się wszyscy do téj winy, gdy rzekł:

— „A jeśli kędy pycha bardziéj i wyniosłość jako w narodzie naszym, którzy dla wysokiéj dumy naszéj i najmędrszych siebie być nad wszystkie narody rozumiemy, i najmężniejszych w dziele rycerskiém, i dla swéj woli zbytniéj, którą wolnością zowiemy, zacniejszych nad króle i książęta wszystkiego świata: powiadając to o sobie: że nie masz szlachty pod słońcem nad szlachtę naszą i syny koronne... A zatém według hardości serca naszego i Pismo Święte, które przechodzi wszelaką naukę i rozum ludzki, w tak lekkiéj wadze sobie mamy, iż wiadomość i nauczanie jego wszyscy sobie, by też najwięksi nieukowie... przywłaszczać śmiemy...

„Dla tego, byśmy — kończąc rzekł — i pojedynkiem do upadku nie szli, i ogółem wszyscy nie zaginęli, wyniosłości wszelkiéj i pychy, która się w nas bardzo rozkrzewiła, poprzestańmy... A co nigdy Prudentius o hardych animuszach ludzkich powiedział, to zawsze na pamięci miejmy:

Desine grande loqui: frangit Deus omne superbum,
Magna cadunt, inflata crepant, tumefacta premnatur“.

Ostatnie te wyrazy: „Przestań wielkiemi mówić słowy: łamie Bóg pyszałków,- padają wielcy, pęka co nadęte, co się wzdyma spłaszczy...“ brzmiały jak smutna przyszłości przepowiednia, i z wielu piersi wyrywały się westchnienia. Król głowę spuścił...

Gdy Starowolski z kazalnicy szedł i pokląkł z innymi słychać mszy świętéj, niejedno oko ciekawie w spokojne jego oblicze patrzało...

Skończyła się wreszcie wotywa i suplikacye, i król wstał, aby wynijść, którego znów, po ucałowaniu relikwij podanych, przeprowadzano.

Z innymi razem szedł i kanonik Starowolski, którego król w kruchcie skinieniem ku sobie wezwał.

— Ojcze mój — rzekł do niego ze skruchą— dobrześ nam dziś kazał... wszyscyśmy grzeszni i chorzy na tę przez szatanów zaszczepioną zarazę... lecz téż Bóg nas straszliwie chłoszcze... a upokarza jako mało narodów...

— I święta wola jego — odezwał się Starowolski. — Wielki lekarz wszelkiego złego umie gdzie uderzyć, aby uzdrowić.

— Módl się za nas mój ojcze, — szepnął król.

— Walczcie za nas, N. Panie — dodał śmiało kanonik...

Już w progu samym Pełka za innymi idący, zdziwił się niepomało widząc w téj saméj prawie chwili, gdy król tę poważną dokończył rozmowę z kanonikiem, — jak mu drogę zastąpiła podczaszyna... wielce strojna i wyświeżona...

Znać była ona na mszy i u wyjścia dobrała sobie stanowisko dla pochwycenia wychodzącego...

Nie wiedział o tém wcale pan Medard, iż dworskie kroniki szeroko pisały, jak podczaszyna przez czas jakiś miłą była wielce niestałemu królowi, jak nad nim przewodziła i chlubiła się jego łaską. Inna jakaś piękność odebrała jéj to serce, zresztą z równą łatwością dające się zdobywać i wybijające z chwilowéj niewoli — pamięć jednak czułych owych stosunków pozostała, i król zawsze miłém okiem widział podczaszynę...

Nie przeszkadzało to bynajmniéj do najlepszych jéj stosunków z królową jéjmością, która z tych miłostek mężowskich zwykła się była śmiać, spluwać na nie, ramionami ruszać, ale się nawet nie obruszała na nie, znając jak to wiotkie były sprawy.

Pełka zobaczywszy z dala podczaszynę zabiegającą drogę królowi, w chwili, gdy podaną mu właśnie wodą święconą się kropił u wyjścia — wspiął się na palce aż, aby dojrzeć czy i córkę z sobą przywiodła. Téj wszakże nie było. Im Jadwisia dorastała więcéj, tém podczaszyna mniéj lubiła się z nią popisywać. Sama jeszcze piękna i młoda, nierada była porównaniom, które zawsze na niekorzyść jéj wypaść mogły...

Była to kobieta lat nie więcéj nad trzydzieści kilka, lecz dziwnie świeżo zachowana, tak, iż zbyt tylko pełne kształty i bogactwo form, przypomi-

nające obrazy Rubensa, które król bardzo lubił, dozwalały się domyślać przejścia trzeciego krzyża...

Maleńka główka z twarzyczką drobną i wdzięczną, ale bez wyrazu, z oczkami żywemi i biegającemi, obracała się ciągle na wsze strony niespokojnie — uśmieszek fałszywy, dowcipny, wiecznie krążył po małych, ale mocno wypukłych usteczkach. Król lubił téż w podczaszynie nadewszystko tę jéj wesołość, którą zawsze miała na zawołanie, nawet teraz, gdy i świętość miejsca, i położenia uroczystość, i niebezpieczeństwa groza, zdawały się wszelką radość czynić niemożliwą.

Dziwny urok kobiecy! czy dziwniejsza usposobienia królewskiego zmienność! Po słowach poważnych Starowolskiego, po gorącéj przed chwilą modlitwie, Jan Kazimierz już się do podczaszynéj zbliżył z żartobliwym twarzy wyrazem, któremu ona figlarną minką odpowiedziała.

Nie było w téj scenie u drzwi kościelnych nic nadzwyczajnego ani gorszącego, boć każdemu z jego wiernych poddanych płci obojéj wolno było wszędzie pokłon oddać majestatowi pańskiemu — a jednak — czoła panów senatorów idących za królem na widok ten zachmurzyły się i spojrzeli po sobie pytająco — niedowierzająco — zdumieni!

— Oczom mym wierzyć nie chcę! — zawołał król już za kościół wyszedłszy — możeż to być, byś waćpani się tu znajdowała w téj chwili, gdy

wszyscy ztąd uciekają, a lada godzina nadciągną Szwedzi?

— A! N. Panie — rzekła z nizkim ukłonem podczaszyna, zabierając miejsce obok króla, jakby mu do zamku towarzyszyć miała zamiar — tulę się pod opiekuńcze skrzydła W. K. Mości... Uciekłam z domu z mojém jedyném dziecięciem, nie wiedząc gdzie się podziać...

Król sposępniał — zwrócił się twarzą ku pięknéj pani.

— Myślisz waćpani,—spytał, —że ja lepiéj od niéj wiem, dokąd iść?

— Jestże tak źle z naszą Rzecząpospolitą? A! nie! N. Panie! mamy siły.

— Które Szwedowi służyć poszły—przerwał Jan Kazimierz.

— To chwilowy obłąd...

— Nie mówmy o tém — nakazująco dodał król — nic nie pomoże stękać. Jakże zdrowie?

— Po takiéj drodze, N. Panie, — poczęła podczaszyna... — nocami, manowcami, w strachu... w niewygodach...

— A jednak mi acińdźka ślicznie wyglądasz, gdyby róża! — dodał król z galanteryą się w nią wpatrując i uśmiechając — co mu wcale wdzięku nie dodawało... Pomijam czegoś waćpani doznała i czy się jéj na co przyda, żeś się tu dostała... lecz dla mnie przyniosłaś pociechę pożądaną — choć oczom! rzekł z cicha...

Widać, że panowie senatorowie i dwór cały dobrze znać musieli humor i obyczaj królewski, i wiedzieli, iż nierad był, aby się jego rozmowie z blizka przysłuchywano, odstąpili bowiem nieco i szli w pewnéj odległości za nim ku zamkowi. Rozmowa była ożywiona, i kilka razy głośniejszy śmiech wywołał surowe wejrzenia i zmarszczki na czoło panów idących za królem.

Widok to był i dla Pełki zdumiewiający, jak w ogóle wszystko co od dnia wczorajszego oglądał. Miasto sposobiło się do rozpaczliwéj obrony, kraj był najechany, król wieczorem na zamku dosyć się jednak w towarzystwie dam ochoczo zabawiał... Przyszły mu na myśl policzki dane karłom i dzisiejsze nabożeństwo, a skrucha i tuż niewczesne umizgi niemal w samych drzwiach kościelnych. Ciężko mu było zrozumieć króla tego, w takich godzinach próby, zamiast do wojska jeżdżącego do astrologów i pocieszającego się dowcipami niewiast zalotnych.

Nawykły z dala, choć nie bałwochwalczo, szanować majestat królewski i wystawiać go sobie otoczoną uroczystością, powagą, namaszczeniem — patrzał rozczarowany i przestraszony niemal na tę wielkość, która mu z blizka tak małą się wydawała...

Podczaszyna poszła tak z królem Jmością aż na zamek, i zaproszona snadź, znalazła się razem z kilku innemi paniami, już tu na króla oczekującemi na pokojach.

Jan Kazimierz tymczasem posłuchanie dawał przybyłym z różnych stron szlachcie i senatorom... niosącym żale, skargi i doniesienia. Nadbiegł z Warszawy goniec jeden, który przywiózł wiadomości o wywiezionych ztamtąd działach i prochach, o powyrywanych na zamku posadzkach, o pozamykanych kościołach, o zniszczeniu i kontrybucyach, jakie Szwedzi nielitościwie wybierali, o znęcaniu się Radziejowskiego nad dawnymi nieprzyjaciołmi swymi, i dumie a odgróżkach, z jakiemi się nosił...

Milcząco przyjmował król te żale i wiadomości, coraz gorszą zwiastujące przyszłość. Zdawało się, że go wszyscy opuszczają. — Gustaw poił i karmił szlachtę, obiecywał złote góry... ze strachu i niepewności, za przykładem nieszczęsnym Wielkopolan poddawali mu się z kolei całemi pułki, aby wojny uniknąć... Nie miał król słowa na pociechę utrapionym, lamentującym nad grabieżami, nad spustoszeniem kościołów i miasteczek, rozpędzaniem mnichów... rabunkiem dworów... Posępnie słuchał... wzdychał i powtarzał, jakby machinalnie jedno:

— *Deus providebit!*

W istocie, to godło było chwili, w której zdawało się, że chyba jeden Bóg w pomoc przyjść może...

Pod koniec tego posłuchania, wystąpiła gromada panów, mieszczan ze Stradomia, Kazimierza, Piasków, Wesołéj z lamentem wielkim, z poklękiwaniem i łzami niemal skarząc się, że im pan Czarniecki

wszystkim wynosić się kazał, i że chodziły wieści, jakoby domostwa ich palić miano...

Tu łzy, modły, jęki, tak były serce rozdzierające, a rozpacz biednych ludzi tak dotknęła króla, że ręce załamawszy, pobladł i z oczu puściły mu się dwie nadaremne łzy... Nie miał słów na ich pocieszenie.

— Wracajcie spokojni, — rzekł do nich, — uczynię co w mocy méj jest, aby ocalić wasze domy... ale czy wy je od nieprzyjaciela uchronić i w nich pozostać będziecie mogli? Rozmówię się z panem oboźnym...

I co prędzéj pożegnawszy ich król, cofnął się do swych komnat, gdzie na niego podczaszyna i wiele innych pań oczekiwały, ale długo musiał milczący się przechadzać, rozkazawszy prosić pana Czarnieckiego, niżeli do siebie przyszedł i znowu uśmiechać się począł.

* * *

W tym gwarze dworskim ranek przeszedł Pełce, ani się spostrzegł; zajmowało go tu niepomału wszystko co słyszał, widział, i czego się mógł domyślać. Nawet co przez okna w podworcu najrzał, nie było bez znaczenia: tu ogromne wozy kryte ładowano skrzyniami i sepetami pod strażą milicyi własnéj marszałka Lubomirskiego, a skrzynie i kufry niemałą wagę mieć musiały, bo je nieraz po sześciu

silnych drabów dźwigało. Na zamkach ich widać było pieczęcie i opasujące je sznury... pospiech, z jakim to czyniono, nic dobrego téż nie wróżył.

Na pokojach było i spokojnie, i wesoło, ale w dziedzińcach krzątanina niezmierna, daléj z wysokości pojrzawszy w miasto... mrowiły się ludem ulice i tłumami przedmieścia... Za zasłoną w królewskich komnatach biegały karły i śmiały się kobiety... a w antykamerze coraz ktoś wchodzący przyniósł nowinę, która wszystkim twarze okrywała bladością.

Pełka osamotniony był z razu, — reszta pańskiego dworu cale się doń zbliżać nie myślała. Próbował on z kilku rówieśnikami zawiązać jakąś rozmowę i zabrać znajomość, ale mu się ci, co dawniéj na dworze byli, stawili chłodno, a że hardy był — nabijać się znowu nikomu nie chciał.

Dopiero ku południowi dostrzegłszy tak jak on pojedynkiem chodzącego młodego z rycerską miną człowieka, którego inni omijali, zbliżył się ku niemu. Pełka miał zwykle szczęście do ludzi dotąd, i rzadko się kto miłemu, otwartemu wyrazowi twarzy jego umiał oprzeć. Towarzyski był i łatwy do zabierania znajomości: tu mu się tylko nie udawało. Postanowił jednak ostatnią uczynić próbę na osamotnionym jak on i ponuro już poglądającym towarzyszu... i zbliżył się ku niemu.

— Niech to waszmości nie obraża, że mu się sam narzucam — rzekł z ukłónem. — Obcy tu je-

stem, dopiero od wczora, a widzę, że pono i wy niewielu tu znajomych macie.

— Nikogo — odparł młody człowiek kręcąc wąsa, z dosyć uprzejmym choć przymuszonym uśmiechem. — I jam tu dopiero drugi dzień, a no, nie wiem czy wytrwam.

— Ja też podobny mam sentyment — rzekł Pełka, — a że równość położenia łączy i zbliża, ośmielam się waszmości przedstawić: Medard z Gołczwi Pełka, z Lubelskiego, do usług.

— A jam Wacław Róża Rożański — odpowiedział rękę podając młodzienic, którym się twarz wyjaśniać poczęła. — Swatają mi dwór...

— Mnie też, lecz bodaj czy do chorągwi nie wrócę... To życie nie dla mnie, — mówił Pełka, — i nie dla żołnierza, jakim chcę być.

— Zupełnie się w tém zgadzamy — począł Rożański — kwaśno mi tu... ciasno i duszno. Mam winny respekt dla króla Jmości, którego łaską zawsze się moja rodzina zaszczycała, przecie wolałbym go bronić w polu, niż strzedz na pokojach...

Po tych pierwszych słowach przypadli sobie do serca obaj. Poszli więc razem w kąt, aby sobie swe dzieje opowiadać, a że młodym łatwo się z sobą zrozumieć zawsze, i obaj też potrzebowali zrzucić z serca co im ciężyło, zawiązała się przyjaźń wielka we dwie godziny, tak, że sobie ręce dali nawet służyć razem i być druhami w każdym złym i dobrym razie. Miał to sobie za wyraźną Opatrzność bożą

pan Medard, iż na téj pustyni dworskiéj żywą duszę wynalazł. Poweseleli obaj... i już sobie cichy kąt obrawszy, nie nudzili się wcale.

Waćek Róża, bo go tak pospolicie nazywano, synem był rodziców znacznego mienia i imienia z Krakowskiego... Ojciec i dziad więcéj dworsko niż rycersko sługiwali; syn się w ich naturę nie wdał, i na żołnierza czuł stworzonym, a rodzice go chcieli zaprządz mimowoli w złocone chomąto, jak powiada.

Nie był Wacek tak piękny jak Pełka, którego uroda oczy ściągała, przecież mężko wyglądał, silnie, i wyrazem twarzy szlachetnym ujmował... Znał on tu wszystkich lepiéj niż jego znano, bo się od swoich wiele o dworze nasłuchał i ludzie mu obcy nie byli.

Po jednemu więc mianował Pełce dworzan i panów i ktokolwiek wszedł, o każdym coś mając do powiedzenia takiego, poczém zaraz całego człowieka poznać już było łacno. Ostry miał trochę język i nie poszanował nikogo. Śmieli się więc, a czas przechodził...

Pełce wiele o to szło, do czego się i przyjacielowi nowemu przyznał, żeby wychodzącą podczaszynę mógł spotkać i przywitać. Odebrał od niego zapewnienie, iż innego wejścia nie było tylko to jedno, a więc go okazya minąć nie mogła.

Dziwił się, iż mogła córkę z ochmistrzynią zostawiwszy tak długo na zamku gościć — przecież

po dobrém czekaniu, ukazała się we drzwiach piękna pani, i Pełka do niéj poskoczył zaraz...

Niełatwo mu jéj było dostąpić, bo ze dworu snadź mnóztwo osób ją znało i były z nią w ścisłych stosunkach, tak ją zaraz w antykamerze obstąpiono...

Zobaczyła jednak za innymi Pełkę, do którego miała trochę słabości, i zaśmiała mu się.

— A i wyście tu! sąsiedzie! — zawołała — zaprawdę, żem się tego nie spodziewała.

— Ani ja, bym się tu miał zostać — ozwał się Pełka...

Podeszła podczaszyna ku niemu uprzejmnie, od stóp do głowy cały jego ubiór i oręż zdawała się rozpatrywać uśmiechając.

— A więc powinszować waszmości — rzekła— bo snadź przy królu zostaniecie.

— Nie wiem, — odparł Pełka.

— Chcecie, bym królowi Jmości słowo za wami powiedziała? — spytała piękna pani, — tém miléj mi będzie za wami przemówić, że i ja pono za dworem pańskim pociągnę, tobym przecie z waćpana miała téż czasem dobrego dworzanina...

Nęcąca to była pokusa dla Medarda — zczerwienił się cały, pierś mu się podniosła, nie wiedział co odpowiadać z razu, takie mu obrazy przed oczyma się przesunęły — lecz natychmiast téż na myśl przyszedł dwór i życie jego, i ochota rycerska sercem poruszyła. Zawahał się, i pokłonił i odpowiedział:

— Najpowinniejsze dzięki składam pani, lecz bodaj czy dwór dla mnie, a ja do niego stworzony... wolałbym za nieprzyjacielem harcować, niż od niego uchodzić. Niech pani łaskę swą zachowa mi na późniejsze czasy...

Z podziwieniem i niedowierzaniem popatrzała nań piękna pani, zdumiała się tak, iż odpowiedzieć nie potrafiła...

— Wola wasza, — odezwała się po chwilce z pewną dumą, bo nie pojmowała, aby prośba jéj odrzucona być mogła — co komu do smaku...

Medard zmilczał... Jemu samemu kosztowało wyrzeczenie się miłéj nadziei towarzyszenia pięknéj Jadwisi, lecz dla niéj poświęcić sławę i zawód rycerski? tegoby ona pewnie nawet nie wymagała od niego...

Podczaszyna ruszyła się ku drzwiom, przeprowadzona w wielkiéj komitywie, do któréj i Pełka należał...

Prawie w téj saméj chwili, gdy jéj drzwi otwierano, z drugiéj strony ich ukazała się postać, na którą zwróciły się oczy wszystkich, a szczególniéj Medarda. Wśród tego dworu pełnego elegancyi, powagi, wypieszczonych pańskich twarzy, białych rąk, szykownych postaci, uczonych chodów, nadchodzący wydawał się jakby zjawiskiem z innego świata. Nie wiedząc kto był, domyślał się Pełka, iż niemałéj wagi osobą być musiał, bo mu się wszystko ustępowało, i choć nie wszyscy patrzali nań życzli-

wie, każdy nań spoglądał z pewną czcią i niemal obawą.

Coś było w nim, co go tu od wszyskich odznaczało... żołnierska postawa, rubaszny ruch, energiczny wyraz, niehamowany niczém śmiały wzrok... Na twarzy, któréj głęboką w policzku bliznę, bardzo znaczną, źle zarost brody okrywał, malowało się nieustraszone, ufne w sobie męztwo, w oczach było życie niespokojne i bystre pojęcie, w ustach nieco dumy i szyderstwa... Nie była to pycha wielkiego pana, lecz jakby uczucie własnéj potęgi. Krzepki, zbudowany szeroko, z nogami od kulbaki nieco powiginanemi, ruszał się trochę niezręcznie, jakby mu bez konia źle po ziemi chodzić było... Szeroką dłoń jedną trzymał na szabli krótko wiszącéj na rapciach i cale niepozornéj, drugą ku kołpakowi niósł, by go zdjąć.

Strój jego był bardzo prosty, i wcale ani bogactwa, ani dostojeństwa nie oznajmował. Miał na sobie żupan zapięty wielkiemi guzami srebrnemi, podpasany skórzanym pasem nasadzanym takiemiż guzy, i czarny kontusz na wierzch narzucony. U kołpaka proste piórko czaple dobrze już widać niepogody zażyło... i nie świeżo wyglądało... Czarne długie buty, pomięte i wytarte, okrywały nogi do kolan... Szabla krzywa ze srebrnemi skówkami w jaszczur oprawna, rękojeść miała prostą z łańcuszkiem, a złocenie się z niéj znać długim używaniem wytarło.

Ta niepańska wcale postać, szła wszakże na pokoje królewskie z taką śmiałością i pewnością siebie, jakby tu rozkazywać miała. Było coś w niéj dziwnego, niezwyczajnego, prawie groźnego. Panowie senatorowie stojący na drodze, powitali uprzejmym ukłonem wchodzącego, na który odpowiedział téż grzecznie się akkomodując, lecz widać było, że wielkiéj komitywy między sobą nie mieli...

Żołnierz ten, który co najwięcéj na rotmistrza od kwarcianych wyglądał, tak się wydał jakoś Pełce dziwnym, iż trąciwszy Rożańskiego co najpilniéj go pytać zaczął, ktoby to być mógł...

— Na Boga, a toć Trzepaczka! Czarniecki! a waćpan nie znasz tego człowieka, który tu jeden jest, co kraj zbawić może...

Domawiał tych słów, gdy się zasłony drzwi podniosły, i naprzeciw panu Czarnieckiemu wychodzący pokazał się król sam, który doń bardzo łaskawie rękę wyciągnął. Do kolan mu się schylił stary żołnierz i weszli razem na pokoje, a podwoje się za nimi zamknęły.

Gdy znikł z oczu, poczęły się szepty szyderskie i różne pogadanki, po których łatwo poznać było, że choć go tu potrzebowano, nie lubiono może właśnie dla tego, iż bez imienia i bez rodu, prosty szlachetka, który urósł jak sam mówił, ani z soli, ani z roli, ale z tego co boli, jedyny był co nadziei nie stracił, jedyny co na Szwedów się targnąć śmiał i umiał ich pobić. Dla tego choć się

miotał zwycięzko wszędzie gdzie największe było niebezpieczeństwo, choć go używano i potrzebowano, choć się nim posługiwano, mijały go krzesła i buławy, które dziedzictwem szły z białych rąk na białe ręce. Czarniecki je miał opalone i zapracowane, a choć szlachcic jak i drudzy, po ojcach nie wziął nic nad małą substancye i nieskażone imię a męztwo niezmożone. W rodzie jego nie było buław i krzeseł, ani senatorskich dostojeństw... obcy téż był obyczajem, mową, nawet twarzą i całą postawą temu światu, w którego rękach uprzywilejowanych spoczywały losy Rzeczypospolitéj.

Dla czego się Pełce ten człowiek podobał tak, że z pierwszego wejrzenia doń przystał i powiedział sobie w duchu: — Z nim służyć a pod nim, szczęściemby było, — tego on sobie sam wytłómaczyć nie umiał.

— A co waćpan o nim trzymasz? — zapytał Rożańskiego.

— Myślę, że i w tém się zgodzimy, jakeśmy w innych rzeczach się zrozumieli — rzekł Wacek.— Nie ma u nas wodza, tylko on jeden; jeśli on nie ocali, to nikt. Statystą nie jest, politykiem może téż niewielkim — lecz żołnierzem jakich mało.

Gdy drudzy się namyślają, on idzie i rąbie... Inni za sobą obozy wiodą, i fury, i sprzęty, ten na wojłoku się wysypia z kulbaką pod głową, chleb żołnierski je... i pieszczonego życia nie kosztował.

— Znać to po nim — odparł Pełka; — ledwiem go zobaczył, poczułem kim jest... Rozmawiali tak długo, spoglądając ku drzwiom, ażali prędko wynijdzie, gdy po półgodzinném oczekiwaniu, podniosła się zasłona i wyszedł przodem król a za nim pan Czarniecki... Zatoczył wzrokiem Jan Kazimierz po izbie, jak gdyby kogo szukał, najrzał Pełkę i skinął. Dziwnie mu się poszczęściło...

— Jedziesz waćpan za panem oboźnym — odezwał się król do niego — abyś mi papiery przywiózł... na które czekam... bo mi pilne...

Czarniecki skłonił się do ręki królewskiéj i posunął ku drzwiom... Pełka skinieniem głowy pożegnał Rożańskiego i za Czarnieckim pospieszył.

Gabryk miał to polecenie od rana, aby i on sam na wszelki wypadek i koń osiodłany był w pogotowiu... Za drzwi wyszedłszy, obejrzał się pan oboźny na dodanego mu dworzanina i zmierzył go okiem, które się zaśmiało...

— Jak się waść zowiesz?...

— Pełka, panie hetmanie! — odparł chłopak zarumieniony.

— Cóżeś mnie waszmość uczynił hetmanem?— śmiejąc się rzekł oboźny — wiesz, że nim nie jestem.

— Aleś nim być powinien! — żywo odpowiedział Pełka.

Czarniecki uderzył go po ramieniu.

— A waść w pierwszém polu? nie prawda? z jakiéj chorągwi?

— Myszkowskiego...

Skrzywił się nieco pan oboźny...

Wśród téj rozmowy na dole Pełka najrzał swojego Gabryka i skinął. Kopnął się chłopak po sułtana, któremu tylko munsztuk trzeba było narzucić i popręgi poprzyciągć... Nim powoli po krużgankach i schodach zeszli na dół, i nim pan Czarniecki swojego bułanego dosiadł, którego mu trzymali ludzie... Gabryk sułtana przyprowadził... Koń się podobał oboźnemu.

— I żołnierz i rumak — odezwał się — do pary; winszuję waszmości konia, bo na wojnie od niego życie zawisło...

Jechał tedy Pełka za nim w miasto, gdzie Czarniecki kwaterą stał w klasztorze.

W mieście znać było większe jeszcze zamieszanie niż dnia poprzedzającego. Wydane były rozkazy do wszystkich mieszkających na przedmieściach, aby się z domowstw wynosili, więc co żyło cisnęło się z mieniem całém w mury, i widok był jakby wielkiéj ucieczki całego narodu, bo wozami, i na plecach, i w rękach wynoszono co kto miał, i kobiety szły płacząc z dziećmi na rękach, i starzy, których wnuki prowadziły... opierający się o mury... i wśród placów zalegały kupy sprzętów, których nie było gdzie podziać.

Czarniecki przejeżdżał przez te tłumy milczący, choć znać było, że mu się serce ściskało — ale tu litość była występkiem. Stolicę ratować należało i ciągnącym Szwedom odebrać dachy, pod które się schronić mogli. Kraków ocalony wracał Rzeczypospolitéj ducha i siłę.

Tak ledwie się dobić mogli do bramy klasztornéj, a gdy wjechali w dziedziniec, wolniéj pan obożny odetchnął, bo mu widok tego ludu łzy wycisnął.

— *Salus Reipublicae suprema lex!* rzekł jakby sam do siebie.

Weszli na schody...

Nie znać tu było mieszkania człowieka, co z hetmanami stał na równi władzą, a od hetmanów wyżéj znaczeniem. Para izb składała mieszkanie całe.

W jednéj z nich pisarze nad stołem uwijali się z robotą, w drugiéj było twarde łóżko Czarnieckiego, który od niewygód odwykać nie chciał...

Pełka zatrzymał się wśród kancellaryi, gdzie rozkazy ekspedyowano — lecz nie zatrzymywano go tu długo, bo wszystko musiało piorunem iść u wodza, który sam jak piorun padał na nieprzyjaciela i jak piorun się z szykami swemi, zapory nie znając, obracał. Ledwie się Medard ropatrywać począł, już mu listy do rąk wetknięto.

— A wolno mi słowo rzec? — spytał Pełka.

— Dla czegoż nie? mów waćpan co masz na sercu...

— Chciałbym pod waszemi służyć rozkazami— kłaniając się — przemówił Pełka.

Uśmiechnął się oboźny.

— A jabym pragnął mieć jak najwięcéj takich żołnierzy jak waćpan — rzekł Czarniecki — ale się waćpan uwolnij od króla, a potém... nie frasuj, miejsce sawsze się znajdzie u mnie.

Z tą dobrą odprawiony nadzieją wyrwał się z klasztoru Pełka, i miał biedz prosto do zamku, pomnąc na to, iż król tam nań oczekiwał — gdy słabość ludzka zachwiała nim... Jadwisia z podczaszyną były w mieście... zobaczyć ją choćby tylko przez okno... powiedzieć dwa słowa!

Na tę myśl zawrzał Medard. Gdzież jéj szukać? Bernard mu nic więcéj nie umiał powiedzieć nad to, że gdzieś w małéj uliczce mieszkały... Spóźnić się czas tracąc na szukaniu — nie żołnierska była rzecz... a król téż porywczym był często i niecierpliwym... Pełka w układy wchodząc z sumieniem, tyle na niém wymódz potrafił, że mu dozwoliło jak najciaśniejszemi uliczkami powracać na zamek... Rachował na to szczęście, które czasem zakochanym służy... Schylony na szyi sułtana, poglądał we wszystkie okna... Pełno w nich było żydowstwa i różnego narodu około handlu snującego się i usiłującego wyszukać przytułek. Pełno żołnierstwa, pełno mieszczan krzykliwych...

ale nigdzie ani podczaszynéj, ani promiennéj twarzyczki Jadwisi.

Jechał tak wielce smutny, że mu los nie poszczęścił, a już, już coraz zamku był bliżéj, gdy najrzał dworek dosyć lichy na uboczu, a przed nim stojącą kolasę i dworzan kilku — i rozmawiającego z nimi Bernarda. Serce mu uderzyło mocniéj, konia spiął i w dwóch skokach był u ganku. Dworek szczupły, biedny, w którymby w innéj porze podczaszyna ludzi swych pomieścić nie chciała, mógłże mieścić skarb jego najdroższy?

— Panie Bernardzie — zawołał — cóż to? przenieśliście się tu z waszéj gospody od żydów?..

— A tak... musieliśmy! najęto nam tę dominę całą, i to ledwie z wielką biedą, że się aż magistrat w to wdał, za wolą króla Jmości... Pełno wszędzie... dobrze, że i ten dach mamy...

— I macie gości? — spytał Pełka ciekawy.

Bernard ruszył ramionami nieznacznie i uśmiechnął się — dając mu do zrozumienia, że nie bardzo mówić mógł...

— Pan wojewoda sieradzki — rzekł poważnie.

Pełka walczył z sobą, czy wstąpić miał czy nie... czy mu się godziło z konia zsiąść i wnijść pozdrowić podczaszynę. Mała okoliczność zawyrokowała o jego postanowieniu: jeden z czeladzi horbowskiéj, nawykły nieraz sułtana trzymać, gdy Medard do jego pani przyjeżdżał i zawsze orta za to dostawać, nadbiegł z za węgła i pochwycił nie-

proszony sułtana za uzdeczkę. Pełka wziął to za wyrok przeznaczenia i zsiadł... Szybkim krokiem wszedł do małéj izdebki, jako tako przybranéj w tureckie kobierce i makaty...

Na jednéj ławie pokrytéj siedziała piękna podczaszyna z córką, naprzeciw nich mężczyzna dobrze niemłody, ale wymuskany i wystrojony jak na wesele. Znać w nim było, że niegdyś pięknym być musiał, a teraz jeszcze chciał się takim wydawać. Począwszy od wysmarowanych wąsików, które mu do góry sterczały, od wygolonéj świeżo twarzy, rumianéj jeszcze, ale obwisłéj, aż do kurdybanowych bucików na wysokich obcasach i kontusza obszytego obficie złotemi sznurkami, do szabelki kameryzowanych i perfumowanych rękawiczek, które trzymał w ręku — wszystko zdradzało podstarzałego zalotnika, który się chciał podobać... Szpakowaciejący włos jakiś, aptekarskie smarowidło w ciemno-kasztanowaty zmieniło. Wyraz téj twarzy uśmiechającéj się pańsko, niewiele mówiącéj, nie był przykry, lecz mdły i niewieści. Siedział na brzeżku ławy tak nogi i ręce trzymając pamiętnie, ażeby bucik, szabelka i sygnety na palcach, i guzy kosztowne na okaz wychodziły.

Z obliczém też to samo robił, usiłując mu nadać jak największy wdzięk i jak najmilszą a raczéj przymilającą się fizyonomię. Pełka stanąwszy w progu, wlepił oczy w Jadwisię, która go spostrzegła pierwsza , mocno się zarumieniła...

Odwrócił oczy wojewoda, a nareszcie i podczaszyna, która nie podnosząc się nawet, ręką skinęła Pełce na powitanie...

— Chciałem choć na chwilę mieć szczęście powitać panią i zobaczyć... jak panie się tu pomieścić potrafiły.

— Panie wojewodo — odezwała się nie odpowiadając podczaszyna — przedstawiam panu sąsiada naszego pana Pełkę...

Wojewoda głową skinął tylko. Jadwisia spuszczone miała oczy. Pani domu mówiła daléj:

— Widzisz waćpan, żeśmy się bardzo licho pomieścić ledwie zdołały... nie do wytrzymania... okropnie. Nigdzie kąta znaleźć nie można... Wstyd mi tu pana wojewodę przyjmować.

— Pani — przerwał Przerębski — gdziebymkolwiek miał szczęście ją znaleźć, wszędzie mi się każda chata wyda pałacem.

Zdziwiony Pełka spostrzegł, że po tych wyrazach zamiast na podczaszynę, spojrzał stary na Jadwisię z takim wyrazem uwielbienia, iż się Medardowi na śmiech prawie zebrało.

Co to miało znaczyć, niedobrze rozumiał, widział tylko, iż przybył nie w porę, bo dwóch słów do miłego dziewczęcia rzec nie było podobna — a czekać, ażby mu wojewoda ustąpił i odjechał, nie było sposobu...

Podczaszyna też tak była zajęta wojewodą, iż od niego prawie oczu nie odwracała.

— Wracasz waćpan pewnie na zamek? — zapytała gospodyni Medarda.

— Tak jest, muszę natychmiast — rzekł — i czekam tylko, czy mi pani czego nie rozkaże...

Popatrzyła nań trochę łaskawiéj.

— Cóż król Jmość porabia? — spytała...

— Niebardzo wiem — odezwał się Pełka — to tylko, że radzi niemal cały dzień, i że na doradzcach mu nie zbywa...

Wojewoda spojrzał na Pełkę, rozpatrując go od stóp do głowy...

— Późne rady — rzekł z przekąsem pewnym — choćby były najlepsze, nie na wiele się przydadzą.

Stał jeszcze Pełka, chcąc wejrzenie wyżebrać u Jadwisi — przelotnie błysnęła mu oczkiem figlarném dziewczyna, dając do zrozumienia, że się zdradzać nie powinni. Pełka skłonił się i ruszył, ale mu w sercu było jakoś tęskno i smutno. Bernard stał ciągle w ganku. Gdy przyszło siadać na konia — podstąpił ku niemu i wsparłszy rękę na siodle, począł z nim iść przeprowadzając zwolna ku zamkowi.

— Cóż ten wojewoda u was robi — spytał Medard.

— Albo to my słudzy odgadnąć możemy panów! — śmiejąc się począł Bernard — to jakiś stary znajomy naszéj pani, nie powiem, że amant, bo tego nie wiem, ale się boję, by co gorszego nie było na myśli.

— Cóż? co? — począł nalegać Pełka...

— A! łaskawy panie — rzekł wzdychając Bernard. — Bóg widzi, że ja tę moją panią ze wszystkiem jak jest, kocham i szanuję... ale więcéj jeszcze dziecko nasze... Jéjmość pono radaby się jéj z domu zbyć, aby przy niéj się źle nie wydawała... a oto gotowy konkurent.

Pełka wykrzyknął ze zgrozy:

— Co pleciesz! człowiek ten mógłby być jéj ojcem...

Bernard parsknął pół śmiechem, pół oburzeniem.

— A co to ma do tego! — odparł — ale bogaty pan, okrutnie bogaty... garściami dyamenty po kieszeniach nosi... beczkami u niego złoto stoi... to grunt.

— Ale to nie może być! to nigdy być nie może! — począł Pełka — to ci się śni mości Bernardzie.

— I bodaj się śniło — zamknął sługa — ale ja mam i oczy dobre, i uszy niezłe i węch niezgorszy — no — i stary jestem wyga...

— Jadwisia nigdy się na to nie zgodzi.

— A! to dziecko! dziecko! — mówił Bernard... — matka kobieta wytrawna...

— Śliczna pora do godów... — ciągle gniewnie mówił Pełka — a toby było o-pomstę do Boga wołającą zbrodnią... Śni się wam panie Bernardzie...

— No — to dobra noc — szydersko odparł sługa odstępując od konia i kłaniając się czapką

Medardowi. — Może być, żem się na szczęście omylił tym razem, zostawcież to przy sobie...

Dużo czasu straciwszy, wzburzony i zgryziony Pełka poparł sułtana i pobiegł już co najprędzéj na Wawel... Na konia Gabryk czekał, pospieszył więc z papierami do króla...

Powiedziano mu, że był w kancellaryi, i że tam mu iść kazano... Trzecie drzwi od krużganków wiodły do izby, w któréj była przyboczna kancellarya króla... Obszerny dosyć gmach zajmowała, przytykający do pokojów; a gdy nie było się z kim zabawić, czém rozerwać, i póki nie nadeszła godzina modlitwy, ściśle bardzo przez Jana Kazimierza strzeżona, najwięcéj tu czasu spędzał pomiędzy pisarzami.

Zbyt wielką wiarę pokładał pono w dyplomatycznych zabiegach swych, i dla nich często o ważniejszych zapominał sprawach. Cisza panowała w komnacie, wśród któréj kilka stołów było, a przy każdym po dwóch i trzech młodych skrybentów, którymi podstarzały mężczyzna w sukni duchownéj dowodził.

W téj chwili czytano królowi Jmości list z jego rozkazu napisany do cesarza, a drugi już z papierem czekał, mając mu inny do króla hiszpańskiego wystosowany przeczytać. Na innych stołach gotowały się niemniéj ważne i niemniéj bezskuteczne odezwy do króla francuzkiego, do Ojca Św. papieża, a nawet do tureckiego sułtana...

Spostrzegłszy król przybyłego Pełkę u progu, ręką mu dał znak, aby nie przerywając, czekał. Stanął więc posłuszny, i mimowoli wsłuchiwać się musiał w starannie ułożone listy owe z kondolencyami i prośbami o posiłki. Król tak niemi był zajęty mocno, iż o papierach od pana Czarnieckiego zdawał się całkiem zapominać.

Pełce serdecznie się chciało być wolnym, ale posłuszeństwo, mówiono, lepsze nawet niż nabożeństwo.

Musiało to długo trwać, gdy pan Czarniecki, który był na miasto powrócił i papiery wyprawił— snać nowych gońców i języka dostawszy, zjawił się znowu na zamku. Odesłano go do kancellaryi królewskiéj, a Pełka jeszcze u progu wyczekujący z owym papierem, który już może potrzebny nie był — dostał przybycia Czarnieckiego.

Król, który się musiał domyślać, z czém przychodził i czego po nim miał żądać, chmurno go przyjął i niechętnie. Z razu, jakby mówić natychmtast chciał, lecz rozmyśliwszy się listu wprzód czytanie kończyć kazał... Oboźny stał zakąsując wargi...

Dokończono czytania, odstąpił pisarek, zbliżył się pan oboźny.

— Widzisz waszmość, odezwał się król — że ja téż bez wytchnienia pracuję — poruszam Europę całą na ratunek kraju...

Dziwnym wyrazem oblekła się twarz żołnierza, słuchając tęskliwego głosu królewskiego. Zdawało się, że walczył z sobą, czy miał powiedzieć to co myślał lub zmilczeć... Nie, przemógł się w końcu i schylił do kolan, odzywając półgłosem:

— N. Panie, jam nie statysta, żołnierz jestem to tylko rozumiem co szablą zrobić można.. Wasza to rzecz i konsyliarzów Rzeczypospolitéj papierem i słowy zastawiać się, moja — z orężem... Lecz jakem ci mówił, N. Panie, jako inni ze mną powtarzali i błagali — zostaw nam obronę stolicy... a sam uchodź... jedź... odetchniemy lżéj. Ciężéj nam będzie bronić dwojga i dwoje postradać... stolicę i króla... Obronę miasta włóż N. Panie na barki nasze — prosimy cię — jedź! uchodź!..

— Nie mogę, odparł król z wielką powagą i majestatem, i w téj chwili urósł gdy to mówił — oczy mu zajaśniały, stał się cale innym i do siebie niepodobnym...

Pełka, który go już tylekroć widział coraz odmiennym, takim go jeszcze nie znał... Powagą wielką okryło się lice...

— Królem jestem rycerskiego kraju i żołnierzem, i urodzonym wodzem... nie chcę i nie mogę z placu uchodzić. Ani tego po mnie żądajcie, ani mnie o to molestujcie — próżne będą prośby — tum jest, tu mnie obowiązek przykuwa, tu zostanę.

— N. Panie — rzekł Czarniecki — nie Kraków ocalić, ale Rzeczpospolitą, któréj jesteś wyobrazi-

cielem żywym... głową i panem — masz święty obowiązek w sobie ratujesz kraj... Prosimy cię.

Król się ofuknął silnie...

— Nie mogę, rzekł, i nie ruszę się ztąd...

Obożny chciał mówić — zamyślił się.

— Nie z siebie to biorę z czém przyszedłem, — dodał—wszyscy cię o to modlą. Ma-ci być obrona skuteczną, swobodną być musi; gdy się co chwila o was N. Panie trwożyć będziemy, ani stolicy, ani ciebie nie obronimy...

— Nigdy to nie może być — oparł się ożywiając coraz król — wybijcie to sobie i drugim z głowy. Nie uczynię tego ani na prośby wasze, ani na niczyje... Chcecie mnie sromotą okryć? ja tego nie zniosę. Zginąć potrafię....

Gdy to mówił, postać jego i głos wrażały poważanie, w téj chwili królem i wodzem czuł się istotnie, choć nim był nie zawsze... Czarniecki uczuł, że go sam nie zwycięży. Skłonił głowę, i nie mówiąc słowa, zabierał się odchodzić...

Widząc go smutnym, król rękę wyciągnął i dodał głosem miększym:

— Za złe mi tego nie miejcie — rzekł — króleméście mnie uczynili, lecz człowiekiem być nie przestałem...

Nie mówiąc słowa więcéj, obożny wyszedł...

Jeszcze pełen wzruszenia tego król pociągnął za nim oczyma ku drzwiom, i dostrzegłszy dopiero stojącego Pełkę, który rozmowy był mimowolnym

świadkiem, niecierpliwie ku niemu po papiery rękę wyciągnął, wskazując mu w milczeniu, ażeby odszedł.

Z wrażeniem w duszy, jakiego jeszcze nie doznał, przestąpił próg Pełka, nie mogąc zrozumieć człowieka, którego coraz odmiennym widział, nie wiedząc już jakim on był w istocie...

W krużgankach spotkali sią z Różańskim, który tęskniąc do towarzysza, czekał nań i wypatrywał, azali go nie spotka...

— Co wam bracie? spytał widząc zmianę na twarzy...

— Nie pytajcie mnie lepiéj, bobym wam odpowiedzieć nie umiał. Dość będzie na tém, gdy powiem, żem głowę postradał, tyle mnie dziś rzeczy dziwnych spotkało...

Poszli tedy gwarząc razem... słuchać znowu nieznośnego szmeru antykamery, w któréj musieli razem z innymi siedzieć po służbie. Tu poruszenie jakieś było wielkie, szeptanie i chodzenie, i przybory niezrozumiałe... Wchodzili i wychodzili panowie senatorowie, naradzając się pomiędzy sobą.

Zwołana była rada wielka, która się na pokojach odbywać miała... lecz król jeszcze się w kancellaryi z pisarzami zabawiał... Na straży u drzwi postawiono czasu konsylium Pełkę i Różańskiego, zapewne dla wyuczenia ich przyszłych obowiązków...

W sali pierwszéj przytomni już byli: arcybiskup prymas Jędrzéj Leszczyński, Tarnowski biskup lwowski, Gębicki krakowski i drugi tegoż imienia brat jego biskup łucki, Czartoryski kujawski, wielu innych z duchowieństwa przedniejszych i kilkudziesięciu senatorów świeckich... Pierwszy to raz młodemu szlachcicowi zdarzyło się oglądać taki poczet poważny pierwszych mężów Rzeczypospolitéj — sędziwe twarze, poorane czoła, srebrne brody i dzielne dłonie... które od oręża do lasek i buław się dorobiły...

Nim król wszedł, z żywych rozpraw już było można wnosić, że rada martwą nie będzie... Marszałek posłał do króla z oznajmieniem, iż senatorowie nań czekają... Kazimierz długo ociągać się zdawał... Ukazał się na ostatek wychodząc ze swych izb z twarzą jeszcze taką samą, jaką przy Czarnieckim miał, majestatu pełną a smutku...

Przywitawszy panów senatorów głosem wzruszonym, odezwał się Kazimierz:

— Panowie rado państwa i moja... są ludzie nielitośni, coby się mnie ztąd pozbyć chcieli, krzywdę mi czyniąc... do was się odwołuję... Miejsce moje tu... Chcę się bronić w Krakowie i oświadczam, że tu pozostanę...

Chwilkę milczenie potrwało, podniósł głos arcybiskup gnieźnieński. Był on pierwszym tłómaczem myśli wszystkich i jednozgonnego zdania, i prośby, ażeby król z Krakowa uchodził.

Tož samo powtórzył biskup kujawski, a za nimi zabierający głosy inni senatorowie... Wszyscy mówili to, co już wprzódy wypowiedział Czarniecki... dowodząc, że królestwu uczyni krzywdę król, nie ratując siebie, a obronę stolicy utrudni.

Nie dał się tém poruszyć król.

— W tém miejscu, rzekł, ukoronowany zostałem, tu niech zginę!

— Lecz nie ginąć ci królu, ale dla nas ocalać potrzeba... przerwał Gębicki.

Na twarzy królewskiéj wzrastało uczucie ożywiające je zapałem...

— Tu miejsce moje! powtórzył... ani mnie siła żadna z niego wyprzeć nie może...

Na te słowa, jakby za danym znakiem, ruszyli wszyscy z siedzeń swych i gromadnie przypadli do krzesła, na którém król siedział... Powstał widząc ich zbliżających się, jakby jeszcze chciał się opierać... Wtém błągalne głosy, prośby i zaklęcia... wzniosły się do koła. Niektórzy schylili kolana i głowy, całowano go po rękach. Król płakać począł zmiękczony...

Tak skończyła się ta scena... chociaż jawném nie było dla nikogo, czy król przyzwolił i w jaki sposób... Domyślać się tylko godziło, iż złamany naleganiami przyrzekł im, że Kraków opuści.

Zawczasu tego dnia rozeszli się wszyscy, nie przybyły kobiety, nie słychać było gwarów rozmów

i późnym tylko wieczorem wpuszczono jeszcze astrologa, z którym król miał długą rozmowę.

* * *

Z rana tłok na posłuchaniu większy był niż dni innych. Król wyszedł złamany i milczący — litość obudzał we wszystkich... na pytania odpowiadał półsłowy, przyzwalał na wszystko... pocieszał — ale widać było z niego, iż sam on najwięcéj potrzebował pociechy...

Obiad jadł wcześniéj i tuż rozeszła się wieść, że król na Bielany miał jechać, jakoby dla nabożeństwa, dla obejrzenia eremu i kościoła... Konie stały już przygotowane... Wszyscy niemal świeccy senatorowie towarzyszyli królowi, dworu część znaczna i z młodzieży rycerskiéj poczet liczny już dla powagi, już dla bezpieczeństwa osoby pańskiéj.

Rożański i Pełka przyłączyli się dobrowolnie do orszaku, nikt im tego nie bronił.

Gdy się z zamku ruszono, dziwny widok uderzył ich u wjazdu na przedmieścia. Tu już, jakby nie przed wojną, ale po niéj stało wszystko pustkami, z domostw nawet okna i błony powyjmowano. Kamienice większe otworem stały jakby zrabowane, bezedrzwi — od nikogo nie strzeżone... We wnętrzach ściany nagie świeciły... Gdzie niegdzie spóźniona ludzi kupka wywlekała z ubogich domostw reszty sprzętów, z płaczem je wywożąc ku murom.

Porozrywane płoty, poryte ogrody, zburzenie ogólne smutkiem i litością napełniało.

Ludzie, których spotykali, szli pogrążeni w sobie nie widząc nic, przeklinali na głos i płakali.

Gdy się tak orszak królewski posuwał już na koniec przedmieść, gdzie się ten widok miał skończyć — na progu jednego domostwa postrzeżono z dala człowieka z brodą siwą, trzymającego kij w ręku i opartego na nim głową. Siedział tak jakby martwy... z odkrytą łysiną, z rozwartą piersią nieosłonioną, z różańcem grubym na szyi... i zdawał się żebrakiem.

Król przejeżdżając mimo — zatrzymał się przy nim nieco i przez dworzanina jałmużnę mu posłał. Na głos zbliżającego się, starzec podniósł powoli głowę, popatrzał do koła spokojnie, oczy wlepił w króla, i podaną mu odtrącając jałmużnę, wstał nagle prostując się.

Olbrzymiéj był postawy... lecz zdawał się złamany wiekiem i jakby obłąkany uśmiech mu usta wykrzywiał. Stanął zwolna przed koniem królewskim i przyłożył dłoń do czoła wpatrując się w króla, potém głową potrząsać zaczął.

Bóg zapłać za jałmużnę, N. Panie, odezwał się głosem wielkim — Bóg zapłać... wy jéj więcéj odemnie potrzebujecie... jabym ją wam dać powinien... boś ty biedniejszy niż ja... N. Panie...

Na to zaszła krew jagiellońska z cesarską krwią

złączona... na wygnanie... na jałmużnę — na łzy i na żal! Bóg tak zrządził.

Za dziadów waszych była to stolica gniazdo — dodał Kraków wskazując — dziś śmiecisko — jutro zgliszcze... późniéj... może pustynia... I grobu ci ona nie da obok ojców... biedny królu!

— Z Bogiem! z Bogiem! rzekł śmiejąc się. I w chwili, gdy go służba zaczynała otaczać, aby z przed królewskiego konia wziąć, bo drogę był zatamował, a drudzy wołali: „Niespełna rozumu! szalony jest!“ odwrócił się z pokłonem odchodząc, a do tych co szalonym go nazwali, rzekł:

Wszyscyśmy dziś niespełna rozumu, bo go na ratunek nie ma nikt, a na zgubę siła go było!

Ustąpił wreszcie wracając do swojego progu i padł znowu w to samo miejsce, z którego był wstał, podpierając się na kiju a nie patrząc więcéj na orszak, który przejeżdżał... I siedział tak nieruchomy, że go jadący widzieli długo, gdyby posąg z kamienia, w czarnych drzwiach pustéj chaty.

Król i dwór i nikt słowa rzec nie śmiał... wszystkich objął jakiś ponury, dziwny smutek i przeczucie złowrogie... W pół drogi do Bielan przyśpieszono jazdę... Mrok już padał, gdy u wrot orszak wśród lasu stanął, a księża ze śpiewem wyszli naprzeciw króla, niosąc krzyż i święconą wodę.

Chociaż noc już była zapadła — jakby w oczekiwaniu czegoś, nikt na Bielanach do snu się nie

zbierał, cały dwór był na nogach... sam król po długiéj modlitwie w kościele, z salki, którą zajmował na górze w budynku dla gości wystawionym, wychodził ustawicznie na galeryę otwartą i w stronę ku Krakowowi poglądał ręce łamiąc.

Smutniejszym go uważano niż kiedykolwiek, a otaczający, przeciw zwyczajowi, ani doń mówić, ani go rozrywać nie śmieli. Wieczór, a raczéj noc była spokojna, obłoki tylko ciężkie wisiały nieporuszone osłaniając niebo całe... Wśród ciszy słychać było zdala dzwony Krakowa... Otoczony kilku poufalszymi, Kazimierz stał jakby nieruchomy na otwartéj galeryi... modlił się po cichu. Dołem rozłożonym obozem leżał dwór niemogący się w klasztorze pomieścić... Czy sąsiedztwo świętego miejsca, czy opuszczenie Krakowa, do którego się niebardzo już powracać spodziewano... skutkowało tak na ludzi przy królu będących, iż się prawie głośno odezwać nie śmieli, a co zwykle śmiechu było dosyć i gwaru, teraz grobowe zalegało milczenie...

Nagle w stronie od Krakowa zarumieniły się obłoki, zrazu maluczko... potém coraz gorętszą i krwawą łuną. I podniosły się kłęby czerwonych dymów, unosząc w górę iskry i szum powstał dziwny, a drzewa się poruszać zaczęły i las szeleścieć jakby dreszcze po nim przebiegły...

Zwolna od łuny téj wzmagającéj się co chwila, blaski poczęły padać już na mury klasztorne, na las otaczający, na obozowisko królewskie... I wi-

dzieli od dołu stojący Kazimierza, który ręce załamawszy, głowę na nich położył, a pokląkłszy tak płakał...

Widok ten przerażający wszystkim łzy dobył z powiek.

— Kraków się pali! — Kraków się pali! — poczęto szemrać...

Niektórzy ruszyli się biedz jakby na ratunek, ale starszyzna wstrzymała.

— Przedmieścia pali Czarniecki... — rzekł ktoś — nie ma tam po co iść...

Tymczasem płomień coraz ogromniejąc wzbijał się do góry, i okolica krwawą tą łuną oblana strasznie się przedstawiała, jakby pożar ten szedł, zbliżał się i cały świat miał zniszczyć i ogarnąć...

Wpośród groźnego milczenia rosnący ów ogień — przerażał... ucho zdawało się chwytać dalekie jęki i płacz — chociaż nic słychać nie było... tylko szum drzew i dziki wiatr pożarny zgorzelizny wonie niosący daleko...

Jak jakieś sztandary zniszczenia rozwijały się na niebiosach wstęgi dymów przybierając dzikie kształty potworów miotających się na siebie... Maleńka zrazu łuna roztaczała się coraz szerzéj, odbijając na chmurach, rozlewała dokoła i odzwierciedlała w obłokach, aż objęła niebiosa całe, zdające się gorzeć razem z ziemią...

Z szumem i dymem, ozwały się dzwony jękiem żałobnym, jakby opłakując miasta zniszczenie...

Co żyło w klasztorze wyszło, a patrzało na to widowisko zgrozy pełne i żałości... Niekiedy zdawało się ognisko owo olbrzymie przygasać i ciemniały obłoki, to znów skoczyły w górę z okalających się budowli płomienie i skry wysoko, i zalały krwią niebiosa...

Pełka i Różański patrzali stojąc razem na obrywie góry... milczeli, bo nie było słów, któremiby się smutek duszy mógł wypowiedzieć.

U nóg ich siedział służka czyjś, Krakowianin rodem, i płakał... Mało oczu suchych było tego wieczoru, i serca się wszystkim ściskały... Pełce przyszła na myśl podczaszyna i Jadwisia, które do koła ten płomień oblewał — a choć nie było dla nich niebezpieczeństwa, jakiegoż wrażenia musieli doznawać mieszkańcy miasta, gdy zdala ono tak się wszystkim czuć dawało?

I on i Różański jedną myśl mieli, uwolnić się i dzielić niebezpieczeństwa tych, co się bić chcieli, nie tych, co musieli uchodzić...

Nie godziło się króla opuszczać samowolnie, a nie było już tajemnicą dla nikogo, iż uchodził na Szlązk do Głogowa, gdzie już była królowa. Nie daléj pono jak nazajutrz w podróż się miano puścić... Obóz pozostał w gotowości, wozy stały pod strażą — trzeba więc było szukać środków uwolnienia się ztąd, gdyż z drogi trudniéj lub całkiemby się stało niepodobném.

Marszałek Lubomirski był z królem. Pełka jak zawsze żywy i nielubiący czekać, postanowił choćby tegoż wieczoru, korzystać z pierwszéj zręczności, aby się do niego zgłosić i uwolnienie pozyskać. Różański był téjże myśli.

Weszli więc do foresteryum szukać Lubomirskiego... Król ciągle jeszcze na galeryi w myślach i modlitwie patrząc na tę łunę siedział, nie mogąc przemówić słowa. Stali obok milczący panowie, nie mogąc nic znaleźć na pociechę.

Pożar, który zmniejszać się zdawał chwilami, snać podniesiony na nowo, wzmagał się potężniéj, to z lewéj to z prawéj strony rosnąc i bujając ku górze... Część dworu królewskiego, która się przypóźniwszy, teraz dopiero przyciągała, opowiadała, że pan Czarniecki bez litości na płacz ludzki i prośby wielu: Kleparz, Stradom, Piasek, Biskupie, Garbary i wszystkie przedmieścia od północy z kościołami, klasztory, pałacami, ogrodami, z domostwami ubogich, w perzynę obrócić kazał...

Zamknięto lud w murach, a wysłani z żagwiami i pochodniami ciurowie podpalali, gdzie jeszcze co sterczało, aby Szwed nie miał schronienia i ukrycia... Nad tą stratą boleli wszyscy, ale i tę ofiarę do innych dodać było potrzeba, ażeby Szwedom okazać, iż się bronić im rozpaczliwie zamierzano.

Kto nie chciał znosić oblężenia i obawiał się zamkniętym zostać, wystawiając się na losy wojny niepewne, uchodził co najprędzéj, dowiedziawszy

się, iż król już był na Bielanach, zkąd w dalszą udać się miał drogę.

Przybycie reszty służby i wozów od Krakowa, wywabiło Lubomirskiego na chwilę dla rozwiedzenia się o losie ludzi i koni, jeszcze w stolicy pozostawionych. Z téj chwili korzystać postanowili Pełka i Rożański, aby się o puszczenie do wojska dopraszać.

Lubomirski był jednym z tych, co otuchy i męztwa nie stracili — on tu najwięcéj rządził i samym nawet królem, który raz z Krakowa wyjechawszy, nie wiedział, co z sobą poczynać daléj... Pełka odchodzącego marszałka zagadnął — prosząc o słowo.

— Czego waszmość chcesz? — spytał marszałek...

— Chciałbym się bić i być czynnym — odezwał się Pełka — zatém do Krakowa do pana Czarnieckiego powrócić.

— A króla opuścić? -- podchwycił Lubomirski.

— Panie marszałku — odezwał się Pełka — jest dosyć służby przy panu, a za mało nas w wojsku... tam miejsce nasze...

— Ja z tą samą prośbą przychodzę — dodał Rożański z pokłonem...

Marszałek obu wzrokiem zmierzył.

— Czekajcie — rzekł — trzeba, ażeby król o tém wiedział, niech on rozsądzi, — ja się nie sprzeciwiam, a młodzieńczą ochotę waszą dobrze rozumiem.

To mówiąc, na galeryę wszedł, rad może, iż króla rozerwie. Wkrótce téż obu zawezwano do środka... Kazimierz patrzył na nich osłupiałym wzrokiem, który pożar ten jeszcze oślepiał...

— Chcecie waszmość do Krakowa — rzekł — nie sprzeciwiam się, z Panem Bogiem... Bijcie się mężnie choć wy, gdy mnie ani się tam bić, ani ginąć nie dano... Niech Bóg waszmościów błogosławi. W innym czasie zatrzymałbym chętnie tak dzielnych młodzieńców przy sobie... dziś mi nie dozwala sumienie...

Poszli obaj tedy do ucałowania ręki królewskiéj, a choć Pełka nie miał czasu ani sposobności przywiązać się do Jana Kazimierza, żal mu było słabego i biednego króla, skazanego na bezsilne przypatrywanie się największéj niedoli, jaka kraj spotkać mogła. W téj chwili obudzał on szczere współczucie...

Znalalazłszy się po za klasztorem w taborze, w którym Gabryk stał z końmi, Pełka i Rożański odzyskali trochę humoru. Obaj ani chwili czekać tu dłużéj nie chcieli. Konie były popasły... noc od pożaru jeszcze jasna była, postanowili jechać natychmiast. Wyszukawszy w obozie ludzi, siedli na konie i spoglądając na klasztor, na którego galeryi król stał znowu z różańcem w ręku, otoczony duchownymi i dworem, ruszyli spiesznie ku Krakowowi.

Łuna im przyświecała ciągle... Powietrze przejęte było całe wonią téj zgorzelizny i nadlatującym dymem... Wkrótce po za klasztor i zarośla się wydobywszy, usłyszeli jakby gwar a szum od strony miasta i co łuną zdala się im wydawało, ztąd wyglądało jak szerokie morze płomieni... na których tle czerwoném stały czerniejące mury pozostałych kościołów i klasztorów... Daléj objęte płomieniami wieże i szczyty zębate... to się kryły w dymach, to z rozwianych wychodziły z resztą niedopalonych belek i dachów... Na gościńcu wiodącym do Bielan pełno spotykali wozów, ludzi, pieszych, kolebek i uchodzącego z jękiem pospólstwa, które oczy zwracając ku gniazdu swemu, ręce łamało... Wymijając te tłumy, Pełka nagle się wstrzymał — poznał on kolebkę i ludzi podczaszynéj.

— Na miły Bóg! Różański, wstrzymaj się krótko, muszę przypaść do téj kolebki...

I skoczył z koniem ku drzwiczkom... z których podczaszyna blada, ze zwieszoną głową, wylękła i prawie bezprzytomna, wyzierała...

W głębi kolebki siedziała płacząc Jadwisia, lecz, co najdziwniejsza, na koniu dzielnym tuż obok nich sunął pan wojewoda sieradzki... jako wierny służka... Wyminąć się z nim było niepodobieństwo. Pełka się zżymnął na ten widok...

— Pani podczaszyno dobrodziejko! a toż dokąd? zawołał podjeżdżając.

— A! to waćpan! — gniewnym głosem poczęła kobieta — a zkądżeś się tu wziął? Dokąd? Waćpan mnie zapytujesz? Chciałżeś, żebym się tam upiec dała? Król Jmość ani słowa mi o niczém nie powiedział, nie przestrzegł... Wszak Szwedzi jutro być mogą... Jestem oburzona, zła! gniewna! Opuścili nas wszyscy! Gdyby nie pan wojewoda i jego dwór, zginąćby tam przyszło... — Mówiła głosem drżącym i jakby sama do siebie więcéj niż do Pełki. — Nikomu tego tak za złe nie mam — poczęła znowu ledwie na Pełkę spojrzawszy, — lecz żeby téż król Jmość tak zapomniał...

— Pani podczaszyno — odezwał się Pełka — jestem najlepszym świadkiem, że pan nasz miłościwy do niedawna sam pewien nie był co pocznie...

— Gdyby nie pan wojewoda! — powtarzała piękna pani...

Pięknéj Jadwisi główka wychyliła się z powozu nieco, oświecona odblaskiem łuny pożarnéj, oczka jéj padły na Pełkę... Zdawało mu się, że mu nieprzyjazny znak dała...

— A waszmość dokąd to? — zapytała podczaszyna.

— Ja... gdziekolwiek, byle się bić ze Szwedem — odparł Pełka — jadę do Krakowa, co daléj pocznę, nie wiem... Lecz pani...

— Ja jadę do króla na Bielany, aby się go radzić, a potém szukać królowéj, schronić się... tu nigdzie człowiek spokojnie miejsca zagrzać nie może.

Pełce chciało się bardzo zbliżyć do powozu od strony Jadwisi — ztamtąd mu wojewoda zapierał drogę i docisnąć się nie dawał.

— Prawdziwie nie wiem — odezwał się — ani jak prędko, ani gdzie znowu będę miał szczęście widzieć panią dobrodziejkę i pannę Jadwigę... niechże mi wolno będzie tu jeszcze raz je pożegnać i prosić, abym zapomniany nie był.

Podczaszyna zmierzyła go oczyma zamyślona... Schwytała w téj chwili wzrok jego ku Jadwisi skierowany, zżymnęła się jakoś gniewnie znowu, i dała mu znak, 'aby się ku niéj zbliżył. Wychyliła się się ku niemu, piękną główkę zasłaniając rączką.

— Nie patrz tam daremnie — rzekła drżącym głosem... — Ten kąsek nie dla was! Głowy sobie tém nie psuj. Jeśliś kiedy myślał, że z tego co być może, toś się omylił bardzo... nie chcę abyś dłużéj trwał w błędzie...

A cicho dodała prawie niewyraźnie:

— Gdybyś był miał rozum, innéjbyś się rzeczy powinien był domyślić.

Na to niespodziane przemówienie Pełka drgnął, i odskoczywszy nieco, aby dłużéj nie słuchać gniewnego głosu matki, zwrócił się ku Jadwisi.

— Panno podczaszanko dobrodziejko! — rzekł podnosząc głos — sługa wierny względom się jéj poleca...

Jadwisia, mimo że matka ręką ją w głąb po-

wozu odepchnąć chciała, wychyliła się dosyć śmiało i głosikiem słabym odezwała:

— Do zobaczenia! do zobaczenia! Panie Medardzie, bij się pan szczęśliwie i powracaj cały!

Dalej ręka matki mówić nie dopuściła. Pełka trzęsąc się z gniewu spiął konia i pobiegł gdzie nade drogą Rożański nań oczekiwał.

Na jego twarzy gniew wypiekł rumieniec, którego blask ognia tylko rozeznać nie dawał.

— A cóż? — spytał Wacek.

— Co? Przeklęta baba! baba przeklęta! — powtarzał Medard nie umiejąc się wytłómaczyć... — Jedźmy...

Rożański się dopytywać już nie śmiał, bo Pełka z głową spuszczoną na kark sułtana jechał jak przybity, wciąż tylko przeklinając podczaszynę...

Wyrzucał sobie, że do powozu się zbliżył, aby takie pożegnanie wziąć na drogę, którego nawet uprzejme słowo Jadwisi opłacić nie mogło.

Milczący, w myślach zatopieni zbliżyli się ku miastu... i wjechali wreszcie w tę atmosferę płomieni, dymu, jęków i płaczu, która piekłu była podobna.

Przedmieścia gorzały wciąż jeszcze... W mieście czujność była wielka: po wieżach, basztach, murach okólnych, bramach i po dachach domostw, bo lada wiatr mógł i tu zanieść iskry i niepotrzebny pożar rozniecić. Ludzie z wiadrami siedzieli po dachach i czuwali w ulicach... Nie czas było nocą szukać obozu,

więc obaj z Rożańskim stanęli u gospody w rynku, ażeby do dnia wypocząć i naradzić się z sobą.

Właśnie wstępowali do niéj, gdy wrzawa z izby buchała najokropniejsza. Nie trudno było naówczas o zwadę, zwłaszcza pomiędzy wojskowym ludem, nie byłoby więc w tém nic dziwnego, lecz wsłuchawszy się Rożański łokciem potrącił Pełkę i rzekł mu w ucho pokazując wspiętego na stół i głośno dowodzącego mężczyznę słusznego wzrostu.

— Tego znam... posłuchajmy czego chce...

Orator ów był lat trzydziestu kilku mężczyzna, niebardzo rycersko wyglądający, choć zbrojny i najeżony orężem... Blada twarz z ogromnym nosem, chudy wąs, oczy wypukłe, szerokie usta, dziwną fizyonomię składały, w któréj kłamstwo mieszkać się zdawało.

— Panowie bracia komputowi—wołał ze stołu — co mówię to sprawiedliwa rzecz. Zaciągnięto nas, chcą, byśmy się bili — niechże płacą. Ja o głodzie i o groszu, którego nie mam, służyć i krwi przelewać nie mogę. Królowi i panom senatorom ani polewki, ani sztuki mięsa nie braknie. Gardła tak bardzo nie nastawiają — a my mamy ofiarą padać? Zjedzą licha! Chcą, byśmy szli na Szweda — niechże lonungi płacą... A mnie co do tego, zkąd oni je wezmą! Jak nas zaciągali powinni byli o tém myśleć. Mnie na kredyt żyd nie da garnca wina, a ja im życie dawać mam na kredyt? niedoczekanie!..

— Źle mówię? he?...

Od stołów, przy których siedzieli komputowi towarzysze mówcy, szmer się rozszerzył.

— A no, tak! masz słuszność, albo, albo...

Z boku podchwycił inny.

— Albo mnie co ten Waza obchodzi co go mam, a lepszy on jak ten drugi Waza, który ciągnie, i któremu téż połowa albo więcéj Rzeczypospolitéj się poddała?... Z któréj wazy jem, ta mi dobra. Albo to koło Gustawa naszych nie ma, i z panów senatorów... i z wojska?... Albo mi co kto za to da, żebym się za honor króla bił? Mówią luter... albo mi to co szkodzi?... Ochrzcili przecie Batorego i dobry był... Czemu ten nie ma królem być, kiedy zawojował nas i płaci? Mamy głodem mrzeć! Co mi tam!

— Dałbyś ty pokój tym bluźnierstwom — przerwał któryś inny z daleka — nie za króla się przecież bijemy, ale za siebie samych, za domy i strzechy nasze, za żony i dzieci... za uczciwość i sławę naszą, za wiarę świętą katolicką! A któż go to obrał tego króla, przeciw któremu bluźnisz, jeśli nie ty sam albo ja, albo my wszyscy?... a toć jagiellońska krew!...

— Na pół z rakuską... przerwał inny...

— Gustaw luter, heretyk... wołał z boku inny.. nieprzyjaciel wiary...

Blady orator, który piérwszy poczynał stojąc na stole, rozglądał się, jakby głosy zbierał, po zgromadzeniu.

— Panowie a bracia! — krzyknął — dajcie mi mówić — posłuchajcie! Jeżeli król i panowie senatorowie złamanego szeląga nie mają, żeby nam nawet krwawicę naszą zapłacili — czegóż się tu spodziewać, po co wojnę prowadzić? na co kraj pustoszyć? Gustawa królem okrzyknąć i po wszystkiém...

— Miłczałbyś! cicho!

Zaczęto warczeć i grozić — orator umilkł, lecz nie ustąpił.

Rożański szepnął w ucho Pełce:

— Ja go znam, to Aleksander Pracki z pod husarskiéj chorągwi z komputowych... towarzysz... Zawsze wodę mącił i djabeł w nim siedział... Wywłoka... nosił źle dominikański habit, nielepiéj szablę nosi... a no — zdrajca!

Tymczasem ów Pracki nie ustępował, czupryny zatarł, wiedział snadź jak do swoich przemawiać — z poważnéj uczynił łatwo twarz wesołą i drwiącą.

— Hej! hej! panowie a bracia — począł z innego tonu — w naszéj wolnéj Rzeczypospolitéj wolne przecie słowo... Ktoby mi śmiał gębę zatykać, jabym mu ją zamalował szablą. Zowiecie mnie zdrajcą! Ja bo nie wiem kto zdradza kraj, czy ten co go na rzeź wydaje, czy co do zgody i pokoju prowadzi... Jam, mości panowie, głodny, konie głodne, czeladź języki powywieszała, w mieszku *vacuun*... chcecie żebym o głodzie, o chłodzie, o smrodzie, niewygodzie walczył za tych, co mnie

tém uszczęśliwiają? A dobrze się wam dzieje? powiedzcie? Łupi was kto chce.... najeżdża komu wola... pali, rznie... na zamku skrzypki od ucha, a my do wtóru zebami dzwonimy i mamy się na kredyt bić, żeby to szczęście wiekowało?...

Król drapnął... skarbiec wywieźli... w Warszawie Szwed, w Poznaniu Szwed, w Wilnie drugi taki przyjaciel gospodarzy, ratunku znikąd nie masz... a komputowym gardła dawać każą!

— Nie bez racyi! mruknął ktoś z bliższych... Nie bez racyi!

Rożańskiemu świerzbiał język... zbliżył się do stołu i pięścią palnął po nim...

— Wolno waszeci, mości ex-dominikanie — krzyknął — wolno téż i mnie słowo rzec — a waszmość panowie a bracia posłuchać raczycie! Króla obwiniasz — co on winien? alboż go nie opuścili tacy jak waść? albo jego i Rzeczypospolitéj nie zdradzono? Pieniędzy chcecie? Zapłaciliścież do skarbu co od was należało? Nie króla to sprawa, ale nasza własna, któréj bronimy. Przysięgliśmy mu posłuszeństwo... daliśmy mu dobrowolnie berło w ręce... a teraz go opuszczamy? Nie ohydnież to? nie szkaradnie? Chcecie lutra... mówicie; że on wam nie zaszkodzi? a kiedyż u nas na tronie heretyka widzieliście? Nie o lonungu nam myśleć, ale o tém, by sławy poczciwéj utraconéj poprawić narodowi...

Czyż komputowy żołnierz nie szlachcic? a za co on szlachectwo nosi i klejnotem się tym szczyci, jeśli nie za krew, którą winien? Król wam nie dłużny nic, a wyście jemu życie winni...

— Ho! ho! ho! zaczęto wołać z boków: regalista się wyrwał... słyszeliście... a cicho tam! a stul gębę!

— Wstyd i hańba mówić tak jak Pracki, kończył Rożański — przecieżeśmy nie najemnicy, ale synowie pierworodni Rzeczypospolitéj.

— Cicho! wołano z gromady...

Pracki ze stołu nie ustępował...

— Jużeś téż się wygadać musiał — przerwał śmiejąc się gniewnie... Ani się ja waści dziwuję, mości Wacku Rożański — z dziadów pradziadów wisieliście przy dworze i lizali pańskie talerze, toćby niewdzięczność była inaczéj dziś śpiewać...

Rożański szablę podniósł.

— Pracki, zawołał — mamy z sobą na pieńku.

— Z miłą wolą! odparł husarz — znajdziemy się jeszcze. Wolno waści o swym groszu iść i bić się na ochotnika, nie bronię. Ja nie mam o czém... głodny nie pójdę.

— Pracki praw! wołano około stołów — komputowym zapłacą lub z miejsca nie ruszymy i związek zrobimy.... od czegóż są hetmani i podskarbiowie?

Pracki nareszcie ze stołu zszedł i w tłumie znikł... Rożański z Pełką stali czekając, ażali go

nie spotkają, aby rachunek zrobić i w długu nie zostać, lecz nigdzie go już widać nie było. Przysiedli więc w kącie przysłuchując się różnym głosom, bo pełno było ludzi wszelakich... Lecz, jak to zwykle bywa ze złém, że choć się go komu zachciewa, sroma się i nie przyznaje do tego, a dopiero gdy inny w kałużę wejdzie, za nim się drudzy ważą — tak i tu, ci co powchodzili bez myśli złéj, struli się tém co Pracki powiedział. Poszło to po głowach i po sercach.

— Albo może i ma słuszność! szeptano po kątach... My się za żółtobrzuchów mamy bić, a oni skarb kraść i nas o głodzie puszczać! niedoczekanie! — lepiéj się ze Szwedem pokumać, aby raz pokój był.... albo to nasz nie Szwed jest także? a tam ta kropelka krwi co na niego po kądzieli spadła... wielka rzecz! hej! hej!

A im głębiéj do dzbanów zazierano, tém jaśniéj na dnie prawdy się te wypisywały....

Pełka i Rożański wyszli nad ranem z gospody, nietylko niewywczasowani, ale gorzéj zmęczeni i wrzawą, i tém co słyszeli.

Miasto dymu było pełne, bo się przedmieścia paliły jeszcze i zgliszcza kurzyły. Nie tajno było, że Sulzbach lada chwila z przednią strażą nadciągnie, sposobiono się więc ku obronie wszędzie, zwłaszcza po bramach i basztach, na których wszelkiego żołnierza i mieszczańskiéj milicyi było pełno. Niektóre cechy i kontubernie upornie stojąc przy

swych przywilejach murów od wieków przez się strzeżonych, nikomu ustępować nie chciały... Wciągano śmigownice i działa... wieziono prochy i kule... ludu pełno snuło się w ulicach i przy kortynach... mieszczańska czeladź, paupry i studenci, i wszelaka młodzież darła się pierwsza z wielkiém sercem, aby téż na coś się przydać i usłużyć.

Pełka namówił Rożańskiego, aby do kasztelana kijowskiego szli się meldować i pod nim służyć, a z nim... Miał pan Medard obietnicę u niego. Lecz do klasztoru, do mieszkania i do wodza się docisnąć dnia tego było trudniéj niż kiedy. Wziąwszy wszystko w swe ręce żelazne, chwili nie miał spoczynku...

Musieli tedy stać i czekać, i łapać go na przesmyku. Czarniecki ledwo sobie Pełkę przypomniał, ale mu twarz i postawa młodzieńca podobała się...

— Chce ci się koniecznie w téj dziurze siedzieć, a nie z panem hetmanem Lanckorońskim w polu harcować, jak wola twa.... zapiszże się z jednéj wypisawszy do drugiéj chorągwi, a ja Wolffowi powiem, by cię do gwardyi wziął...

Nie było tam wiele czasu do mówienia. Pełka z Rożańskim wespół już między nowymi towarzyszami się znaleźli... Gdyby nie urok imienia i osoby Czarnieckiego, woleliby może być w polu, bo żołnierzowi polskiemu po wsze czasy lepiéj smakowało ucierać się na czystém, niż w murach zamykać, i dla tego nigdzie obronnych zamków, ani

silnych twierdz nie wznoszono, a sam téż Kraków oprócz podwójnych murów, co go opasywały, większéj obrony nie miał.

Czujność była podwojona... lecz dnia tego pomimo obietnic, które przybycie przedniéj straży szwedzkiéj zapowiadały, nikt się nie ukazał...

Tegoż wieczoru już pierwsi na ochotnika obaj młodzi towarzysze wyskoczyli z małym oddziałem wysłanym ku górom od Michałowic, zkąd się ukazania Sulzbacha spodziewano... lecz języka nie dostali wcale i nic z sobą nie przynieśli.

Jeszcze przedmieścia się dymiły i pożar trwał na zgliszczach nazajutrz, w sobotę -- gdy około południa poszła wieść, iż Szwedzi idą. Bramy i mury wszędy były osadzone mieszczanami i gwardyą węgierską Gnoińskiego, lecz Czarniecki wybiegać na ochotnika zakazał, aby snadź oddział jaki słabszy, naparty przez nieprzyjaciela silniejszego, cofając się do bram na sobie Szwedów nie przyniósł...

Dzwoniono na nieszpór, gdy w mieście zamieszanie stało się wielkie... Szwedzi na górach tych, z których się ich spodziewano, ukazali się, idąc ostrożnie i powoli... Widziano ich o mroku ciągnących z wolna ku Kleparzowi, który, że w zgliszczach leżał przez nikogo nie broniony... więc się ku nocy położyli obozem prawie pod samemi murami...

Dano znać Czarnieckiemu, który na baszty wszedł, aby przybyłych oglądać, lecz noc zaskoczyła, że już sił ich rozliczyć i widzieć nie było można, ile téj szarańczy przyciągnęło. Całą pierwszą noc oka nikt nie zmrużył w mieście, już po kościołach otwartych, już po domach czuwając...

Wojsko wszystko, a nie było go więcéj nad cztery tysiące ludzi, pod bronią stało... i Czarniecki sam posterunki objeżdżał. Chociaż potęga nieprzyacielska liczbą trwożyła a imieniem Gustawa i zwycięztwy jego dotychczas łatwemi — ducha nie po stradano, i owszem urósł on w obec niebezpieczeństwa. Mieszczaństwo nawet nienawykłe do boju sposobiło się doń z tak wielkiém sercem i zapałem, iż patrzącemu radość rosła, któréj się sam pan Czarniecki dziwować musiał. Bo gdy jemu na duszy było tęskno i ciężko, u panów cechowych, majstrów i czeladzi zaciągającéj na baszty swoje, spotykał tak uśmiechnięte twarze i jasne oczy, jak gdyby się do wesela sposobili.

Nikt nad nich więcéj do stracenia nie miał, boć rodziny, domy, mienie i zdrowie, i wszystko[1] swe w ofierze przynosić musieli, a przecie czynil to tak pięknie i z animuszem takim, iżby się go szlachcic żaden nie powstydził. Młodzież téż uzbrojona w co kto miał, samopały, rusznice.... ba! i pałki, i noże, ulice całe razem ze szlachtą krakowską zalegała... sposobiąc się z ciekawością wiekowi właściwą do roboty nowéj a miłéj.

We wszystkich domach świateł nie gaszono, drzwi stały otworem, znajomi i nieznani wchodzili i wychodzili, rzekłbyś, że jedno niebezpieczeństwo wszystkich w jedną związało rodzinę. Nie pytał nikt spotykając kim był, a mówił z nim, jakby go znał z dawna; ściskali się tacy, co się w życiu nie widzieli.... Czekano tak świtu a brzasku i dnia, co nowego Bóg da... boć na przywitanie działa téż zagrzmieć musiały...

Jak na dzień o zwykłéj porze ozwały się po klasztorach i kościołach dzwony wołające na modlitwę, a nie zabrakło pobożnych, bo tak jak stali ci co noc spędzili bezsenną, poszli Bogu siebie, i rodziny, i losy przyszłe miasta i kraju polecić...

Wychodziły msze po mszach po kościołach, a żadnemu ołtarzowi na pobożnych nie zbywało... Dopiero czasu summy... opustoszały nieco świątynie... Kto mógł na mury śpieszył, a kto rozkaz otrzymał, na harcownika za miasto wyciągał, — sam król Gustaw nadchodził... Z murów widać było w porządku wielkim posuwające się szeregi na Promnik i szykujące czołem przeciwko miastu... Sam główny korpus od pałacu na Woli aż do Wisły zajął obozowisko, a skrzydło w lewo od strzelnicy się wyciągnęło. Skoczyło z miasta na ochotnika do harcu gromadek kilka, w których i Pełka i Rożański się znaleźli...

Dla Pełki był to pierwszy chrzest i pierwsze pole, na które u Panny Maryi wziął z rana błogo-

sławieństwo... Młodemu żołnierzowi niebezpieczna to była rzecz dla gorącości krwi wynijść na taki posterunek, gdzie gdy się urwać nie da, uchodzić obowiązkiem, bo zuchwalstwem życia ważyć się nie godzi... Musieli téż przebywać kurzące się jeszcze popieliska na Kleparzu i z węgłów domostw niedopalonych korzystać. Ale wiódł ich stary żołnierz Paździerski, który do takiéj urywanéj wojny był jedynym, i Czarniecki mu téż młodzież chętnie powierzał....

Przekradłszy się między obalonemi domowstwy wśród dymów... zasadzili się w takiém miejscu, kędy ich nieprzyjaciel nie bardzo mógł dojrzeć... A z tamtéj strony sunęło téż ku Kleparzowi na rozpoznanie kupek kilka... Pełka po raz pierwszy ujrzał szwedzkiego rajtara z jego zbroiczką, butami i pludrami, i kapeluszem pierzastym, i rękawicami zamaszystemi... A mógł mu się dobrze przypatrzyć, bo Szwedzi nie widząc ich posunęli się wprost ku nim na strzał karabinkowy...

Paździerski mitygował swoich, póki ich nie dopuścił jak trzeba, ażeby im tył zająć mogli, wyrwawszy się z za węgłów... Rozglądali się Szwedzi bacznie, lecz widząc pustki dymiące tylko... pomknęli naprzód... Dopieroż na dany znak kupka się owa z zasadzki wyrwała i hajże na rajtarów... Z obu stron strzały się posypały i uganianie poczęło... ale Szwedzi pierzchnęli... Pełka na sułtanie ich gnał po szalonemu... szczególnie jednego

na oko wziąwszy. Próżno go już Paździerski odwoływał... Nie opamiętał się Pełka, aż Szweda na ziemi zobaczył...

Jakże go tu było rzucić nie wziąwszy co na pamiątkę? Nie zważając na niebezpieczeństwo, pochylił się nad nim, by z niego opaskę choć zedrzeć... i byliby go nadbiegający na obronę pochwycili lub ubili, gdyby Rożański z Paździerskim nie nadbiegli w pomoc... Udało się więc szczęśliwemu zwycięzcy wielkim kosztem małą zdobycz pochwycić — szarfę, którą rajtar był przepasany, krwią jego ubroczoną... A nigdy może tryumfator, który miasto zdobył, tak nie był szczęśliwy z bogatych łupów, jak pan Medard z owego gałgana, wiozący go do miasta. Nie można się było bowiem zabawiać dłużej i harcownicy wszyscy na dany znak ustępować musieli, bo Szwedzi już na dymiące zgliszcza Kleparza sunęli się całemi szeregi, aby zająć podle niego równinę i bliżéj się miasta rozłożyć...

Rożański téż niepomału się radował, bo mu kula szwedzka naznaczyła zbroiczkę, wygiąwszy w niéj dół a nie przebiwszy jéj, jakby dla zapewnienia, iż w niéj być może bezpiecznym... Paździerski tylko, żołnierz surowy, obu naganiał popędliwość...

— Co wy sobie myślicie młokosy — wołał — że ja was na jatki prowadzę! A to mi proszę, żołnierze! Życie dać, to nie sztuka! gdy krew za-

gra... a no, trzeba wiedzieć jeszcze na co się to zdało!... Dałbym ja ichmościom obu pamiętne... a no — czasu na to nie ma!

* * *

Gdy w Krakowie Pełka cisnął niebieski węzeł do piersi, napawając się słodkiém wspomnieniem panny podczaszanki, na przemiany straże odbywając po murach, wpraszając się do każdéj wycieczki, szukając niebezpieczeństwa i szczęśliwie z prób wszystkich wychodząc — pani podczaszyna sposobiła się w Głogowie do zapewnienia córce losu, nie zapominając o swym własnym. Była bowiem najpewniejszą, że gdy się pozbędzie niebezpiecznéj téj rywalki, która oczy i serce ściągała — z łatwością jeszcze znajdzie gładkiego towarzysza, aby wdowie zrzucić szaty...

Już w Krakowie pan wojewoda sieradzki rzucił pożądliwém okiem na pannę podczaszankę, która się niczego nie domyślając, z naiwną prostotą dziecięcia uśmiechała do niego.

Dziwna rzecz! zalotnemu dziewczęciu podobało się to wielce, że jéj taki poważny mąż nadskakiwał. Czyła się tém zaszczyconą, a o nic jéj tyle nie szło, jak żeby jéj za dziecko nie miano. Przebaczała więc koperczaki, które stroił pan wojewoda, dla téj miłości własnéj zadowolenia, iż doj-

rzałą panną udawać jéj było wolno. I grała tę rolę tak wybornie, że matka się nią nacieszyć nie mogła.

Przybierała naówczas powagę i minkę tak zabawną, tak jéj z nią było do twarzy, tak filuternie odpowiadać umiała, tak dobrze wiedziała czego nie potrzeba jéj było rozumieć, na co jak odpowiadać, jak gdyby się téj sztuki zwodzenia i bałamucenia od najlepszéj ochmistrzyni uczyła... Wprawdzie sama pani matka wcale niezłą była — chociaż ilekroć tę sztukę odgrywała w domu, zawsze Jadwisię starała się usunąć, by jéj zawczasu rozumu nadto nie dać. Dziewczę jednak musiało snadź pod drzwiami słuchać, przez dziurki zaglądać, albo je tak szczęśliwa obdarzyła natura, iż prawa gry téj nieśmiertelnéj odgadło.

Pan wojewoda sieradzki kochał się na zabój w Jadwisi, widziała to matka od pierwszych dni i dała owéj miłości rosnąć, wiedząc, że z niéj zbierze owoce... Stary zalotnik rzucił słówko na próbę, bo nie był pewien, czy mu matka córkę dać zechce, choć rachował na swe bogactwa a na jéj ruinę — z razu odpowiedź była niejasna... lecz nie odepchnęła go całkiem i nie zraziła od drugiéj próby. Więc wytrwał na stanowisku w Krakowie, a choć było gdzieindziéj co lepszego poczynać, pojechał przeprowadzać podczaszynę... W drodze czas się było rozmówić.

Podczaszyna już na tę rozmowę czekała i była do niéj lepiéj przygotowana, niż Kraków przeciwko Szwedom.

Jadwisi nie było w pokoju, wojewoda przystąpił ku pięknéj pani pokorny a wdzięczący się.

— Pani podczaszyno, rzekł, albo mnie zabij, albo mi daj szczęście jedyne...

Jejmość udała, że nic nie rozumie.

— Cóż to tam za szczęście? spytała uśmiechając się — czybyś asindziej nie myślał o mnie? he? Wojewoda się zmieszał... Jejmość śmiała się z zakłopotania jego...

— Toćby się namyślić trzeba — rzekła, jeśli serce się jego ku mnie skłoniło...

— Pani podczaszyno — przerwał wojewoda z konfuzyą — wiadoma to rzecz, iż sercu nikt hetmanić nie może, ani ja się pochwalę tém... Gdyby ono rozum miało, nicby lepszego uczynić nie mogło, tylko mi tę drogę wskazać do szczęścia... ale serce rozumu nie ma.

— Cóż ja na to mam radzić?

— Wzięła mi je córka wasza!..

Podczaszyna się w boki podparła i zaczęła śmiać serdecznie.

— Co? co? ten dzieciak? pan wojewodabyś myślał o niéj? Lecz zlituj się, ojcembyś jéj być mógł?

— Co z tém począć! tak jest!

— Żal mi waćpana... to strasznie jeszcze młode, żywe, niedoświadczone, i ja bym jéj za mąż tak rychło dawać nierada...

— Ależ ja czekać nie mam czasu!

To rzekłszy wojewoda wstał — czytał on w całéj grze matki bardzo jasno, że się z nim targogować będzie — rad był skrócić rozmowę i wiedzieć jak przypłaci, ale miał do czynienia z kobietą niełatwo dającą się zbić z tropu i umiejącą prowadzić sprawę ręką wprawną.

Dodajmy dla wiadomości czytelnika, że pan wojewoda był wdowcem, i że z pierwszego małżeństwa miał syna przeszło dwudziesto-letniego, z którym się równie popisywać nie lubił, jak podczaszyna ze swą córką.

— Cóż ja tedy mam na to radzić? zapytała ciągle na wpół szydersko podczaszyna. Waćpan nie możesz czekać, ja nie chcę zawczasu dziecku losu zawiązywać.

Wojewoda do ostatka przywiedziony — trochę się na to poruszył.

— Pani podczaszyno, bądźmy otwarci — odezwał się niezbyt już panując nad sobą. Rozumiem to bardzo dobrze, iż idzie z méj strony o ofiarę... Jestem wdowiec i niemłody, to prawda... panna ma imię piękne, a postać stokroć piękniejszą jeszcze, ale fortuny — pasz.... Acani dobrodziejce pozostało niewiele, a to co jest, ledwie dla niéj starczy. Córce więc nie masz co dać, oprócz bardzo

kruchéj nadziei „po najdłuższém życiu,“ bo podczaszyna za mąż wyjdziesz i rodzina urośnie...

Zarumieniła się słysząc to piękna pani, bo się nie spodziewała takiéj śmiałości po wojewodzie. Lecz, że zaczął z tego tonu, musiała mu téż odpowiadać jak zagrał.

— A no, rzekła — mówmy otwarcie — to i lepiéj. Oszczędzimy sobie czasu i ambarasu — ja to stokroć wolę i otwartość jego wielce szanuję. Jadwisia niebogata, to pewna, ale takie cacko stanie za miliony... a imię téż coś warte... Może poczekać...

— Więc nie ma sposobu kompensaty? zawołał wojewoda.

— Cóż waćpan chcesz, ażebym mu córkę sprzedawała? A zresztą przymuszać jéj nie chcę i nie mogę, wieszże acan czy ona go zechce?

— Przymuszać nie będzie potrzeby, ale na dziecinny umysł taka matka jak pani może mieć przecież influencyę...

— Na to potrzeba, ażeby matka widziała dla ciebie korzyści z małżeństwa i wzięła je do serca... mówiła podczaszyna spokojnie. Nie zaprzeczam, że piękna rzecz nazywać się wojewodziną i mieć męża nadskakującego i rozmiłowanego, lecz są i niedogodności. Masz pan wojewoda syna dwudziesto-kilkoletniego, któryby może lepiéj Jadwisi przystał niż wy sami. Starszym daleko będąc, wedle porządku naturalnego musisz wprzódy skończyć

niż ona... a co potém? Familia ją wypędzi i po wszystkiém.

Piekł się pan wojewoda jak na ruszcie słuchając i czuprynę farbowaną zacierał...

— Słusznie acani dobrodziejka to mówisz, — rzekł — i troskliwość jéj o los córki bardzo naturalną i piękną znajduję. Lecz czy acani dobrodziejka widząc mnie tak zakochanym, nie przypuszczasz téż, iż los przyszłéj żony obchodzić mnie będzie, i że go jéj zapewnić potrafię?

— A tegośmy nie policzyli — przerwała podczaszyna — że ja stracę w niéj jedyną istotę, jaką na świecie mam najdroższą, najukochańszą... zostanę sama...

— Nie na długo — uśmiechając się wtrącił pan wojewoda — za to ręczyć mogę.

— Któż to wie, ja jestem trudną w wyborze — dodała podczaszyna. — Wszystko to są konsyderacye... konsyderacye.

— Tak! tak! — zniecierpliwiony wyrwał się pan Przerębski. — Konsyderacye, racye... rozumiem doskonale... proszę więc o warunki... czego pani po mnie za ten skarb wymagasz?

Podczaszyna zmilczała długo, uśmiechała się, patrząc w oczy wojewodzie i wdzięcząc do niego.

— A toć stary bałamucie, — rzekła cicho — stokroćbyś lepiéj zrobił, żebyś się ze mną ożenił. Ludzieby nic nie mieli do powiedzenia... miałbyś żonkę młodą jeszcze... i nie przyszłoby ci to tak

trudno, a nie byłoby to tak niebezpieczném... boć kochany wojewodo, bądźmy otwarci do końca... Jadwisia dziecko... tyś podstarzały... a krew nie woda...

Wojewoda aż się z siedzenia podniósł.

— Pani podczaszyno, — rzekł — serce nie daje przewodzić nad sobą... Proszę o warunki...

— Radabym je od wojewody posłyszeć — przerwała matka — bo mi taki targ jest obrzydliwym. Mów otwarcie...

Zagadnięty westchnął i zamyślił się.

— Majętności moje — odezwał się — wiadome, spis ich każdego czasu dać mogę. Cięży na nich wiano ś. p. pierwszéj żony mojéj, ale tego nie ma nad sto tysięcy... Synowi daję za macierzystą część i z mojego dobra dwa razy tyle warta i te natychmiast mu dymittuję... Nareszcie żonie zapisuję dożywocie i przyznam sto tysięcy odebranych z oprawą, choć grosza nie wezmę. Jak się pani podczaszynie zdaje?

— Wspaniale bardzo chcesz postąpić — rzekła chłodno podczaszyna — ale zawsze na oku trzeba mieć, żeby potém familia po sądach nie ciągała... Czy się dożywotnie prawa utrzymają... Bóg raczy wiedzieć... Różnie się trafia... są prejudykaty... Dwakroć sto tysięcy téż piękna summa... bardzo piękna... ale i więcéj czasem i procesa i pieniacze zjadają... Pan wojewoda masz przecież kapitały?

— Cośby się tam i gotówką znalazło — mruknął wojewoda spuszczając głowę, — ale choć dobrze przechowałem, dziś przy Szwedach tych za nic ręczyć niepodobna...

— Na Szlązko trzebaby wywieźć i w kościelnym skarbcu gdzie złożyć — poradziła podczaszyna.

— Więc na warunki zgoda? — spytał pan Przerębski.

— Czy to wszystkie? — z naciskiem dodała podczaszyna — jak się panu zda, nie należałoby coś sobie jeszcze przypomnieć?

— Rozumiem, — zawołał wojewoda — nie mamy co obwijać... pani podczaszynie gotowizną przy zrękowinach, nie... przy ślubie — poprawił się stary pretendent — przy ślubie, *in vim* kosztów na wychowanie poniesionych — wszak tak? piećdziesiąt tysięcy?

Podczaszyna śmiać się zaczęła.

— Przy ślubie? — podchwyciła — więc wiary mi nie dajesz?

— Owszem, owszem, ale panna może się rozmyślić...

— Gdybym sie ja ją zobowiązała nakłonić, poszłoby to, ręczę, jak po maśle?..

— Cóżby panią do tego skłoniło? — spytał dobijając wojewoda.

— Pewno nie owe pięćdziesiąt tysięcy, ale przekonanie o szczęściu mojego dziecka, — poczęła podczaszyna — a tego nie nabiorę inaczéj, aż mnie

pan wojewoda skonfiskujesz... przestając się targować gdyby — z pozwoleniem — o cielaka...

Pan Przerębski wstał z siedzenia markotny.

— A na rany pańskie — zawołał — mówże jejmość dobrodziejka — czego sobie życzysz...

Podczaszyna rękę położyła na jego dłoni.

— Cierpliwości, stary gorączko jakiś — odezwała się. — Reasumujmy. Syna wyposażysz jak się należy... na reszcie majątku dożywocie, i sto tysięcy z oprawą... a dla biednéj matki *in vim* konsolacyi i zwrotu kosztów... nie żałuj stu...

Wojewoda syknął aż.

— Chcesz, bym ci dobrze posłużyła... by ci dziecko przygotować tak, aby szła wstrętu nie mając i tragedyj nie grając? toć przecież coś warto?

Podczaszyna wstała.

— Ja się o Jadwisię nie frasuję, piękna jest jak bogini, młodziusieńka, czekać może — frasunku nie ma. Na dworze królowéj duka sobie jeszcze jakiego znajdę dla niéj.

— Tak, gołego — rzekł wojewoda bez ogródki.

— Waćpan wiesz, panie wojewodo, śmiejąc się odpowiedziała podczaszyna — że ja w tym adamowym stroju ludzi nie lubię... Od czasu utraty niewinności w raju... być gołym znaczy być rozkazom bożym rebellizantem... a ja z takiemi do czynienia mieć nie chcę! Wojewoda pochmurniał, zdawał się wahać, walczyć... gdy wtém, jakby na pokusę, weszła Jadwisia. Spojrzał na nią stary, śmiała mu

się figlarnie, zmiękł i oszalał... Usiedli. Dziewczę szczebiotać zaczęło, matka nie przerywała, wiedząc, że gdyby słowa nie były wiele warte, sam ich dźwięk już zakochanego mógł spoić...

Patrzała tylko jak mu trunek ten szedł do głowy i obrachowywała niemal jego skutki... Jadwisia była tego dnia zabawniejszą, weselszą niż kiedykolwiek, wystąpiła w całym uroku i blasku. Pan Przerębski walczył z sobą i dał się okuć — z oczu mu poznała podczaszyna, że go ma.

Jadwisię odprawiła do panien Potockich z ochmistrzynią. Zostali znowu sami. Wojewoda milcząc podał jéj rękę...

— Zgoda — rzekł — na wszystko zgoda... choć kochana świekrą drzesz mnie ze skóry...

Nie wzięła tego podczaszyna za złe, śmiała się.

— Albo to mała rzecz, dziewczynę przygotować. przysposobić? namówić? Mało to ja się będę musiała nad tém namozolić! Waćpan jesteś niewdzięcznikiem...

— No, to nie mówmy już o tém... — przerwał wojewoda — ale jak pani postąpisz...

— Zostaw to mnie.

— Jak ja mam postąpić!

— Ja waćpanu powiem — poczęła podczaszyna — przygotuj się asindziéj do prezentów... dziecko lubi błyskotki... trzeba je brylantami osadzić...

— Osypię! — krzyknął wojewoda. — Jeśli do

domu się po nie dostać będzie trudno — pojadę do złotników wrocławskich, kupię co mają...

— Tak, tak — mówiła podczaszyna — niewielka rzecz byłaby zmusić — ale to ani dla mnie ani dla was niedobre... Wolę jéj zyskamy, zobaczycie... Bywajcie często a padajcie przed nią jak należy, a pomnijcie, że dzieckiem jest, bo piętnastu nie skończyła...

Nastąpiły instrukcye przez baczną matkę jak najtroskliwiéj ułożone... Wojewoda po nich chciał wychodzić, lecz że to były czasy aktów i dokumentów, w których się wszelkie umowy przed regentem spisywały, pomyślał, czyli dla pewności swéj podczaszyna nie zechce mieć co na piśmie, nim około córki prawować zacznie. Zapytał więc...

Podczaszyna rozśmiała się. — Nie potrzeba nic, gdy mi się podoba dwoma słowy zburzę com zbudowała... obawy nie mam... A co do intercyzy, która się przy zrękowinach podpisze... to ją przygotować każcie, nie przeczę...

Tak się rozstrzygnął los wojewody i pięknéj Jadwisi, która nic o tém nie wiedziała.

Co do pana Medarda Pełki poprzysięgłego rycerza podczaszanki... o którym matka coś nawet wiedzieć lub choć domyślać się mogła — nie wchodził on bynajmniéj w rachubę. W sercu Jadwisi zajmował wprawdzie zaszczytne stanowisko pierwszego jéj wielbiciela i wiekuistego sługi, lecz wedle

jéj pojęć, w niczém ją to bynajmniéj nie obowiązywało. Mogła sercem i sobą doskonale a swobodnie rozporządzać — a winną była tylko rycerzowi uśmiech — jeśliby nań męztwem zasłużył... i może, może — drugą świeższą niebieską kokardę.

Któż winien był Pełce, że on sobie może inaczéj własne i Jadwisi obowiązki wyobrażał? Dziewczę o tém uczuciu co się miłością zowie nie miało pojęcia... a zdawało się, iż je nawet nie prędko nabyć miało... Czuła, że wielbioną być powinna, a względem wielbicieli zachowywać się grzecznie— zresztą?... chyba nic więcéj. Zawczasu ją matka bóztwem uczyniła i wmówiła, że niém być tylko musi...

Jadwisi szło o wielką świetność, oklaski, kadzidła... i — dotąd więcéj nic. Chciała królować gdzieś na dworze, być sławioną z wdzięków, zyskiwać serca, obudzać jak najwięcéj uwielbień i cieszyć się tryumfy. Szło jéj o to, by miała zawsze jak najpiękniejsze suknie, jak najdroższe klejnoty, dwór, sługi... i mnóztwo pieniędzy...

Troskliwa matka wychowała ją tak, aby jéj szczęście zapewnić, żadnego w niéj nie obudziła uczucia, wyjąwszy przywiązania i wiary w siebie.

Po zawartéj umowie z wojewodą, którą trzeba sobie obliczyć na nasz dzisiejszy pieniądz i na wartość jego ówczesną, aby wielkość tych ofiar starego wdowca ocenić — matka z przebiegłością największą przystąpiła do dzieła. Zaczęła z dziewczęciem, co

nigdy się nie trafiało, mówić o panu wojewodzie, i zaszczyciła ją po raz pierwszy otwartém przyznaniem, że wojewoda w niéj zakochany...

Dziewczę aż urosło w oczach własnych... Czuła, że przestała na prawdę być dziecięciem, gdy matka nawet uznawała w niéj osobę dojrzałą... Już za to samo niezmierną wdzięczność czuła dla wojewody...

— Nie jest bardzo młody, — mówiła matka — ale wygląda jeszcze wcale przyjemnie, miły, grzeczny, i serce ma czułe...

— Jakże ja mam się znajdować względem niego? — spytała niezmiernie ożywiona Jadwisia — jak się mamie zdaje?

Można sobie wyobrazić dumę dziecięcia i radość, gdy usłyszało z ust matki:

— Nie masz potrzeby zmieniać postępowania, owszem, niech się kocha... Znajdowałaś się dobrze, podobałaś mu się jak jesteś... ufam, że będziesz miała rozum... i...

— I co? — zapytała Jadwisia.

— I że go nie zrazisz niczém...

— A potém? — pytało ciekawe dziewczę...

Matka niby nie dosłyszała, niby nie wiedziała co odpowiedzieć, i zaczęła zamyślona, jakby o czém inném:

— Wojewoda jest magnat, ma piękny tytuł, ma szerokie włości, myśmy niebogate... dobraby była partya z wojewody...

Jadwisia, która nie marzyła nawet, ażeby tak rychło o tym uroczystym akcie oswobadzającym niewiastę, jakim jest małżeństwo, mowa być mogła— uczuła się znowu podniesioną i dumną... Coraz mocniéj przekonywała się, że ten wysoki próg dzielący dzieciństwo od młodości przestąpiła... Mogła nawet już pójść za mąż!

Pójść za mąż dla niéj miało znaczenie wielkie... mogła nosić klejnoty, ubierać się w jedwabie, włosy piętrzyć i przybierać jak się jéj będzie podobało... mówić głośno, śmiać się i nie oglądać ustawicznie, czy się pani matka nie marszczy. Z mężem wiedziała doskonale, że zrobi co zechce...

Zamyśliła się Jadwisia...

Tak, wojewoda młody nie był — ale jaki poważny! jaki majestatyczny! co za kolebki miał i konie, jakich dworzan i sługi!

Tego dnia nie mówiono nic więcéj. Nazajutrz wojewoda przywiózł przepyszne zausznice szmaragdowe, i prosił o pozwolenie ofiarowania ich pannie podczaszance, na znak niezmiennego affektu i konsyderacyi.

Jadwisia zapłoniła się jak róża, zausznice świeciły takim ogniem, takim blaskiem, oprawa ich była tak misterną, przy jéj maleńkich różowych uszkach, na białéj szyjce, mogły tak cudnie wyglądać... Zadrżała, aby matka nie wzbroniła jéj ich przyjąć... Podczaszyna skłoniła głowę, Jadwisia schwyciła je w rączki drżące. Gdyby była mogła,

pobiegłaby zaraz z niemi do zwierciadła, ale nie wypadało. Odwołano matkę, która się pono odwołać kazała. Jadwisia została sam na sam z wojewodą. Ten ośmielił się zbliżyć do niéj, domagał się rączki do pocałowania. Możnaż mu było nagrody za piękne zausznice odmówić?

Pochwyciwszy rączkę, trzymał ją u ust długo, jak stary a zgłodniały... ledwie mu ją wyrwać potrafiła... Zdawało się jéj, iż będzie bardzo grzeczną... gdy mu téż potajemnie da... kokardę. Cóż w tém mogło być zdrożnego, że dwóch miała zyskać rycerzy i wiernych sług...

Szepnęła tylko...

— Proszę nic nie mówić matce...

Węzeł, który wojewoda zatknął co najspieszniéj za kontusz, nabierał tém większéj ceny... dany był *proprio motu!*

Natarczywym był pan wojewoda, naiwną cudownie Jadwisia... bawiła się z zausznicami... plotła dziwne rzeczy...

Między innemi zwierzała się wojewodzie, jakby ona sobie dwór urządziła, gdyby kiedy panią była. Kto inny nastraszyłby się może, lecz wyobraźnia Jadwisi nie sięgała po za granice tego, co dla wdowca było możliwe.

Gdy podczaszyna wróciła nareszcie, zastała ich niezmiernie sobie radych i śmiejących się a trzpiocących, jak gdyby pod słońcem płaczu i smutku nie było.

Następnych dni powtórzyły się te sceny... z małemi odmianami. Wojewoda potrafił dostać dla téj, którą już za narzeczoną uważał, cudnéj piękności pas złoty sadzony różnobarwnemi kamieniami a zakończony dyamentowemi kutasy... Tém zyskał do reszty i podbił serce Jadwisi tak, że matka niewiele już miała do czynienia.

Spytała jednego wieczoru, czyby téż poszła za wojewodę, gdyby się z nią chciał ożenić? Jadwisia po niewielkim namyśle odpowiedziała, że już przecie domyślała się sama, iż to się na tém skończy.

— Ale kochana matuniu — rzekła... mam trochę na sumieniu Pełkę, bo się on we mnie téż szalenie, obcesowo kocha... — a wprawdzie mu nic nigdy nie przyrzekłam, alem mu dała — kokardę...

Podczaszyna usłyszawszy to imię, zmarszczyła się.

— Bardzo to źle, żeś mu kokardę dała... i bez mojéj wiedzy — ale to hołysz... chłopak do niczego... do szabli, do konia... do pola, ani mu myśleć o żonie...

Niech sobie kokardę trzyma... przecież mu słowa nie dawałaś, a gdybyś go dała, bezemnie nicby ono warte nie było...

Ale — patrzcie! dodała jakby sama do siebie podczaszyna ze źle stłumionym gniewem — potrafił mnie oszukać! potrafił sam na sam ją widzieć....

Gniew matki trochę nastraszył Jadwisię, ale gdy raz zgodziła się na wojewodę, przeszedł on, a przynajmniéj już się głośno nie obawiał.

Nastąpiło tedy uroczyste oświadczenie matce dobrodziejce i pannie podczaszance... Matka i panna przyjęły. Naznaczyć miano zrękowiny, aby podczaszyna miała czas się z wyprawą przygotować, co czasu wojny poprzerywanych dróg nie było łatwo, na to jednak pan wojewoda nie zezwolił i domagał się ślubu za dyspensą.... Jadwisi tak jakoś było pilno zostać panią wojewodziną, iż się temu nie sprzeciwiała wcale. Pan Przerębski zaś miał to na względzie, że rodzina i syn dowiedzieć się mogli, że możeby mu przeszkadzali... chciał ślub wziąć, bo wówczas nikogoby się już nie lękał.

Mimo największego w świecie pośpiechu, ani wypadało, ani było można tak zaraz przystąpić do ołtarza. Chociaż duchowieństwo dla magnatów naówczas daleko było więcéj pobłażające niż dzisiaj, a formy wymagane mniéj ostro były określone, zawsze jednak potrzeba było świadectw, papierów, świadków bodaj, których na razie wojewoda mieć nie mógł. Dwór naówczas bawił w Głogowie, tam siedziała królowa, przybył Kazimierz, — gromadka wygnańców otaczająca ich cała żyła w jedném kółku bo się królestwo oboje nudzili, a astrologia, którą zajmowano się wielce, i mądréj panny Kunickiéj przepowiednie nie starczyłyby zabawić. Wojewoda codzień bywał u dworu, podczaszyna przy królowéj.

Ludzie z łatwością odgadli co się tu święciło... z pana wojewody podżartowywano sobie, o podczaszynie mówiono z przekąsem, o Jadwisi z ubolewaniem...

Dwór miał nieustanne z krajem kommunikecye potajemne... Pomiędzy nowinami ktoś pewnie pomieścić musiał ciekawą wiadomość o swataniu się Przerębskiego do podczaszanki... Ktoś ze znajomych nic pilniejszego nie miał nad doniesienie o tém synowi wojewody, młodemu panu staroście... Wprawdzie spodziewał on się prędzéj czy późniéj tego rodzaju wybryku ze strony ojca, wszakże radby był mu zapobiedz. Na pierwszą wieść o zamierzoném ożenieniu, stryjeczni i cioteczni, i co żyło, wpadło na starostę, aby jechał ojca reflektować i odwodzić.

Synowi nie bardzo to było łatwo... ani się zdawało rzeczą właściwą...

Rodzina wszakże znająca podczaszynę i lękająca się wielce z nią stosunków, wyrobiła staroście listy do króla do Głogowa, aby miał pozór jechania... Ufano, że sama jego przytomność może serce ojcowskie poruszyć. Przerębski młody, człek był spokojny, łagodny, leniwy trochę, lecz temperamentu równie ku płci pięknéj skłonnego jak ojciec.

Pojechał nocą i dniem, przerznąwszy się z pomocą przyjaciół przez straże szwedzkie — na Szlązk... Wojewodzie ani na myśl przyjść nie mogło, żeby mu się tu syn zjawił. Gdy go zobaczył — onie-

miał z podziwienia i gniewu. Domyślał się o co chodziło... w furyą prawie wpadłszy, zamiast powitania nasrożył się na starostę, że go śmiał szpiegować.

Ten pierwszy napad tak gwałtowny wytrzymał pan Tymokles (takie mu imię nadano nieszczęśliwe) z cierpliwością przykładną — dał się ojcu wyburzyć i odparł mu cicho, że go tu wcale nie szukał, że o jego bytności na Szlązku nie wiedział, i że był z papierami do króla JMci wysłany.

Wojewoda się nieco zawstydził — niemniéj los płatał mu figla bolesnego. Syn nie mógł się tu nie dowiedzieć o tém, o czém mówili wszyscy, a że się to synowi nie mogło podobać... nie ulegało wątpliwości. Trzeba było powagą rodzicielską, władzą naówczas tak szanowaną, rozbić wszystko i usta zamknąć....

Nazajutrz sam pan Przerębski syna poprowadził do podczaszynéj, nic mu nie mówiąc... Szczególna rzecz.... Ojciec i syn, gdy byli razem, wyglądali niby dwaj bracia, z których wprawdzie wojewoda był widocznie starszy, ale starosta ociężalszy od niego. Z twarzy byli sobie podobni, tylko syn mniéj o sobie pamiętał, a że niewiele się ruszał, zbyt zawczasu otyłym być poczynał, od czego wojewoda się obronił, sypiając na twardém, jedząc umiarkowanie nader i spinając się co paski strzymały...

Podczaszyna ani wiedziała o przybyciu syna, ani go znała... Ździwiła się niezmiernie widząc ich przybywających, ale domyśliła się zaraz wszystkiego, a że każdemu mężczyźnie rada się była podobać, z zalotnością i wesołą twarzą powitała Tymoklesa... który zachwycony został i córką i matką; a bodaj ostatnią więcéj jeszcze niż trochę dziecinną Jadwisią, która jako przyszła macocha wydała mu się śmieszną....

Lecz człek skromny, łagodny i bardzo powolny, siadłszy w krześle naprzeciw podczaszynéj, mnąc czapkę i mało się odzywając, odbył wizytę nie dając po sobie najmniejszego znaku, ani ukontentowania, ani niezadowolenia... Jadwisia z przestrachem jakimś mu się przypatrywała z boku. Nim wyszli ztąd, korzystając z tego, że przy obcych syn się z żadném słowem odezwaćby nie śmiał, wojewoda głośno oświadczył, iż panna podczaszanka była mu zaręczoną. Poczém Tymokles ucałował ją w rękę, pocałował podczaszyny rączkę także, i razem z ojcem milczący się oddalił.

Starosta natury był powolnéj, ale na pewnym dowcipie mu nie zbywało.

— Cóż asindziéj na to? zapytał go wychodząc pan wojewoda...

— Hm! — odparł syn — nie jest to moja rzecz ojcu dobrodziejowi ani chwalić, ani ganić jego czynności, dawno bowiem powiedziano, że jaja od kur mędrsze być nie mogą.

— A cóżbyś rzekł, gdybym ojcem jego nie był?

— Co tu mówić, kiedy panienka tak piękna — odezwał się starosta... chyba, że zbytecznie młodą jest...

— Ale one rychło starzeją — dodał ojciec.

— W téj rodzinie to nie powiem — odezwał się syn, bo matka wcale młodo wygląda i jeszcze pewnie za mąż wyjdzie...

— Co się stało, odstać się nie może — dokończył Przerębski: ja to uważam za rzecz spełnioną... Czekam tylko papierów i ślub wezmę... Waszmości oddaję! Zarubów, Wiązy i Krzankę... i dymittuję wieczyście...

Syn do kolan się skłonił.

— Krzywdy dziecięcia nie chcę, ale téż wy po mnie nie wymagajcie, bym szczęścia nie kosztował.... Powtarzam waści: co się stato odstać się nie może...

Starosta jak wszyscy ludzie jego charakteru, co się otwarcie bić wzdragają, a zwłaszcza z rodzonym ojcem, gdzie do boju wystąpić trudno — milczkiem myślał coby począć, aby jednak małżeństwu przeszkodzić. Raz już przyjmowany był, gdy z listami do króla przybył, nazajutrz poszedł znowu na dwór, czyby téż się z panem widzieć nie mógł. Jan Kazimierz nigdy przystępniejszym nie był jak tu, na zażądaną audyencyę powiedzieć kazał, aby starosta przyszedł...

Uwierzyć trudno, lecz było tak, że gdy miał wchodzić do komnaty królewskiéj, król z jednym z karłów grał zabawiając się w warcaby... Odzyskał jednak wnet całą powagę swą, gdy Przerębskiego zobaczył. Oświadczył mu łaskę swą królewską za to, iż ważył swe zdrowie przewożąc owe listy z Warszawy, a potém spytał, czyby mu co ustnie nie zwierzono.

— Nie mam nic, N. Panie, rzekł starosta wzdychając, nic nad to, że radbym się przed W. Kr. Mością na własną uskarżyć niedolę... Pan wojewoda rodzic mój...

— A co? prawda? żeni się? ha? zagadnął król wesoło, dziewczyna jak malina? Co chcesz, w starym piecu djabeł pali, ha! ha! ha!

— Czyżby już na to ratunku nie było? cicho szepnął starosta...

— Ja ci powiem, chyba ty jeden go możesz ratować: pannę wykraść i sam się z nią ożenić.

Król mówiąc to począł się śmiać, a z drugiéj izby aż karły powyskakiwały, widząc go w takim humorze, w jakim od dawna nie bywał...

Starosta smutny stał. Królewska rada wcale złą nie była, ale nader trudną do wykonania.

Król po wybuchu śmiechu, spoważniał zaraz, oczy otarł, bo go śmiech zawsze łzy kosztował i dodał wzdychając:

— Mój starosto... nie ma pono rady na młode amory, które niestalsze są i łatwiejsze do ro-

zerwania, cóż dopiero na stare, łykowate i uparte! Żal mi rodziny, bo podczaszynę znam dobrze, kobieta chciwa i obedrze was — to pewna... lecz — dodał mimowoli wpadając w żarty, które lubił stroić z kobiet mówiąc o nich — zyszczesz jegomość kolligatkę piękną, młodą, wesołą, przyjemną... i będzie się z kim w domu zabawić... Podczaszyna jeszcze dziś i przy córce niczego... lubię ją...

Nie było już co dłużéj ani u króla zabawiać, ani się łudzić tém, aby mógł pomódz skutecznie. Starosta westchnął, pokłonił się do nóg pańskich i chciał odchodzić.

— Gdybym wam *indirecte* w czém mógł pomódz... odezwał się król widząc go zasmuconym.

— Niczém innném N. Panie, chyba tém, aby na duchownych wpłynąć powagą królewską — żeby ze ślubem zwłóczyli...

— Popróbuję — ozwał się król... ale ja tu nie król, a pieniądze wiele mogą...

Na tém się posłuchanie skończyło...

Ze swéj strony wojewoda udał się do króla z prośbą, aby z listami starostę co rychléj mógł do Polski odprawić, bo mu tu syn zawadzał. A że więcéj szło panu o zyskanie sobie wojewody, który miał między szlachtą wziętość i mógł mu być pomocnym, przyrzekł, iż to uczyni. Podczaszyna téż ze swéj strony ubocznemi drogi starała się go ztąd pozbyć, bo jedno z dwojga, albo go musiała

bałamucić, co jéj się wydało trudném i niestósownèm, lub z prządnąć z drogi. Wydanie Jadwisi było jéj tryumfem, i ze wszech miar szło po myśli... syn tylko stawał na zawadzie. Chociaż jawnie ani mógł, aniby był śmiał występować, tém mocniéj się go lękano i posądzano... Wojewoda sposępniał jakoś i zdawał się skłopotany, zawstydzony, niepewien co pocznie...

Papiery od króla były gotowe już, zawezwano starostę, aby się stawił dla odebrania ich, gdy — tegoż samego dnia ten położył się do łóżka, oświadczając, że dla straszliwego w kościach łamania jechać nie może.

Król posłał mu zaraz doktora Żebrowskiego, medyka i astrologa, którego miał z sobą... Siedział z nim uczony ów krakowski z godzinę rekognoskując słabość, zapisał receptę złożoną z różnych tłuszczów, dryakwi i takich ingredyencyj, których w Głogowie nie było... a królowi doniósł, że choroba istotnie ciężką była, i że z nią się puszczać w długą, daleką, ciężką, niebezpieczną podróż, ani było podobna.

Z listami więc wyprawiono dworzanina, a starosta smarować się począł...

Nie mógł ojciec nie pilnować dziecięcia, musiał codzień godzinę jaką mu poświęcić, a dziwował się, iż mimo tak ciężkiéj słabości, starosta jadł tak, iż misami całemi mięso z przed niego zni-

kało — czego mu lekarz wcale nie bronił. Mimo to po obiedzie stękał więcéj jeszcze niż przed jedzeniem...

Nie przeszkadzał ci mu chory syn — a jednak radby go był serdecznie odprawił... Medyk jednak zapewniał, iż podróż groziła życiu niebezpieczeństwem, jeśliby suche humory, wilgotne humory, i różne chodzące po ciele przypadłości przez ruch i wstrząśnienie ku górze popędzone, rzuciły się na szlachetniejsze części. Szczególniéj miało to być niebezpieczném czasu nadchodzących konjuktur niebieskich i jakiegoś zbliżenia się Saturna do konstellacyi, która była w najściślejszym związku z owemi humorami, a nawet rządziła niemi. Medycyna ówczesna nie obchodziła się bez astrologii i dr. Żebrowski nim się zajął zdrowiem starosty, wykonał wprzód jego *nativitatem,* horoskop i typ, aby poznał przezeń naturę człowieka, z którym miał do czynienia. Starosta rodził się właśnie pod taką gwiazdą, która mu teraz wielką baczność na siebie nakazywała.

Bronił się mężnie Kraków naciskowi Szweda, a dla podwojenia odwagi i animuszu żołnierza, powiadano powszechnie, iż Kazimierz król, cesarską pomoc ze Szlązka miał z sobą przywieźć lada chwila dla odsieczy... Mówiono téż o dwudziestu, ba! i więcéj tysiącach ciągnących w pomoc Polsce Tatarów... Wlewał otuchę wreszcie sam pan Czarniecki

który i wodzem i żołnierzem był, a którego wszystko kochało, co się doń przybliżyć mogło...

Nie miał on onego majestatu wielkich panów, który poszanowanie wraża, ale razem i odstręcza; prostszym się jeszcze czynił dla ludzi niżeli był w istocie. Czy z żołnierzem, czy z mieszczaninem, czy z duchownym czy z wieśniakiem mówił, czuć w nim było człowieka, który do ludzkiego serca przemawiał prostém słowem, często rubaszném...

Rano, we dnie i w nocy, wciąż go było można spotkać: to na murach, to na ulicy, to w otwartym dla wszystkich domu... Nie otaczał się ani dworem, ani sługami, ani czémś, coby go na oko większym czynić mogło... chodził pojedynkiem, odziany jak każdy inny, często starą delią okryty, w butach czarnych, a twarzą ku sobie wabił. W ulicy go paupry otaczały rade i biegły za nim znosząc mu kule, a on je po łebkach gładził i jabłka im w rynku kupował...

Nauczyli się go już tak znać w Krakowie, że gdy się pokazał, biegło doń wszystko co czego potrzebowało, nie sromając się, nie zapominając w gębie języka, jak do swego.

A były to dni gorące, gdy z obu stron działa grać zaczęły i kule latać jak ogniste ptaki szukając żeru po dachach... Gdy palono przedmieścia u Grodzkiéj bramy, nieostrożnie zostawiono kilka domostw nie rozwaliwszy, te tedy najprzód Szwedzi napadli, odebrali, bo ich obronić było niepodobna, i po-

wciągawszy na nie działa, do miasta strzelać poczęli. Szturmowali najwięcéj od strony Kazimierza i Stradom téż zajęli a klasztor bernardyński, zkąd tuż na zamek strzelać wygodnie mogli.

Paliło się po kilka razy codzień, to tu, to owdzie, tak, że od dwojakiego nieprzyjaciela czuwać było trzeba i chronić się, bo od Szweda zarazem i od ognia... Z przedmieść wiatr rzucał na dachy iskrami i żużlami, tak, że nieustannie się coś zajmowało... i krzyk: Gore! nie ustawał.

Dopiero nasi, Pełka i Rożański, którzy przy panu Czarnieckim walczyć tak byli żądni, poznali, że w mieście inna robota niż w polu, a stokroć gorsza... i stokroć przykrzejsza...

Z każdym dniem, i o jadło, i o prośby, i o kule, i o lud łatwo się trwożący i roznoszący popłochy, troszczyć się musiano więcéj. Z nikąd nie mogło już nic przyjść, bo zewsząd odcięty był Kraków od kraju, po którym się téż Szwedzi bezkarnie zwijali.

A co się spodziewano od komputowych pomocy, żeby Szwedów z tyłu rwać mieli, — dowiedziano się ze zgrozą, iż za przyczyną niegodnego wywłoki Prackiego, komputowi przeszli do Gustawa i jemu się poddali, z czego tak rad był, iż im nawet pieniędzy nie żałował...

Aniby kto jednak poznał po Czarnieckim, że na nim te wiadomości uczyniły jakie wrażenie; przynajmniéj dla ludu i żołnierza twarz nosił po-

godną zawsze i choć westchnął sam na sam — śmiał się gdy nań patrzano.

Przy nim serce rosło.

Ale dni coraz cięższe nadchodziły... Rzucili Szwedzi ogień na piękny ów kościół i klasztor Franciszkański, który był miasta chlubą, tak, że ze szczętem pogorzał i gołe zeń mury zostały, a biskupi pałac ledwie z wielkim wysiłkiem uratować zdołano...

Wyszli zeń z krzyżem księża śpiewając, a lud patrząc na nich płakał...

Jednego dnia był pan Pełka na służbie przy Czarnieckim, czego się zawsze dopraszał, gdy ów klasztor bernardyński, z którego Szwedzi najgorzéj zamkowi dokuczali — palić kazano... Sam kasztelan ogniem kierował; z mieszczan co ich tam było, którzy się w klasztorze nieraz modlili, albo ślubowali, dla których progi te były drogie i święte, wielu patrząc płakało. Nie było wszakże ratunku, musiano własnemi kulami burzyć co grosz pobożnych wznosił...

Poszły mury w perzynę, ale i Szwedzi się z nich wynieść musieli.

Właśnie razem z Czarnieckim stał na murach Pełka, który się strzelaniem do bliższych Szwedów rad zabawiał, gdy krzyk się dał słyszeć... Obejrzał się i postrzegł, iż kasztelan za gębę się trzymał, a po chwili krwią splunął i zębami.

Alarm się wszczął po mieście okrutny... lecz wódz ani się nawet dał wieść, o swéj sile idąc do klasztoru... Pełka, który się doń jak do ojca przywiązał, rzuciwszy broń pobiegł z nim... Posłano zaraz po doktora do akademii...

Trwoga była niezmierna...

Medarda żadna siła powstrzymać już nie mogła, żeby przy nim nie był... choć mu ręką kasztelan pokazywał, aby miejsca swego nie opuszczał. Było go tam komu zastąpić. Z murów zszedłszy choć ranny, nieustannie krwią plując, tyle tylko, że do domu obwiązać się pojechał Czarniecki.

Przyszedł doktor, aby gębę zaszyć, przyłożono plaster... Mówić mu było trudno, a no, niecierpliwą ręką pisał — że chorować nie ma czasu.

W nocy Pełka przy nim pozostał, ale ta przeszła spokojnie, tylko nieustannie z miasta płynęli ludzie tłumami dowiadywać się, jak się miał ten, na którym całą pokładali nadzieję, i Pełka ciągle komenderowany wychodzić musiał, opowiadać, że nic nie ma złego i że go jutro zobaczą, jako codzień.

Nie dali mu prawie usnąć... ani téż spoczynek mieli od Szwedów, bo ci widzieli, dobrze znając Czarnieckiego, gdy go Szwed postrzelił; szturmowali więc zawzięciéj jeszcze, przewidując w mieście trwogę...

Rana choć bolesna, bo i mówić nie dawała, i jeść z nią było niewygodnie, przynajmniéj nie-

bezpieczną nie była... Nazajutrz jak świt kazał sobie pan Czarniecki konia podać.

Dopieroż widzieć było potrzeba, gdy się ukazał w rynku, jakim go powitano okrzykiem, jak do niego przypadano, a oczy się łzami wilżyły, a ochota i męztwo tak urosło téj godziny, iż gdyby nie trzymano młodzieży, padłaby hurmem na Szwedów, śmierci szukając i sławy.

Słowa nie mogąc mówić, bo jeszcze gęby mu otwierać zabroniono, pan kasztelan na mury wskazywał, a biegano na nie i strzelano, że się Szwed przez cały dzień na strzał przybliżyć nie śmiał.

A tak jakoś urosło ochoty i odwagi, iż Rożański przyszedł Pełce oznajmić na mur, bo jego tam przy działach postawił kasztelan... iż akademików, czeladzi i młodego ludu chyba już wstrzymać nie będzie podobna...

O południu, zluzowany Pełka poszedł do klasztoru dowiedzieć się o panu Czarnieckim, gdy ogromny tłum ludzi kilkuset otoczył klasztor, napełnił dziedziniec i poczęto wołać. Posłał im tedy Pełkę, aby kilku z między siebie mu delegowali dla rozmowy czego chcą.

Tak się téż stało; pięciu wybrano, którym pan Kochanowski, młodzieniec pięknych nadziei, przodował. Wpuszczono ich do małéj izby, gdzieby się téż więcéj i nie pomieściło, przed pana Czarnieckiego, któremu tylko co polewkę do gardła przez

trzcinkę dawano, bo jeszcze jeść tego dnia jak się należy nie mógł.

Skłonili mu się do kolan...

— Panie kasztelanie, — odezwał się Kochanowski butnie i raźno: zlitujże się nad nami młodymi, w których krew gra po młodemu, daj nam się pobawić! Jest nas czterechset, a może więcéj, którzy w imię Boga i dobréj sprawy chcemy popróbować harcu za murami... Daj nam broni, kul i prochu... Bóg dozwoli, że i my coś dokazać potrafimy...

Skłonili mu się wszyscy do kolan prosząc a obejmując go za nogi...

Czarnieckiemu aż łza z oczu pociekła, a mówić mu było tak trudno, iż ledwie wybełkotał:

— Zgoda... a no czekać...

— Nie każcież nam czekać długo... — mówił Kochanowski — niech téż i my pokażemy, żeśmy się na żołnierzów rodzili...

A tu czeladnik od krawca, chuderlawa figurka, wyszeplenił:

— Panie kasztelanie, ręce od rzemiosła się téż proszą... pozwól i nam...

— Pozwolę, — rzekł wódz.

Skinął tedy na Pełkę, aby mu papieru podał i napisał...

— Dodam wam żołnierzy, abyście marnie przez niedoświadczenie nie ginęli... i pójdziecie...

Zaczęli mu dziękować i wołać: „Niech żyje!“ a gdy ze schodów przeszło to na dziedziniec i w ulicę, cały ten tłum jął krzyczeć: Wiwat Czarniecki! wiwat!

Spuścił głowę, ręką dając znać, aby szli i uciszyć się swoim kazali, bo posmutniał od tych okrzyków...

Tegoż dnia pod wieczór przywołać kazał Wąsowicza, pułkownika od dragonów i ż huzarów, z pod chorągwi królewskiéj, niejakiego Bylinę, sławnego z męztwa zapamiętałego żołnierza, którym dał dowództwo nad akademikami i czeladzią, drugie tyle dawszy regularnego żołnierza. Rożański z Pełką wprosili się do nich, bo Wacek był z dawna z Byliną znajomy, i Pełkę téż z nim już pokumał...

I Wąsowicz i Bylina niewiele mieli nadziei, ażeby z taką garścią coś się dokazać mogło przeciw silniejszemu stokroć nieprzyjacielowi. Szarpnąć go jednak mieli nadzieję tém pewniéj, że się ich tam w obozie szwedzkim jak najmniéj spodziewano. I dla tego téż godzinę wybrano osobliwą, bo niemal samo południe. Medardowi serce rosło, gdy sobie wyrobiwszy pozwolenie, ujrzał się już w téj kupce, która tylko znaku czekała, by wypaść i siec.

Młodzież z uśmiechem szła na ustach, nieświadoma niebezpieczeństwa...

Wodzów lepiéj dobrać nie było można, ani żołnierzy, gdyż tylko ochotników co najdzielniejszego serca dopuszczono, choć się napierało wielu.

Szwedzi przy moście królewskim właśnie się zabawiali, niczego się nie domyślając, zwożąc sobie faszyny i ziemię, gdy najpierwéj gromadą, wypadła na nich młodzież gdyby piorun... Nie było tu na prawdę z kim się i bić, bo ciury co przy wozach były, nawet się rychło nie mogąc odstrzelić, pierzchnęły. Czeladź się do wozów wzięła gruchotać, rąbać i wywracać...

A tu w obozie popłoch się wszczął i na alarm poczęli trąbić, i Wąsowicz widząc, że więcéj nie dokażą... do odwrotu zmusił. Nie przyszło to łatwo, bo chłopcy byli zapamiętali, tylko ich zaraz obietnicą wziął, że w drugie miejsce uderzą... Jakoż nim się Szwedzi tu pozwoływali od kociełków... już wycieczka była w murach i ku bramie Ṡgo Mikołaja ją Wąsowicz prowadził. Naprzeciw niéj był namiot i kwatera Wittemberga, około których téż nie spodziewano się wcale napaści. Siedzieli pono u stołu starsi, a żołnierz wypoczywał... w biały dzień krakowskich gości cale nie oczekując... Tu miny kopali spędzeni ludzie, więc najprzód dano do nich ognia...

Młodzieży już wstrzymać nie było ani podobna. Bylina téż i Cekwart kapitan od piechoty, człek drogi, bo był inżynierem dobrym, od tego zapału nabrali takiego ognia, jakby ich spoił, i wyrwali się ze studentami razem na stojące blizko działa na szańcach, około których kilku ledwie ludzi było. Ci jednak zaraz bronić się zaczęli i ognia dawać...

ale popadali wszyscy... zagwożdżono działa, a że im tego było mało, pozrzucano je precz z szańców, bo zabrać nie było sposobu...

Gdy się i to powiodło... wstrzymać już daléj nie mógł, ani pan Wąsowicz, ani Bylina... Cekwart około dział postrzelony zaraz padł... reszta się daléj parła... z takiemi okrzykami i strzelaniem, i hałasem, iż cały niemal obóz zaalarmowali... Powiadano późniéj, że widząc popłoch i zbiegających z placu oficerów swych, sam król Gustaw, który stał kwaterą na Kazimierzu, w klasztorze Przenajświętszego Sakramentu, od obiadu się porwał, konia sobie kazawszy podać, aby przeciw studentom wyruszyć.

Lecz niedługo było można korzystać z pochwyconego tak nieprzyjaciela, bo i trąby i bębny na wsze strony zaczynały grać i wojsko się szykować, i ognia dawać poczęto, choć niewiele rażąc — tak, że Bylina wyskoczył naprzód, aby zawrócić rozpędzoną młodzież. Dopiero gdy go zobaczyli padającego, bo Szwed w samo serce go ugodził, i gdy Wąsowicz grzmiącym głosem zakomenderował, a Pełka i Rożański téż z żołnierzem jęli zgartywać rozbieżanych, zdołano ich, choć nie wszystkich zawrócić... Padło kilkunastu... Szwedów przeszło stu po szańcach i rowach, i przy działach postrzelano i wysieczono...

Pełce się tak powiodło, iż jakby na śmiech szwedzkiego kapelusza z piórem po zabitym dostał i na szabli go utkwiwszy, do Krakowa przywiózł,

myśląc to pierze farbowane pannie podczaszance kiedyś ofiarować... Ani mu się śniło na ten czas, iż tam w Głogowie bałamucono, ani mógł nawet przypuścić, ażeby mu została niewierną, a choć o złéj woli matki był przekonany, dobrém sercem panny się pocieszał...

Po téj wycieczce, która dużo hałasu uczyniła, a Szwedów ostrożniejszymi na przyszłość, radość młodzieży była wielka. Chlubili się tak ranami niektórzy, iż ich prawie goić nie chcieli.

Z każdym dniem jednak szło gorzéj — choć się czasem małym sukcesem pocieszano. Dla doświadczeńszych oczów, jeśliby odsiecz nie nadeszła, obronić miasta nie było żadnéj nadziei. Nie łudził się téż pan Czarniecki... ale nikomu serca nie odejmował. Czynili wszyscy co mogli...

Zaraz niemal po téj studenckiéj wyprawie, która Bylinę o życie przyprawiła, Szwedzi jakby mszcząc się zuchwalstwa tego, szturmować poczęli z wielką siłą i uprzykrzeniem mieszkańców — pokoju chwili w mieście nie było... Sypali szańce, choć do nich strzelano... a co dzień się pod mury bliżéj dobierali. Od bramy Śgo Mikołaja, którędy młodzież wypadła na Wittemberga, od nowéj bramy i aż ku Święto-Floryańskiéj, daléj przez cały Kleparz, aż na Piaski do Karmelitów wysypali wały swoje, wszędzie stawiając działa, które z Warszawy pozabierali.

A jak wprzódy na zniszczenie bernadyńskiego kościoła patrzano ze łzami, tak teraz znowu na zrabowany, spalony i zniszczony karmelitański klasztór, bo nieprzyjaciel nic nie poszanował. Wzięli się tedy do bramy Świeckiej szturmować, którym nieustanny opór dawać musiano...

Trzeba było burzyć kościół Śgo Kazimierza, aby im za przytułek nie służył, ale w ruinach jego się kryli...

Z wielkiém sobie męztwem, poczynano co przypisać należało Czarnieckiemu, który pierwszy przykład dawał, bo go wszędzie było pełno, a nigdzie darmo nie przyszedł.

Szwedom się tak naprzykrzyło już stać pod temi szczupłemi murami, za któremi żywy mur piersi ludzkich obraniał stolicę, iż czasu jednéj wycieczki w rozmowę się aż wdali i perswazye, żeby darmo krwi nie przelewano, bo obronić się nie mogą. Królowi téż Gustawowi było markotno, iż stać tak długo musiał, a o poddaniu się słuchać nie chciano... Głodem straszyli, pożarem, rabunkiem... nie pomagało to. Nie jeden raz, gdy cokolwiek ucichło strzelanie, a nieopodal Szwedzi stali, poczynano się, jak u murów Troi, łając i rozprawiać, a gdy łamanemi języki nadrwiono z siebie i nagrożono, brali się znowu do samopałów... i strzelali.

W pierwszym tym ogniu Pełka więcéj się pewnie nauczył i zahartował niż w najdłuższéj wyprawie w polu... I głodu bowiem i chłodu, i nie-

wczasu, i niebezpieczeństwa trzeba było zażyć, a spoczynku tak dobrze jak nie mieli.

Jedyną tylko pociechą było, że tu już nieosamotniony żołnierz w obozie, ale cała ludność, jakby jedną rodziną broniła tych murów... że żołnierzowi dodawały otuchy i kobiety mężne, i dzieci zuchwałe, i wszystek tłum, który do ostatka czém mógł służył... i pomagał.

Któż te sceny opisze, jakich się tam ludzie napatrzyli, i o których całe owo pokolenie opowiadało długo... Było co zapamiętać i czém się pochlubić.

I chłodny i słotny coraz bardziéj czas dużo Szwedom w obozie i na rumowiskach szkodził, mniéj Krakowianom, którzy się przecie mieli gdzie przytulić. A tu już i śnieg przypruszał, i przymrozki brały...

W pierwszych dniach października, trębacza król Gustaw wysłał, wzywając koniecznie do poddania, a grożąc szturmem. Czarniecki mu odpisać kazał, jakby na żarty: — Na wojnie zrosłem, wśród huku dział posiwiałem, już mnie kule nie straszą, ani wadzą; dzieci nawet do nich nawykają w mieście, a bawiąc się mi je znoszą, bym wam je napowrót odsyłał. Po cóż mamy miłéj sobie skąpić zabawki...

Lecz tegoż samego dnia, przysłał pan kasztelan po Pełkę, którego obrotność, zwinność, niezmordowaną czynność i hart, a przytomność umysłu

cenić się nauczył... Ani się mógł spodziewać młody żołnierz co go tu czekało.

— Pełko, rzekł stary wódz rozkazawszy drzwi strzedz, aby nikogo doń nie wpuszczano, nauczyłem się waszmości znać czasu niebezpieczeństwa i trudu, i muszę oddać ci sprawiedliwość: żeś i żołnierz dobry, i człowiek poczciwy, i dusza gorąca. Takich nam dziś potrzeba... Mam w waszmości ufność — mam do was słabość...

Pełka go jak ojca w ramię pocałował.

— Panie kasztalenie, rzekł, nie zawiedziecie się na mnie, młody jestem, mogę pobłądzić, lecz nie z woli chyba... Złego nie uczynię, gdybym miał życiem przypłacić.

— Przed wami taić nie mam potrzeby — dodał wódz — bronić się musimy do ostatka, obronić nie potrafiamy. Miasto zniszczone i z osób swych najdroższych odarte, kościoły i klasztory i domy w ruinach a popiołach...

Niczémby były ofiary te, gdyby się na co przydały. Z każdym dniem żywnosci mniéj a zwątpienia więcéj... ludzi i serca tracimy... Jeżeli przyobiecana nam odsiecz i posiłki nie nadejdą... wytargujemy może warunki znośniejsze, a poddać się potrzeba.

Pełka przerwał mimowolnie... Lepiéj ginąć!

— Tak, lepiejby zginąć — stokroć lepiéj — mówił kasztelan, nam samym — lecz zgubić stolicę i lud dla téj sławy, że się zagrzebie w popio-

łach... nie mam serca i sumienia. Bić się będę dopóki nie stracę nadziei, gdy ją postradam — poddać się muszę... Król na Szląsku, zkąd nam cesarską pomoc obiecują. Ja w nią nie wierzę, przecież są ludzie co mówią inaczéj. Radbym wiedzieć stanowczo co się święci i jak. Rozumiesz mnie waćpan!

Tu wstał kasztelan, ręce obie położył Pełce na ramionach, i rzekł zwolna:

— Potrzebuję kogo, coby się ważył przez obóz szwedzki przerznąć i dobić, głowę ważąc na Szląsk, któryby ze słowem odemnie do króla pojechał i z odpowiedzią od niego do mnie powrócił. Lada komu tego powierzyć nie mogę...

Pełka się zamyślił nie śmiejąc odpowiadać.

— Co się wam zda, możecie wy się tego podjąć? policzcie się z siłami i ochotą? spytał wódz.

— Na ochocie oddania tak ważnéj przysługi pewno mi nie zbywa — odezwał się Pełka — lecz czy jéj dorówna siła? tego zaprawdę nie wiem...

— Ja ufam... rzekł Czarniecki — przez obóz się przedrzeć nie tak wielka trudność, a po za nim, trzeba tylko adherenta Gustawowego przybrać postawę. Niesmaczna to rzecz, jak wszelkie kłamstwo, ale niemniéj zasługi wielkiéj...

Nie od razu Pełka się oświadczył z gotowością. Nie zbywało mu na obrotności i zręczności, przecież w naturze swéj coś miał co mu udawanie wszelkie przykrém czyniło... Wahał się więc je-

szcze, gdy kasztelan dodał: Dla miłości tego miasta, i dla mojéj uczyńcie to... Pisania żadnego wam nie dam, dosyć słowa, zaniesiecie królowi najlepszą wiadomość o stanie naszym, bo go najlepiéj znacie, codziennie ze mną po murach się zwijając... Jeśli odsieczy nam wprędce nie dadzą, tośmy skazani na upokorzenie... Niech więc powiedzą co mamy czynić — ginąć, czy dla lepszych czasów ludzi i miasto ocalić...

Nie był jeszcze pewny siebie Pełka i do wieczoru się wyprosił dla rozmysłu; aby się w tém lepiéj rozpatrzeć, jak miał począć sobie i co czynić.

Zszedł w miasto... widok jego za serce go chwycił — głodnych było mnóstwo... Też same paupry i studenci co się bili tak ochoczo, chodzili z garnuszkami od drzwi do drzwi, a mało gdzie było się już czém podzielić.

Zjadano takie rzeczy, którychby dawniéj nikt się pożywać nie domyślił. Zabijano kawki i wrony, i żołnierze z nich sobie gotowali rosoły... Wróble dawano na pieczyste za przysmaki... Nikt się nie skarżył... ale po twarzach znać było znękanie...

Po kościołach pełno ludu klęczało i łkało, a w kruchtach głodni spali ze znużenia...

Pełka poszedł po murach rozpatrzeć się na okół, którędyby mu wynijść można bez niebezpieczeństwa. Z pozabijanych rajtarów i piechoty szwedzkiéj czasu wycieczek dosyć nabrano odzieży, by się w nią

przebrać było łatwo. W wojsku Gustawowém służyło téż dosyć Niemców i z tym językiem, który Pełka dosyć nieźle umiał, z biedy można było obóz przejść. Nie zbywało téż i na zdrajcach... co się do Gustawa przyłączyli. Rozmaite myśli snuły mu się po głowie, i różne plany, i wolałby był innego się podjąć rzemiosła, acz na wojnie ten najlepiéj służy, kto najlepiéj słucha...

Rożańskiemu, choć z sobą żyli jak bracia, nic powiedzieć nie chciał z razu. Wiedział, że go ten nie zdradzi i rychléj pomoże niż zawadzi, przecież nie swojéj tajemnicy powierzyć mu się wahał.

Lecz gdy wszedł do izby, w któréj razem stali nieopodal Floryańskiéj bramy, po twarzy Wacek poznał, iż coś się święci niedobrego z Medardem, i począł mocno nastawać, aby mu się spowiadał.

— Co ty mnie ciśniesz? zawołał Pełka, gdybym ci ja mógł, jednéj chwilibyś wiedział co mi cięży — a no, nie moja to sprawa. Cudzych rzeczy darowywać się nie godzi.

— Jeżeli tak śpiewasz — rzekł Wacek, to ja tobie powiem co masz na sercu — bo tak dobrze o tém wiem jak i ty. Pan Czarniecki mnie tożsamo chciał powierzyć, a ja waści nastręczyłem, nie żebym się wykupować chciał, lecz żem dalibóg niezdolny do tego.

— To powiedzże mi szczerze — czy ja to potrafię? zapytał Medard...

— Albo ty lub nikt — odparł Rożański. Mnieby od pierwszego gęby otwarcia poznali...

Poczęły się tedy narady...

Rożański znał Żydka, który razy kilka przez obóz szwedzki z listami chodził i powracał... Poszli razem do niego...

Był to przekupień rodem z Lubelskiego, zdawna handlujący po kraju igiełkami, różném rupieciem niewieściem, człek przebiegły, śmiały, i na swój stan wcale niepospolity. Mógł udać kogo chciał, umiał być starym, młodym, głupim i mądrym, jak mu wypadało, służył po trosze wszystkim, może nawet i Szwedom dla miłego grosza, ale przez to swoich nie zdradzał. Owszem, parę razy skutecznie im dopomógł... Zwano go prostém imieniem Lejbusia, a znali go w mieście jak szarą gęś, bo nie było człeka coby wyszukał w potrzebie jak on, nawet takich rzeczy, których w niém nie było. Gdyby mu kto dobrze zapłacił, zdaje się, że armatyby szwedzkie pod pachą przynosił na rynek.

Lejbuś, co najdziwniejsza, wcale nie był tchórzem, życia nieraz nadstawiał, a że zawsze cało umiał wyjść, nabrał tém więcéj odwagi. Wyszukać go było trudno, bo rzadko kiedy w domu siedział, a domem jego była izba pod strychem, w któréj miał skład rzeczy najosobliwszych i trochę siana ze starą kapotą na posłanie.

Nim doszli do domu, Lejbuś się nawinął na drodze, przebrany był po mieszczańsku, i poznać

go nawet trudno było, ale Rożański zdawna się z nim znając, domyślił się i za połę pochwycił.

— Lejbuś, kochanie, mam do waści sprawę.

— A! to wy, panie miłościwy — wesoło odparł czarnooki, mierząc zaraz towarzysza jego wzrokiem ciekawym. No? a co? może włoskich konfektów dla panien chcecie dostać...

I śmiał się — znać, że Rożański niedawno czegoś podobnego od niego żądał...

— Chodź gdzie za węgieł, aby spokojnie pogadać można — albo nie — to do nas...

— Wielki sekret? spytał Lejbuś.

— Bardzo wielki.

— I wielki zarobek? dodał Żydek.

— Może być i to...

Popatrzał myśląc Żyd, potoczył wzrokiem dokoła, nigdzie blizko nie było miejsca na rozmowę, a tu czasu nie mieli do stracenia...

Nareszcie wskazał kamienicę jedną nic nie mówiąc i wprowadził ich do niej.

Na tyłach była pusta izba jakimś cudem do najęcia, zaprowadził ich niby ją opatrywać. Byli sami.

— Rzecz ci krótko opowiem — rzekł Rożański, mój dobry przyjaciel... Oto ten, kocha się w pannie... pilno mu ją widzieć, gotów i szyją nałożyć... Musi się przedrzeć przez obóz, aby się z nią zobaczyć i powrócić. Pomożesz?

Lejbuś głową zaczął kiwać.

— Co to do mnie należy, rzekł — ale gdyby Jerozolimę naszą oblegali... a żebym ja się kochał nie wiem jak — nie porzuciłbym Jerozolimy dla kochanki...

Pełka się zarumienił, Rożański zagrysł usta.

— Nie pleć, rzekł do Żyda — on sam jeden Krakowa nie obroni...

— Tak a gdyby jutro tak powiedziało stu, a pojutrze tysiąc... i poszli do kochanek...

— Słuchaj — przerwał Pełka — co robię to rzecz mego sumienia — pomożesz czy nie?

— Wszakżeś razy kilka był w obozie i za obozém, i wracałeś? dodał Rożański.

— Ja się tego nie wypieram, rzekł Lejbuś — ale co innego samemu iść, a co innego kogo prowadzić...

— Pomożesz czy nie? daj choć radę? mów, zapłacę... zawołał Pełka.

— Proszę pana — odezwał Lejbuś śmiejąc, to się rozumie, że się płaci, a nie wszystko można zrobić za zapłatę...

— Niech cię kaci rwą? wykrzyknął zniecierpliwiony Rożański — chcesz czy nie?

Uśmiechnął się Lejbuś.

— Wielkie z panów rycerstwa gorączki rzekł — a na biednego Żydka zawsze tylko z pięścię i z krzykiem. Jak ja pana poprowadzę, i jak nas dwóch złapią, obu mogą powiesić, jak ja pójdę i mnie

schwycą, to się wykręcę. Prowadzić, to jest gorsza rzecz niż iść.

— Radźże...

Przez czas rozmowy Lejbuś się wpatrywał w Pełkę.

— Jabym chciał honor pański wiedzieć — rzekł w końcu.

— Jestem Pełka z Gołczwi...

— Ja to sobie zaraz myślałem, mnie pana pokazywali zdaleka na murach przy panu kasztelanie... Mój dziadek miał arędę w Gołczwi...

Skłonił się. Służę wielmożnemu panu, ale po co panu ten interes...

— Cóż chcesz? kocha się! wrzucił umyślnie Rożański.

— A po co to takie kochanie! dodał Żyd...

— Musi... zawołał Wacek...

— Ja z jegomością pójdę sam... No! a złapią... zawsze raz umierać trzeba...

— Cóż za tę sztukę? spytał Rożański.

— A! a! jak powrócimy to się potargujemy, wesoło dodał Lejbuś.

Poczęły się narady, Żyd obiecał przyjść wieczorem... pożegnali się więc, a Pełka ruszył wprost do pana Czarnieckiego... Nie znalazł go w klasztorze, nie było na ratuszu... Wskazali mu go na murach przeciwko klasztoru bernadyńskiego... Chodził i sumował... Mrok padał gęsty. Na strzał ognie szwedzkie pogaszone były, dalej świeciło koło

szałasów i na ogniach jak cienie szatanów uwijały się postacie żołnierzy. Kasztelan z rękami założonemi, ponury, przyglądał się smutnemu widowisku. Zdaleka po za nim stało kilku pułkowników, stał Wolff i Goiński...

Pełka przybliżył się do niego.

— Co mi niesiecie? spytał kasztelan po cichu.

— Posłuszeństwo — odezwał się Medard.

— Bóg zapłać! Bóg zapłać... westchnął stary... Nieraz na moje szlacheckie ramiona walono ciężary, których pańskie znieść nie mogły, nigdy większego na nie nie włożono brzemienia, jak dziś! W polu... na koniu... A! toż to rozkosz, dziecko moje... w obozie to raj... tu to piekło... I widzieli ci co mi oddali Kraków, że zbędą się na mnie odpowiedzialności przed krajem, królem i historyą... że włożą na mnie ohydę... Czarniecki zdradził, Czarniecki zdał... Krwi mi nie policzą... ale sromotę czy zasłużę czy nie... to pewnie... Bóg osądzi — tymczasem ratować trzeba ludzi... Idź waćpan... Kiedy myślisz się wybierać?

— Gdy tylko potrafię i będzie można, rzekł Pełka.

— Zrozumiałeś mnie — dodał kasztelan — *credentiales* nie potrzebujesz... papierów zwierzyć ci — nie godzi się dla niebezpieczeństwa... Słuchaj... Lat temu, gdym królowéj jejmości dobrą przywiózł od kozaczyzny nowinę, a trafiłem téż na dobry humor, obdarzyła mnie sygnetem na pamiątkę...

Pierścień znaczny, bo na kamieniu znamię Opatrzności, a do koła napis: *Si Deus pro nobis, quis contra nos?*.. Na znak weź pierścień... a powiedz królowi, powiedz królowéj bo ona pono głowy ma więcéj... że Kraków się podda, jeśli odsiecz nie przyjdzie. Komputowi zdradzili, żywności brak... ludzie znużeni... prochu daléj omal będzie... Chcą, bym się w ruinach pogrzebł — uczynię to — lecz i stolicy odwiecznéj, i ludu żal... Niech ratują lub powiedzą, że nie mogą — uczynię co sumienie natchnie.

To wasze poselstwo — kończył Czarniecki — to wasze pieniądze podróżne. I wyciągnął woreczek przygotowany z zanadrza. Na miłość bożą! idź, jedź, a powracaj co żywiéj, a nie przepadnij i wziąć się nie dawaj, i niech cię błogosławi Opatrzność w téj imprezie...

Pełka go w ramię pocałował...

— Nie baw się a ocal nas z gorącéj téj łaźni — rzekł Czarniecki — nie mnie, bom ja życie moje dawno dał... ale niewiasty i dzieci niewinne, i świątynie pańskie, i starców, i groby, i wszystko co ludzie tu czczili i kochali...

Pociemku Pełka nie dostrzegł łzy... która mu się z oczu potoczyła, zbiegł po murowanych schodkach i przesunął się strzałą do swego mieszkania.

Rożański i Lejbuś już nań czekali.

Żydek był odziany jakby do drogi: w sukni z połami podpiętemi, w butach długich, niby z nie-

miecka, niby ze swedzka, w kapeluszu czarnym, ani w nim dziecięcia izraela poznać było można, tak męzko i zuchowato wyglądał... Pełka miał gotowy ubiór szwedzkiego żołnierza... Lejbuś go opatrzył i dał nań swe przyzwolenie, czyniąc tę uwagę, że zaraz za obozem, jeśli się bezpiecznie uda przebić przezeń, przebierać się znowu będzie potrzeba, więc w pogotowiu drugą odzież mieć należy, tak ukrytą, aby węzełków widać nie było, które zdradzić mogły...

Noc ciemna była i wietrzna... chwilami smagał wicher z deszczem ostry... lecz najlepsza to zdała się pora do wycieczki, gdyż żołnierz nie tak był czujny... i straże szukały za węgłami schronienia nie lękając się wycieczki po nocy...

Lejbuś radził wynijść furtą małą z pod Mikołajskiej bramy, albo nawet mniéj znanym jakim otworem, naprzeciw któregoby nie czuwali Szwedzi...

Z uczuciem trwogi i jakby zgryzoty sumienia jakiéjś, Pełka przywdział suknie zdarte z żołdaka szwedzkiego... sam sobie dziwnie się w nich wydawał... szablę nawet trzeba było zmienić... Płaszczem otulony zdala niby wyglądał na Szweda... Lejbuś mu poradził, aby sobie gębę chustką skrwawioną podwiązał, jako ranny, coby go na wypadek spotkania od rozmowy uwolniło...

O krwawą płachtę nie było trudno, bo obaj, Rożański i Pełka niejeden raz już ranni byli, usłuchano więc rady Lejbusia.

Rzucił się Pełka na szyję Rożańskiemu... i obaj słowa nie mogli rzec do siebie... a Wacek go do furty koniecznie chciał prowadzić. Szli więc razem... U Mikołajskiéj bramy nieopodal na Szwedzkiéj stronie, stała kupa żołnierzy, nie nadawało się iść tędy, musieli innego wyjścia szukać... Pełka miał kartkę pod pieczęcią, która mu wszędzie gdzieby chciał drzwi otworzyć miała... Kilka razy na mury się trzeba było drapać rozpatrując, w któréj stronie najciemniéj i najciszéj... Zdawało się, że od Floryańskiéj bramy najspokojniéj siedzieli Szwedzi... Tu więc furtę sobie kazali otworzyć; Rożański ścisnął raz jeszcze Pełkę, który się doń z ostatnią myślą odwrócił jeszcze.

— Wacku! kochanie moje, rzekł wzruszony — czy powrócę, nie wiem — gdybym zginął... znajdziesz łatwo podczaszankę Pociejównę, najpiękniéjszą pod słońcem, którą sercem całém ukochałem... gdy się dowiesz, żem padł, powiedz jéj, że zginąłem z jéj kokardą na piersiach, wierny mojéj przysiędze... kochając ją do ostatniego tchnienia.

Ścisnęli się raz jeszcze. Lejbuś za rękaw ciągnął... skoczyli razem w mokry dół i ciemności.

* * *

Cisza panowała dokoła... i ciemność wśród któréj nic rozpoznać nie było można. Musieli się trzymać za suknie, aby się nie zgubić, bo się potém nawoływać nie mogli... W fossie pod murem naciekło wody niemal do kolan, a na ślizkim brzegu ciężko było ustać... Chwilę tak musieli stać gdy się furta zatrzasła i czekać dopókiby się oczy nie oswoiły z ciemnościami, a nogi nie znalazły stałéj podpory. Osuwała się ziemia pod niemi... Stojąc w dole nie widzieli nic co się po drugiéj stronie działo... Najprzód musieli przez wodę w fossie przebrnąć tak, ażeby nawet pluskiem jéj straży mogącéj być blizko nie rozbudzić. Lejbuś do tego nie równie był zręczniejszym... Obejrzawszy się w prawo i lewo, i niezobaczywszy nic, potém w górę podniósłszy oczy na trochę jaśniejsze niebo pociągnął towarzysza w prawo trochę, zawsze krajem fossy, gdzie się noga z trudnością utrzymać mogła — upatrując gdzieby i wody w dole było mniéj, i przeciwny brzeg do drapania się zdał dogodniejszy.

Pełce w którym żywsza krew grała, to powolne iście wiekiem się wydawało... Za każdym niemal krokiem, aby nie spać, trzeba się było oślizłych brzegów chwytać, a nogami schody sobie wydeptywać...

Tak kilkanaście kroków uszedłszy — Lejbuś się spuścił w dół... Instynktem jakimś trafili na miejsce gdzie w kałuży leżał zrzucony z murów, czy

spadły trup nagi. Bielał on nieco w ciemności, a po kształtach jego poznać było można, że już nie cały był. Lejbuś użył go za kładkę do przejścia przez fossę i na pierś stąpił... Pełka miał wstręt do takiego nieposzanowania zwłok ludzkich, lecz ciągniąny za suknię ratując się od upadku, musiał również nogę zeprzeć na trupie... Pomógł im ten poległy, rzucony bez pogrzebu... do wydostania się ku drugiemu brzegowi fossy, spadzistszemu i mniéj jeszcze dostępnemu... Musieli się zatrzymać tu znowu, by odetchnąć. Lejbuś posunął się ostrożnie daléj... zwolna coraz usiłując wdrapać się wyżéj... a wyżéj...

Gdy głowa jego ścignęła po za brzeg rowu i spojrzeć mógł przed siebie... zobaczył niedaleko dogasający mały ogień, i bojąc się, by ich światło nie zdradziło, spuścił się znowu w dół... Szli ścianą jeszcze kilkadziesiąt kroków podtrzymując wzajem, Pełka niżéj, Lejbuś trochę podniosłszy... dopóki im ognia kawał muru nie zakrył. Żyd co chwila głowę podnosząc próbował, w ostatku wyciągnął Pełkę z tego wilgotnego dołu.

Przed niemi stało spalone przedmieście i na tle nieba ciemnego majaczyły mury połamane domostw i kościołów. Tu znajomość dawna miejsca pomogła Lejbusiowi do pokierowania się dalszego. Ognia nigdzie widać nie było... ludzi nigdzie słychać, obóz zdawał się zasypiać. Z pewnością jednak i tu stały gdzieś ukryte straże. Pełka, który

w różnych porach dnia i nocy przypatrywał się szwedzkim obozowiskom, mógł mniéj więcéj obrachować pierwszych straży stanowisko... Gdyby się udało prześliznąć niepostrzeżonym między niemi, były jeszcze drugie, a potém około namiotów posterunki i co się tam w nocy ruszać i chodzić mogło... w końcu zewnętrzne po za obozem placówki...

Nim się w tę niebezpieczną drogę puścili, Żyd się dobrze rozpatrzył i obrachował kędy byli, popatrzał na mury ku górze, potém na zgliszcza i sterczące mury... i ruszył się wolno, cicho, ostrożnie noga za nogą... Zdala słyszeli w chwilach gdy się wiatr uciszał, głuchy szmer w obozie, lecz ten zdawał się przychodzić bardzo z daleka... Przejście przedmieść było jeszcze tém utrudnione, że nieopodal szańce szwedzkie musieli przełazić, a około nich i dział na nich stojących, czuwano pilnie od czasu dwóch ostatnich wycieczek. Do sypania szańców brano ziemię zewsząd, były więc pokopane doły, jamy, w gruzach domów zapadłe lochy... a w ogrodach rowy, kterych noc dostrzedz nie dozwalała...

Lejbuś za lepszych czasów oswojony snadź ze wszystkiemi kąty, szedł bardzo wolno, probując na każdym kroku gruntu... Tak się dostali przecie nie potknąwszy do szwedzkiego szańca... Działa ustawione były w pewnych od siebie odległościach, gdy więc pierwsze znich dojrzeli, bo teraz oczy coraz lepiéj się widzieć nauczyły po nocy — Pełka

ściągnął Żyda daléj i wpełznąwszy na szaniec... przesunęli się przezeń niepostrzeżenie na drugą stronę...

Tu pierwszy błąd popełnili, bo się Lejbuś po piasku spuścił na dół i nie spodziewał, że go znajdzie tak głębokim... Wpadli oba w wyrytą w nim jamę... wprawdzie suchą, ale ze ścianami tak stromemi, iż ani myśleć nie było można o wydrapaniu się napowrót... Upadek ich prócz tego dał się słyszeć najbliższéj straży, i po całéj linii zaczęły się posterunki obwoływać niespokojnie. Nad głowami swemi wkrótce usłyszeli głosy niespokojne, klątwy, sprzeczkę, a że się obawiali, aby światła nie przyniesiono, przyczaić się musieli pod wydrapaną ścianą i tak długą chwilę wytrzymać... czując jak się im piasek osypywał na głowę, nie bez obawy, że gdyby runął cały, mógłby ich przygnieść tam na wieki.

Rozeszły się w końcu placówki i cisza była znowu... Lejbuś począł obchodzić jamę macając ją, gdzieby mniéj była stromą... musiało bowiem z niéj wyjście i droga jakaś znaleźć się, którędy ziemię wywożono. W istocie, z przeciwnéj strony tarcicami wyłożoną namacał ścieżynę... Pełka szedł za nim... Byliby się tędy łatwo uratować mogli, gdyby nie daléj jak o staje widny na słabo tlejącém ognisku — żołnierz...

Spał on wprawdzie oparty na pniu złamanego drzewa, lecz wierzyć w ten sen nie było bezpie-

cznie... Musieli więc w przeciwnéj stronie szukać innego wyjścia. Tu nagromadzone ogromne kupy faszyn i kosze, dopomogły do wydostania się z jamy... Chrzęszczały one pod nogami, lecz wiatr wył daleko głośniéj.

Trudno było obrachować, ile ten wypadek czasu straconego kosztował, a choć noc zimowa długa — mimowolnie na myśl przychodziło, że jéj może nie starczyć na przebycie obozu, jeśliby tak cały nieszczęśliwie trzeba przerzynać...

Mieli już po za sobą straże i szańce... Teraz jednak zostawał obóz sam do przebycia: szałasy żołnierzy, namioty starszyzny, dwory połatane z ruin, w których się już z dala świeciło...

Żołnierz szwedzki w tym zwycięzkim prawda, ale utrapionym pochodzie, wśród nieprzyjacielskiego kraju, znękany i znużony, rozrywać się musiał. Pocieszały go mnogie łupy i zdobycze łatwe, których nie szczędzono gdzie się kolwiek chwycić je nadarzyło. Nigdy może rabunek wyrachowańszy nie zubożył Rzeczypospolitéj. W Warszawie wyrywano posadzki marmurowe, zabierano z kościołów najpiękniejsze grobowce, z pałaców kolumny, a z dworów cokolwiek miało w oczach żołnierza jakąś wartość. Sreber pełne były namioty Wittemberga, wozy ładowano kosztownym sprzętem, obicia nawet zdzierając ze ścian i z obrazów sukienki...

Było więc z czego i z czém poweselić się w obozie, żołnierze grali i pili, rozegrywając te szaty

zdarte, jak niegdyś pod krzyżem na Golgocie. Całe noce trwały hulanki i biesiady, których żołnierzowi zabronić było trudno.

Podchodząc bliżéj ku obozom, coraz ostrożniejszemi musieli być przekradający się. W miarę zbliżania się dochodziły ich krzyki i śpiewy, i szumy a gwary... mogące najśmielszego napełnić trwogą... Tu już paliły się ognie porozkładane gęsto, i w koło nich widać było snujących się ludzi. Godzina była jeszcze niezbyt spóźniona... Przez namioty błyskało światło we wnętrzach... Obaj nasi podróżni stali długo, niżeli się w ten najniebezpieczniejszy przesmyk puścili.

Tu każdy krok musiał być obrachowany... W prawo i w lewo jak zajrzeć ognie i namioty i kupy żołnierzy nieprzerwanym ciągiem zalegały drogę... Wyrazy pieśni dochodziły do uszu.. brzęk naczyń, szczęk oręża... rżenie ciche powiązanych koni u żłobów... Lejbuś miał instynkt ściganego zwierzęcia... prowadził nim tak, iż ani się opatrzyli prawie, gdy się znaleźli już wśród namiotów. Szczęściem światła i ogniów, wiatr nie dozwalał rozkładać szeroko, musiały one być od niego posłaniane, i opodal nie rzucały blasków... Nagle, gdy się im dotąd udawało szczęśliwie w ciszy i z wolna kołując przebyć już kawał nie spotykając nikogo, usłyszeli w ciemności głosy tak blizko, iż innego nie było ratunku nad rzucenie się na ziemię...

Lejbuś pociągnął towarzysza, padli obadwa na wilgotny piasek i przyczaili się... Z namiotu o kilkanaście kroków wyszło trzech podpiłych Szwedów trzymając się pod ręce... Oni to byli powodem, że Pełka padł obok przewodnika swego, czekając aż ich miną...

Droga wiodła wprost na leżących, tak, że Szwed idący z kraju a niebardzo w nogach pewny, zaczepił się o leżącego żyda i upadł na niego. Pozostali towarzysze stanęli śmiejąc się... Ten, który leżał grzebiąc się, aby powstać, namacał człowieka... Na myśl mu snadź wszakże nie przyszło nic innego nad to, że na równie lub gorzéj od siebie pijanego trafił spoczywającego w błocie... Wrzawa powstała i krzyk. Pełka leżący z boku z cicha już do tulicha u pasa sięgał... Żyd zaś udawał pijanego czy umarłego, ale tak nieczułego, iż gdy go podnoszący z ziemi z pomocą towarzyszów Szwed nogą kopać zaczął ze złości — ani drgnął.

— To nie pijana ale snadź zdechła jakaś bestya! — zawołali.

Nie dosyć na tém: poschylali się wszyscy nad żydem, macając go... Lejbuś udawał nieżywego, Pełka, któremuby to stokroć ciężéj przyszło, pozostał jakiémś szczęściem z boku nietkniętym.

Nie przyszło do badania... pijani poszli daléj... Nierychło dopiero odpuściwszy ich Lejbuś z lekka się otrząsnął i wstał... Podeptany był i potłuczony

ale mu to wcale nie odjęło uwagi i przytomności umysłu...

Szli znowu wężową drogą... którą węgły popalonych domostw niebezpieczną czyniły tém, że zakrywając ognie i ludzi, nigdy nie dozwalały naprzód obrachować kierunku. Nagle wytykali się naprzeciw ludzi wówczas, gdy się ich najmniéj spodziewali, musieli się cofać i czas tracić... Ogniska jednak wygasały powoli. Prosty żołnierz znużony dniem legł już na spoczynek, starszyzna tylko dokazywała... Pomimo chłodu i wichru, Pełkę pot oblewał... Ten przymus do chodu ślimaczego, do cofania się, wymijania, czajenia — męczył go w niewypowiedziany sposób... W miejscu które już zdawało się bezpieczniejszém, Lejbuś cokolwiek ośmielony wwiódł towarzysza tak na śpiących żołnierzy, iż omal ich nie zdeptali.

Niebezpieczeństwo było wielkie, gdyż żołdak nogą uderzony, pochwycił się ze snu, a krzyk jego obudził towarzyszów. Pełka miał ledwie czas skryć się za węgieł spalonego domu, Żyda rwał za połę Szwed...

Tu zuchwalstwem trzeba było nadrobić. Lejbuś się pięścią obronił i odskoczył.

Znaleźli się obaj ściśnięci wśród popalonych belek i łomu, a o trzy kroki waśniący się Szwedzi szczęściem bez światła łajali się już między sobą, gdyż pewni byli, że któryś z nich przez sen drugiego targnął...

Wrzawę tę przysiadłszy na ziemi przeczekać było potrzeba... Pełka rzucił okiem dokoła i ujrzał o kilkanaście kroków namiot otwarty, w którym się mógł doskonale rozpatrzyć...

Było to zapewne schronienie któregoś z dowódców, urządzone bardzo wygodnie... Wnijście nawet z którego podjęto zasłonę w chwili, gdy się wszczęła wrzawa, obwarowane było kobiercami od chłodu i wilgoci. W pośrodku stół wielki pokryty, cały zastawiony dzbanami i roztruchanami polskiemi, obsiadali wojskowi. Widać ich było porozpieranych na krzesłach, na poduszkach i z kubka rzucających kości... Zajęci grą, poschylani nad stołem, ledwie wyjrzawszy z namiotu, zapomnieli drzwi osłonić, i za każdém rzuceniem podochoceni okrzykami oznajmowali zwycięztwo...

W Pełce zakipiało, taką miał ochotę wpaść na rozpustujących i weselących się nieprzyjaciół... Opasłe ich zarumienione twarze zdawały mu się urągać swą żołnierską zuchwałością...

W namiocie rozeznać było łatwo nagromadzony łup i porabowane dostatki... Wszystko co tam było żołnierzowi w pochodzie z domu towarzyszyć nie mogło... Kupy powiązanych sukień, towarów, makat, zalegały pod ścianami... kosztowna broń porozrzucana była po łożach i ziemi... Srebrna beczka na krzyżowych nogach z prostych kołów zbitych — służyła do napełniania wypróżnianych dzbanów...

Wpatrzywszy się w ten obraz, który go bólem napełniał, Pełka nie poczuł jak go towarzysz ciągnął za suknię.

Wrzawa się była uspokoiła... cisza dokoła, oprócz szmeru rozmowy z namiotu wylatującéj niekiedy i cichnącéj, gdy się kości rzucać zbierano — oznajmowała im, że powinni byli korzystać z chwili. Wydobywszy się więc z belek, postąpili w przeciwną stronę... Tu już panowały ciemności. Zdawało się, że obozowisko było za nimi, i jedna tylko linia straży zostawała do przebycia.

Potykając się nieustannie na gałęziach i faszynach... padając w rowy, brnąc przez kałuże... przebyli spory kawał drogi, niepewni jednak obaj czy w szerz szwedzkiego wojska, czy wzdłuż się posuwali — wśród nieustannych bowiem obrotów, obaj pamięć kierunku utracili... Szli tak na oślep, iż kilkakroć musieli na niebie upatrywać wież Krakowa, ażeby pewni byli, że nazad doń nie wrócą i znowu się o szaniec nie oprą.

Żaden z nich nie śmiał przemówić do drugiego... nie wiedzieli czy w blizkości ktoś ich usłyszeć nie może... Lecz są instynkta niewytłómaczone, które wiodą człowieka, i czasem szczęścia, któremi los darzy... Droga nie była zmylona; Lejbuś poznał folwark nieopodal, przy którym stały ostatnie posterunki szwedzkie.

Kupka drzew starych i żóraw od studni na niebie się zarysowały... o kilkadziesiąt kroków daléj byli

już prawie bezpieczni, jeżeli ich objazd jaki i konnych snujących się ciurów nie chwyci kupa...

Pełka oddychał nieco spokojniéj, iść mogli spieszniéj... Nic się już nie zdawało im zagrażać...

Właśnie, gdy się tą nadzieją łudzili, z za kupy chróstu, zerwał się żołnierz, który się od słoty przytulił; ten posłyszawszy szelest krzyknął. Znalazł się on tak blizko Pełki, iż Medard bez namysłu chwycił go za barki i obalił...

Silny i zręczny siadł nań, aby go co najprędzéj zakneblować i głosu pozbawić. Lejbuś, który się domyślił snadź o co chodziło, znalazł się z chustką tuż, i nim Szwed przelękły dobył z piersi krzyku, pełną miał gębę... Medard cisnął go kolanem, Lejbuś wiązał chustkę... Pistolet, który trzymał w ręku, w téj walce wystrzelił... Pełka miał czas tylko ogłuszyć go uderzeniem... musieli uciekać...

Rzucili się trzymając za ręce w bok ku drodze, przez pola i znikli w ciemnościach, nim strzałem wywołany popłoch całą linię straży ogarnął...

Odbiegłszy na kilkoro staj, mogli z dala widzieć zamęt, którego byli przyczyną... W chwili zbiegło się kilkunastu konnych... Od obozu leciały straże... Wśród ciemnéj nocy pogoń wszakże była niepodobieństwem...

Nie tracąc na rozpatrywanie się czasu, poszli daléj spiesznie, unikając dróg a szukając zarośli.

Pełka czuł się tak zmordowany, iż pierwszy

odezwał się do Lejbusia z żądaniem choć krótkiego spoczynku.

— Tu nie można odpoczywać... i nie ma gdzie, rzekł żyd — jeszcze pół godziny chodu, a spoczniesz wielmożny pan bezpiecznie... No — nie ma co mówić — dodał — poszczęściło się nam dobrze. Trzy razy przekradałem się przez to tałałajstwo szwedzkie, nigdy tyle biedy nie doznałem co dziś i tyle szczęścia... Mogliśmy przynajmniéj trzy razy być w ich rękach... Trzeba Panu Bogu dziękować.

Zmokli od deszczu, który padał już nie ustając, szli tak daléj... aż do lasku... w który Lejbuś poskoczył z okrzykiem radości... Oprócz szeleszczących pod nogami liści... nic tu już nie mogło ich zdradzić... Żyd w prawo i w lewo się obejrzawszy, szedł żywo ku środkowi lasu... jak gdyby czegoś szukał. Przybyli tak pod ścianę drewnianą jakiéjś budowli. Była to pusta szopa, niegdyś zapewne na skład siana przeznaczona... Jedna połowa jéj drzwi leżała na ziemi, druga oberwana wisiała na drewnianym kole... Żyd wszedłszy wprost się skierował do kąta, i z podziwieniem Pełki nogą stukać zaczął. Trwało to dosyć długo... Medard usłyszał potém szept cichy, a że tu już nic widzieć nie mógł, czekał nie rozumiejąc co z nim zrobi przewodnik.

Małe światełko pokazało się, jakby z pod ziemi. W jego blasku zobaczył Pełka... podniesione nad tokiem drzwi z grubych bierwion... Lejbuś szukał go za sobą i dawał znaki, aby szedł za nim. W głębi

dołu... do którego trzeba się było spuszczać po drabinie, stało odarte kilkonastoletnie dziewczę z kagankiem... Bez namysłu zszedł Medard do dołu... a Żyd wspiął się na drabinę i drzwi podniesione, przez które weszli, spuściły się znowu... W podziemiu tém, w glinie wyżłobioném, drzwiczki liche i nieszczelne prowadziły do rodzaju izdebki w ziemi, popodpieranéj nieobrobionemi bierwionami drzewa...

W głębi jéj widać było barłóg i nieco sprzętu lichego... Stary z brodą siwą człowieczek w żydowskim stroju odartym i dziewczę trzymające kaganek czekali na niespodziewanych pewnie gości. Lejbuś żywą rozmowę już ze starym prowadził, i zdawał się tu gospodarować jak w domu...

Nic okropniejszego wystawić sobie nie można nad tę kryjówkę podejrzaną, do któréj Pełkę wprowadził jego przewodnik.

Było to coś nakształt loszku przesiąkłego wilgocią, dusznego, przejmującego chłodem podziemnym i stęchlizną. Wprawdzie w rogu było coś jakby ognisko, na którém niekiedy coś się palić mogło, gdy się nie lękano dymem zdradzić, lecz popiół tylko i wygaszone głownie na niém leżały... Można się było domyślać raczéj niż dostrzedz po za zwieszonemi na ścianie łachmanami otworu, który do drugiéj takiéj pieczary prowadził.

Oprócz starego żyda i dziewczynki, w kącie spoczywało jeszcze jakieś stworzenie ludzkie, okryte

odzieżą, stękając i jęcząc... Spocząć ani usiąść nie było miejsca; obcięty pieniek dębowy, jedyny prawie sprzęt składał. W ścianę wbita deska, którą dwa kołki podtrzymywały, za stół służyła.

Lejbuś rozprawiwszy się z gospodarzem, który z wolna go o coś dopytywał, odwrócił się do Pełki.

— Co pan chce? — rzekł uśmiechając się — nie bardzo ładnie tu, ale bezpiecznie... Ile razy Szwedy popasały w szopie! a jednak drzwi przysypanych sianem i chróstem nie znalazły. Tu się pan musi przebrać, a gdy dnieć zacznie, ruszymy daléj starać się o wóz i konie, bo nogi niedaleko zaprowadzą... Bardzo się nam szczęśliwie udało...

Pełka o najbliższy dwór szlachecki pytał, ale na to żyd trzęsąc głową odpowiedzieć nie umiał, obiecywał tylko, że sobie rady dadzą...

— Jak tylko na dzień — dodał żyd — musimy iść daléj — z rana najbezpieczniéj — bo nad ranem każdy śpi najmocniéj i najchętniéj, mało kogo na gościńcach się spotka... No — a gdyby już nawet i Szwedów się zdarzyło... to my tutejsi. Co nam zrobią? nie wszystkich ścinają i wieszają...

Nie było to bardzo pocieszającém, lecz się Medard musiał zadowolić tém, co mu Lejbuś ofiarował, który wesołego usposobienia nie stracił. Nie było nawet gdzie spocząć i zdrzemnąć się trochę. Lejbuś dla siebie obrał w słomie kątek, Medard na pieńku siadłszy wsparł się tylko o ścianę wilgotną. Kaganek postawiono na ognisku... stary

żyd poszedł na swój barłóg i wszystko ucichło... Po nad głowami tylko słychać było przez cienką warstwę ziemi dylami podesłaną, szum lasu i plusk silnego deszczu, cienkiemi strugami dobywającego się do wnętrza.

Nie upłynęła godzina i Medard oka nie zmrużył, gdy czujne ucho Lejbusia pochwyciło w lesie tętent i chodzenie około szopy. Żydek zerwał się na nogi i przyłożył ucho do ściany... Można było rozeznać stąpanie koni i głosy ludzi.

Pełka porwał się niespokojny... Stary żyd ruszył się téż z posłania... czekano z natężoną uwagą gdy do drzwi przez które spuścili się podróżni, silne stukanie powtórzone coraz gwałtowniéj, słyszeć się dało. Lejbuś i gospodarz zdawali się naradzać z sobą. Przewodnik zbliżył się do Medarda i szepnął:

— Póki co będzie, chodź pan tu.

Podniesiono odzież wiszącą na ścianie, za nią było niższe jeszcze wyżłobienie, na którego ubitéj ziemi suche liście i słoma leżały. Medard posłuszny, pistolet opatrzywszy i puginał, wcisnął się do wskazanego kąta... Odzież spuszczono znowu, znalazł się w grobowéj ciemności... W téjże chwili ruch się wszczął w pierwszéj izdebce... otwierano drzwi, dwa głosy z góry żywo rozmawiających zbliżyły się... Medard przysunąwszy się do zasłony, która wnijście okrywała, potrafił nieznacznie roz-

tworzyć ją tyle, by na pierwszą izdebkę okiem mógł rzucić.

Lejbuś już był powrócił na swe posłanie i skulony udawał drzemiącego, stary Żyd zwlókł się okryty płaszczem na przyjęcie gości. Dwóch ich było, draby ogromne, wyglądające dosyć dziko... Obaj na ramionach nieśli sporo odzieży jakiéjś, węzełków, obuwia a nawet broni, w któréj szwedzką poznać było łatwo. Pierwszy z nich rzucił zaraz cały swój ciężar na ziemię, drugi na też samą kupę złożył co miał na ramionach... Poznać było łatwo w przybywających dwóch jakichś zbójów, dobrze uzbrojonych, właśnie w powrocie ze szczęśliwéj wyprawy na szwedzkich ciurów.

Obejrzeli się po izbie... Lejbuś udał rozbudzonego, popatrzał na nich i odezwał się do pierwszego który stał bliżéj:

— A co Wrzos, udało się?

— To ty! — zawołał wesoło drab. — O! dobraż nasza, zaraz się człek pozbędzie rupieci. A no, patrz, dwóch Szwedów obłowionych gdzieś dobrze, przydybaliśmy na drodze w karczemce i sprzątnęli. Pijane to było, i nawet się niebardzo bronili. Hawlika tylko jeden za palec ukąsił. Kupujesz?

— No cóż tam macie? — spytał Lejbuś.

— Popatrz, — rzekł Hawlik z obwiniętym chustą palcem, od niechcenia rozgarniając łupy, na które stary gospodarz spoglądał już chciwém okiem. Żydzi poczynali szwargotać z sobą.

— To stara odzież — rzekł Lejbuś — co to warte? lichota...

Wrzos się obraził.

— Flamskie sukno, przedziwne, jak skóra! patrzajcie go! I broń téż coś warta, i ot, kobiecych rzeczy niezłych gdzieś Szwedy narabowały... a to wszystko jedwabne...

— Może jakie stare srebro gałgańskie? — mruknął gospodarz.

Hawlik dobył kubka z kieszeni.

Lejbuś wstał ze słomy, przysunęli kaganek rozpatrując się.

— To nie srebro, to cyna — rzekł Krakowianin.

— Nie prawda...

Wszczęła się kłótnia, lecz zaraz ucichła.

— Co dacie za wszystko?

Żydzi porozumieli się wejrzeniem i zaczęli rozrzucać odzież, chusty, suknie, broń... z wielkim pośpiechem...

Lejbuś uderzył po ramieniu Wrzosa, który nań spoglądał niedowierzająco.

— Jak dam dwanaście złotych — rzekł — to jeszcze stracę... Gdzież to szwedzkie rzeczy sprzedawać, żeby ich nie poznali? Trzeba się z niemi nosić i kryć — a póki się to sprzeda...

Hawlik się uniósł.

— Za dwadzieścia nie damy! — odparł oburzony...

— No, to sobie ponieście daléj...

Staruszek dobył z kąta dzbanek, i nalał nic nie mówiąc dwie szklanki jakiegoś płynu, podając go myśliwcom... Obaj wychylili go chciwie. Targ poszedł łagodniej.

— Pal cię djabli — rzekł Wrzos — piętnaście płać i bierz...

— Nie — szesnaście — poprawił Hawlik.

Nie śpieszono się liczyć... Blada żydóweczka grzebała się już ukląkłszy przy sukniach, rozkładając je systematycznie...

Lejbuś wziął kubek.

— Co wy dziś tacy chciwi jesteście? — odezwał się — to dla was mała rzecz. Szwedzi nie byli pewnie bez grosza, nabraliście talarów a jeszcze za tę lichotę takich wielkich pieniędzy chcecie.

Wrzos się uśmiechnął.

— Gołe to było — rzekł — nie ma o czém mówić...

— Macie konie? — spytał Lejbuś.

— Po nich? — rzekł Wrzos — nie — tylko swoje, tamteśmy już po drodze oddali.

— A swoichbyście nie zbyli? — dodał Żydek.

— Tobie na co konie? — rozśmiał się Hawlik.

— Dwa z kulbakami kupiłbym — ale wasze to szkapy mizerne — rzekł Lejbuś.

— Mizerne marchy! ale! — mówił Wrzos — poszukaj takich na okół, coby bez jadła i wody cały dzień na nogach, na słocie wytrzymały — do popisu one na paradę się nie zdały... a no...

— W szopie stoją? nieprawdaż? — spytał Lejbuś.

— Cóż po nocy, macać chyba będziesz — rozśmiał się Hawlik — a ze światłem tam iść, jeszcze jakiego licha naprowadzimy... dać pokój...

— Kota w worku nie kupisz — nie ma co i gadać — rozśmiał się Wrzos.

— Kto to wie, czasem kiedy worek potrzebny, to się i kota kupuje z nim — rzekł Lejbuś. Ja bo podobno kiedyś gdzieś wasze konie widziałem.

— Co za parę koni?

Wrzos i Hawlik spojrzeli po sobie, bardzo się im to wydawało dziwném.

— U nas konie będą drogie, — odezwał się Wrzos — bo mało co one same warte, ale pieszo trzeba iść i łatwoby nas pochwycić gdzie mogli, a znają po trosze co my za jedni...

— A no! a no! — nalegał Lejbuś, co za tych parę koni?

Zbóje się naradzali z sobą w kącie i swarzyli i godzili, aż naostatek wystąpił Hawlik:

— Albo brać, albo nie gadać, kulbaki obie nowiusieńkie, na moim rzędzik skórzany z mosiądzem, aż miło... za parę dacie dwieście złotych i jeszcze podziękujecie.

Lejbuś aż podskoczył do góry.

— Chyba z wami razem i z tém co macie po kieszeniach! — zawołał.

— Oho! oho! — śmieli się dwaj złodzieje — tak taniobyś nas nie kupił.

Pełka domyślał się, że Żyd już dla niego konia targował, radby był mu podszepnąć, żeby postąpił do dwóchset, bo na koniu się czuł bezpieczniejszym, lecz odezwać się nie było sposobu.

Zbóje zabierali się do wyjścia dopominając zapłaty za sprzedane rzeczy, z końmi szło twardo... Wreszcie za zdobycz z końmi razem postąpiono dwieście, Wrzos ociągał się z wyjściem i znać było że mu ta cena smakowała. Hawlik się opierał. Na znak dany przez Lejbusia dobyto dzbanka i poczęstowano.

— Jeśli ty myślisz — rzekł Hawlik — że ja się upiję i oszołomiony konie ci oddam, to się brzydko mylisz. Ja mam taką naturę, że im więcéj piję, tém do bójki i swaru jestem, a nie do zgody skłonniejszym.

Koniec końcem, zaczęto płacić na desce licząc talary, a że ciemno było, talarów zębami próbowano... Lejbuś pieniądze wyliczył i wyszedł z niemi do szopy konie przyjmować. Znalazł je z pozwieszanemi głowami, zbiedzone bardzo, obmokłe i zdawało mu się, że się oszukał, lecz nie było do wyboru... Na dzień się zabierało, a pieszo iść i źle było i niebezpiecznie...

Zbóje znikli, Pełka wyszedł ze swéj kryjówki... Stary Żyd nadsłuchawszy u wnijścia, pozwolił mu pójść konie zobaczyć.

— A com ja wart za to, żem kupił konie? — zapytał Żydek uśmiechając się. Czy to nie łaska boża znowu, że nam je tu przyprowadzono, jakby na zakaz?

— Nie chcę ci ujmować zasługi — rzekł Pełka— a co się tyczy obrachunku, o ten się nie masz co frasować...

— Ja to wiem — szepnął Żydek — teraz już tylko zabierać się i jechać...

W istocie, pobyt w jamie téj tak był niemiły, że choć ciemno jeszcze w lesie było i jazda w nieznajoméj okolicy mogła być niebezpieczną, Pełka nie wahał się siąść na konia. Wybrał sobie trochy pokaźniejszą szkapę... Lejbuś w milczeniu przyjął pozostałą, i nie żegnając gospodarza, który już znowu się był położył, wyjechali z pod szopy.

Dniało wprawdzie, lecz dzień się obiecywał niewiele jaśniejszy od nocy, chmury ołowiane, śnieżne, cały opasywały widnokrąg, deszcz ze śniegiem smagał od północy. Kałuże stały już nawet na piaskach, pora była najobrzydliwsza, i Lejbuś tylko utrzymywał, że do takiéj drogi, jak ich nie mogła być pomyślniejszą.

— Proszę wielmożnego pana — mówił śmiejąc się — nawet Szwed nie wylezie po dobréj woli z szałasu... możemy paradować o dziesięć kroków od ich namiotów, a żaden się nie ruszy, i mało komu zechce się obejrzeć...

Za dębiną trochę być jaśniéj poczęło — wybrali się na drożynę, którą Lejbuś tylko wiedział, dokąd prowadzić mogła. Zdziwił się bardzo Pełka znajdując w tym towarzyszu wcale dobrego jeźdźca i człowieka, któremu ani na odwadze, ani na przytomności nie zbywało, ani nawet na wyśmienitym humorze, rzadkim w ludziach, gdy życie i los cały swój stawią na kartę.

Medard jechał długo zadumany spuściwszy się na przewodnika, lecz w końcu spytał go dokąd tą ścieżyną zaprowadzić go myślał.

— Musimy się przedzierać do granicy Szlązkiéj rzekł Żyd — jedziemy więc w tamtą stronę. Panu potrzeba odpocząć, poszukamy dworu, jest tu jeden szlachcic stary którego wiem... zajedziemy do niego, a ten nam wskaże drogę... Pierwsza jednak rzecz, żebyś pan trochę sił nabrał... bo widzę, że mu je nocna przeprawa odebrała...

Już w drodze coraz się większy dzień robił, ale deszcz nie ustawał. Gdy jaśniéj być zaczęło, lepiéj się dopiero w kupionych od zbójów koniach rozpatrzyć mogli. Szkapy były pomęczone, stare, niewiele może warte na okaz, ale znać wytrwałe i zahartowane, a liców nie potrzebowały i rozumu człowieczego, bo szły same wybierając sobie drogę — i co najważniejsza, nogi miały dobre... Żaden się po najgorszych ścieżynach, po pagórkach ani uślizgnął, ani potknął. Wyglądały jednak niepięknie wcale

i ręka ludzka od dawna z ich skórą nic nie miała do czynienia.

Medardowi prawie wstyd było na takiéj szkapie w świat jechać, wolał jednak tę niż żadną...

Ranek nie przyniósł z sobą zmiany, pora była szkaradna... Przed nimi pagórek, na który się powoli bezpieczni o siebie wdrapywali, dalszy im widok zasłaniał... Już dojeżdżali do wierzchołka, gdy koń Medarda chrapać zaczął... Nie zdawało mu się to nic znaczyć, gdy wtém stanąwszy na górze, ujrzał o kroków kilkanaście od siebie szwedzki posterunek... Cofać się ani uciekać nie było sposobu. Lejbuś, który w téj chwili nadjeżdżał, zobaczył go także i wysunął się sam naprzód... Miał tylko czas powiedzieć Pełce, aby milczał i niewiele gadał, a już rajtary nadbiegły i wstrzymali ich pistoletami mierząc, z wielkim wrzaskiem.

Musieli konie ściągnąć i stanęli. Szwedzi przypadli tuż... Z niemi było dwóch polskich żołnierzy od komputowych, a ci pierwsi się zbliżyli wołając i krzycząc, zkąd byli i co za jedni... Lejbuś dał im się wygadać milcząc...

— A! wielmożni panowie, — zawołał — my przecie tak samo jak wy z królem Gustawem trzymamy... jedziemy do krewnych do Hożéj Wólki...

— Zkąd?

— Z Promnika.

Polacy głowami pokiwali.

— Za czém?

Tu już Pełka wystąpił.

— Albo to już ze dworu do dworu przejechać nie wolno? — zapyta.

— Powinniście mieć pass od pułkownika...

— O dwie mile? — spytał Żydek ruszając ramionami.

— Co za jedni?

Pełka się zameldował jako Ślaski, bo tego imienia znał kilku w krakowskiém, a Żydek nie kłamiąc, oznajmił się jako syn arendarza.

Szwedzi chcieli obdzierać i kłócili się, spostrzegli jednak, że nie było tak dalece na co się łakomić, poburczeli więc, jeden z nich Lejbusia potrącił i dali im jechać.

W czasie rozmowy jednak Pełka miał chwilę obawy srogiéj, bo z żołnierzy dwóch, był mu jeden z obozu jeszcze znajomy, a ten mu się przypatrywał mocno i uśmiechał. Nie rzekł jednak nic. Odjechali na dobrą staję, gdy ich dogonił.

Jechali umyślnie zwolna, aby się nie zdradzać. Żołnierz przybiegł kłusem ze śmiejącą się twarzą.

— Niebezpieczną grę gracie — rzekł pospiesznie do Pełki — trafiliście na mnie, to wasze szczęście, ale już was znam! Służyliście pod chorągwią Myszkowskiego i posiekaliście tam dwóch. Tu w okolicy Szwedów jak maku... Raz się wam udało wyśliznąć i wyjść cało, nie próbujcie więcéj...

— Gdzież Szwedzi stoją? — spytał Pełka nie odpowiadając już na pytanie i przestrogę.

— A gdzie ich nie ma? zawołał żołnierz, po dworach i wsiach pełno... i choć wielu z nas z nimi trzyma, w łeb wypalić Szwedowi gdy sobie pałkę zaleje — bardzo łatwo...

— Jakaż na to rada? zapytał Medard...

— Szwedzki pass albo znak...

— A jak go dostać?

Żołnierz się uśmiechnął. — E! zawołał, dajcie parę talarów, to się wam postaram. Jedźcie do Hożéj Wólki... papier wam przywiozę, Szwedy nie bardzo się pilnują, a zbałamucić ich łatwo.

— Zgoda, panie bracie — czekam na dwa passy w Hożéj Wólce i sowicie zapłacę, bo do narzeczonéj jadę i pilno mi bardzo, a życiabym ważyć nie chciał...

— Zgoda... żołnierz zwrócił konia... a Lejbuś wskazał drogę w prawo, gdzie wśród wiśniowego sadu i grusz, widać było jeszcze przez Szwedów niedopaloną Hożą Wólkę, do któréj w sam czas na piwo grzane przybyli.

* * *

Mało wówczas w krakowskiém było średnich majątków, albo pańskie klucze, w których siedzieli ekonomowie i dzierżawcy, lub drobne folwarczki szlacheckie. Na takich wioszczynach wprawdzie fortun się nie dorabiano, lecz rządny człek chleba miał pod dostatkiem i niezgorzéj mu się działo.

Do małych tego rodzaju posiadłości należała Hoża Wólka panów Snarskich. Rodzina dosyć można, wiele miała posiadłości od téj znaczniejszych, przecież stary pan Hilary Snarski, miecznik sieradzki, oddawszy synom i córkom znaczniejsze majętności, sam sobie obrał ową małą Wólkę i w niéj już od lat dziesięciu przemieszkiwał.

Gdy pod ganek Pełka podjeżdżał, Snarski stał we drzwiach z kijem, z ręką za pas biały założoną, w czapce na głowie, i patrzał się ciekawie na gościa, którego nie znał. Figura była poważna i imponująca, choć strój ubogi. Broda do pasa jak śnieg biała, wąs téż ogromny osobno pielęgnowany, twarz pergaminowa żółta, ale życia pełna przez oczy gorące i usta słodko uśmiechnięte... Podobien był jakiemuś staremu mędrcowi greckiemu, tak miał postawę spokojną i rozumną, a nieulęknioną. Stary dwór wólecki pod słomą, z wysokim dachem niezbyt wspaniale wyglądał, lipy mu tylko w lecie okalające go dodawały wdzięku. Okiem znawcy Snarski znajeżdżajacemu Pełce się przypatrywał, mierząc konia z jeźdźcem i czując, że jeden do drugiego nie przystał... Na Łejbusia, choć był przystojny chłop, ledwie raz rzuciwszy okiem, już ani spojrzał, poznał a raczéj przeczuł co zacz był. Gdy Pełka skoczywszy z konia submitował się, Snarski milcząc go wysłuchał.

— Mój moci dobrodzieju — rzekł powoli — dom mój otwarty dla wszystkich, lecz zapowiedzieć

muszę naprzód, Szwedzi mnie objedli, odarli, spustoszyli tak, że się tylko kromką chleba z kawałkiem sera i szklanką piwa kwaskowatego podzielić mogę. Chodź waćpan i przekonaj się...

Uśmiechając się wiódł miecznik do środka: w istocie znać tu było dobrze, że tędy Gustawowcy przeciągnęli. We dworze nie zostało nic tylko gołe ściany i ćwieczki, któremi niegdyś makaty były poprzybijane, stołom brakło kobierców... skrzynie stały otworem... Wśród téj pustki Snarski przechadzał się uśmiechając...

— Znają swe rzemiosło, mówił, po żołniersku spenetrowali wszystko aż do lochów, ucząc mnie, bym Dyogenesem na stare lata był... zabrali wszystko zbyteczne... Zjedli do ziarnka owsa, wypili do ostatniéj beczułki... a że ja im nie przeszkadzałem, pokój mi dali. Ludzie mi radzili uciekać. Po co? dokąd? Tego mrowia wszędzie pełno do stracenia już nie mam nic... a gdyby pszyszło ginąć, wolę tu niż gdzieindziéj — przynajmniéj na cmentarz niedaleko...

Lejbuś został przy koniach... Snarski prosił gościa usiąść na gołéj ławie i uśmiechał się przypomnieniu perskiego kobierca, którym była okryta.

— Czy asindziéj przypadkiem z Gustawem nie trzymasz? zapytał.

Pełka się oburzył: — Uchowaj Boże!..

— Nic by to nie było dziwnego, gdy i panowie hetmanowie, i siła innych słusznych ludzi za-

szła do niego. Cóż robić! i tegośmy dożyć musieli; proroctwa dawne nam to zwiastowały...

Wszedł wyrostek w prostéj szaréj kurtce... Snarski śmiejąc się pytać począł:

— Kubo mój kochany — cobyś ty nam dał zjeść i czem się ogrzać. Oto widzisz, słuszny obywatel do domku zawitał... znać, że zziębły i głodny... jam téż od wczoraj, oprócz powietrza, nic nie kosztował... Co nam dasz?

Kubuś był chłopek żwawy, począł palcami kręcić i oglądać się.

— Co masz oprócz rzepy, któréj Szwedzi pono nie chcieli? — mówił Snarski — ale w któréj téż i ja nie smakuję... Chleb jest?

Kuba wątpliwie głową pokręcił.

— Nie bój się, mów, nie obje nas jeden poczciwy człek...

— I nie Szwed — dodał Medard...

— Proszę wielmożnego miecznika, począł Kuba po cichu: piwa barylątko schowane dla pana tylko na polewkę... stara Magdalena przyrzuciła je chróstem i tak ocalało... aleby czémś trzeba osmaczyć...

— Mlekiem, odezwał się Snarski, jeśli śmietany nie ma...

— Wszystkie krowy pozarzynały Szwedy — rzekł Kubuś wzdychając.

— I srokatą...

— A! i tę. Magdalena im do nóg padała, to jéj tylko, zabiwszy biedactwo, ogon na pamiątkę przynieśli.

Snarski się po łysinie potarł...

— Zatrzeć piwo jajami — rzekł — i kwita.

— Wszystkie kury popiekli — westchnął Kubuś...

— Jakto! i czubate, które Magdalena tak lubiła...

— Ani nogi nie ma na podwórzu...

— Ci ludzie, rzekł Snarski spokojnie — gdyby im mięsa zabrakło, mnieby z Kubusiem gotowi na rożen włożyć. Heretycy są. Ale Kubuś, co będzie z piwem?.. Magdalena ser miała?

Chłopak ręką kiwnął.

— Już on dawno w brzuchach ich siedzi.

— Na zdrowie, spokojnie odezwał się Snarski... miodem piwo zaprawcie...

— Ale! ale! nawet pasiekę wydarli — zawołał chłopak.

— Czysto chodzą około dworów — dodał stary... Dajże piwa zgrzanego z trochą imbieru i grzanki z chleba, będzie i to dobre...

— Bez imbieru téż trza się obyć, bo imbier z szufladki wyczyścili...

— Słowem, że się ci rajtarowie na wszystkiém znają, mówił Snarski... I zważ, dodał zwracając się do Pełki — że to nie u mnie jednego tak się

porządnie i gospodarnie zwijali, lecz wszędzie gdzie zajrzeli. Ciura zawsze ciurą.

Snarski skinieniem chłopca odprawił — i począł Pełki najprzód o rodzinę pytać. Któryż naówczas szlachcic nie znał procedencyj szlacheckich, kolligacyj, rodu i przewodu? Snarski też miał pamięć osobliwą, była to kroniaka chodząca... Pełków sobie przypomniał i wyrachował, że musieli być przed trzema pokoleniami krewni.

— Gadajże mi, rycerzu Pełko — co ty tu robisz?..

— Nic więcéj panu miecznikowi nad to powiedzieć nie mogę, że jadę (tu zniżył głos) z Krakowa... No — w świat, ale za ważną sprawą...

Popatrzali sobie w oczy... Staruszkowi łzy stanęły na powiekach, choć się usta uśmiechały.

— Jam to po szkapie postrzegł, że gdzieś ją po drodze musieliście zdobyć, bo to marcha z pod chłopa...

— Kupiłbym lepszą, gdybym znalazł.

— I ja też — odezwał się Snarski; ale na okół koni nie ma, dziękuj Panu Bogu za tego, na którym siedzisz... Co u mnie w domu, to po dworach znajdziesz wszędzie... pustka i głód... Nowi panowie nasi mocno się nam zalecają. Poddali się im panowie hetmanowie i siła magnatów i szlachty naszéj niemało... ale wprędce pokosztowawszy słodyczy tego panowania będą się zawracać chcieli...

Ruszył ramionami...

— *Deus providebit*! mówił król — ciągnął daléj Snarski, — ja też w to wierzę, tylko że Pan Bóg z prowidencyą przyjdzie naówczas, gdy jemu się to zda, a nie nam...

Nigdy nam jeszcze tak dobrze i tak ciepło nie było jak teraz... mówił z wolna: grzeją ze wszech stron, a gwoli przeznaczeniu kto nas ma ratować? Rakuszanie, coby nas radzi zjedli pieczonych, i Tatary, coby nas surowych połknęli z ochotą.

Na te słowa wniósł Kuba piwo... Snarski patrząc na podanie śmiać się począł... Nie było na czém nieść, postawił więc dwa czarne garnuszeczki na pokrywie od hładyszy mlecznéj Kubuś, i tak jakby na srebrnéj misie, w złoconych kubkach, owém piwem grzaném służył. Snarski co z lepszego i lepsze jadał, gdyby mędrzec dawny... uśmiechał się z téj losów zmiany.

— Miły Pełko — odezwał się — jeśli ja żyć będę a ty jeździć, przybądź drugi raz w lepszą godzinę... abyś méj gościnności zażył; dziś ci lepszego nic dać nie mogę.

Zawstydzona niezmiernie stara ochmistrzyni z oczyma podpuchłemi od płaczu, zjawiła się w progu — załamawszy ręce.

— Proszę miecznika... oto do czegośmy to przyszli... srokatą nawet zabili...

— Dziękuj jejmość Bogu, że nie mnie, ani was... i nie płacz...

— Kury wszystkie, kaczki do nogi... nawet to biedactwo co się jeszcze nie wyhodowało...

Płakała stara Magdalena łzy ocierając fartuchem. Snarski się śmiał.

— Ani w kuferku szeląga, ani w zasieku ziarnka... odzież nawet pobrali, skarżyła się ochmistrzyni... Kubuś co bronił cyny... po plecach dostał...

— Ofiarujmy to Panu Bogu — zakończył Snarski... piwo grzane mamy, chleb niczego... i to jeszcze wielkie szczęście, gdy drudzy sąsiedzi piasek jedzą i rosę piją.

Gdy się ochmistrzyni oddaliła — Pełka przystąpił do rzeczy. Nie potrzebował się taić przed starym, że mu na Szlązk przedrzeć się było potrzeba, i że chciał wiedzieć jakby nieprzyjemnego spotkania mógł uniknąć, chociaż mu żołnierz przyrzekł karty od szwedzkiego dowódzcy dostać.

Ze swéj strony skuteczniéj daleko Lejbuś we dworze rozpytał o drogi, tymczasem i obiecany szeregowiec od komputowych przybiegł wioząc istotnie dwa passy wystawione na jakichś ludzi, których bodaj czyby na świecie znaleźć można, tak ich pióro szwedzkie przybrało po swojemu pisząc. Obaj były pod pieczęcią, i gdyby czasu wojny co szanowaném było, powinny się były na co przydać.

A już téż i południe się zbliżało. Magdalena wymiótłszy szafarnię, nawarzyła jakiegoś krupniku

z resztą półgąska... posilił się więc Pełka, a że Lejbuś o koniach pamiętał, aby strzechy nie gryzły... wybrali się w dalszą podróż. Snarski do ganku gościa wyprowadził.

— Życzę ci, miły Pełko, wszelkiego dobra, a szczególniéj tego, co mnie Pan Bóg dał, myśli wesołéj w biedzie... jedź z Bogiem...

Niebo się nie wyjaśniło, lecz chmury podniosły i deszcz ustał, ruszyli więc ochotniéj, a że Lejbuś już drogę naprzód wyznaczył, całe poobiedzie nie oszczędzając koni kłusowali, byle się coprędzéj do granicy, do Tarnowskich gór dostać...

Nie spotykali na gościńcach prawie nikogo oprócz wieśniaków pieszych, bo się każdy z koniem i wozem lękał pokazać, aby go nie pochwycono pod prowianty i ciężary... Ciurów z dala tylko napatrzyli, na drodze się im żaden nie trafił. Bliżéj granicy mniéj było spustoszenia znać... Chcieli i na noc ciemną się puścić, żeby prędzéj do celu pospieszyć, lecz konie zgoła ustały... Noclegu należało szukać, a i o ten nie łatwo było.

Trafiła się przecież gospoda niezła, a choć do niéj już był ktoś wprzód zajechał, miejsca na obu stało... Od ludzi dowiedział się Pełka iż podróżnym był pan wojewodzic sieradzki Przerębski, który z Głogowa powracał...

Przypomniał sobie zaraz ojca, bo nie wątpił, iż ten być musiał jego synem... i mocno zapra-

gnął zobaczyć go, a choćby i o króla Jegomości popytać.

Nie było tam izby osobnéj, siedział więc starosta w wielkiéj, która wszystkich przyjmować musiała, i tu go Pełka znalazł nad jajecznicą, którą sobie w braku innego przysmaku usmażyć kazał.

— Czołem!

— Czołem! Przywitali się grzecznie i prezentowali po imieniu, nazwisku i tytułach.

— Pan starosta z Głogowa.

— Tak jest — rzekł Przerębski.

— Jużci też o króla Jmości wolno spytać, do którego i ja jadę...

— Zdrów król i pilno się stara poratować Rzeczpospolitę...

— A jak tam słychać o posiłkach dla Krakowa?..

— Nie wiem zkądby je wziął — rzekł starosta — a przynajmniéj tak prędko gotowe nie będą.

Jako młodzi zbliżyli się do siebie łatwo, starosta też był człek dobroduszny i nie lubił nic w sobie zamykać, spowiadał się łatwo... Mówił o dworze królowéj i kto tam przy niéj był z kobiet, a kto przy królu z senatorów... wygadał się téż z panią podczaszyną Pociejową.

Pełka, który o tém szczęściu nie wiedział, a przynajmniéj wcale go nie był pewnym, żeby ją tam miał zastać, aż z radości wielkiéj w ręce uderzył i lice mu pokraśniało, i oczy błysły, a staro-

sta tylko spojrzawszy nań łatwo poznał, że się tam coś musiało święcić.

— Znasz waćpan podczaszynę? zapytał.

— Sąsiadkę moją najbliższą — odparł Pełka — i ją, i pannę podczaszankę... jak nikogo lepiéj.

— Winszuję więc waszmości, że je obie znasz, bo i panna piękna, i matka jeszcze cale świeża i miła — któraż to z nich taką obudza w waszmości panu z widzenia nadziei radość?

Zarumienił się Pełka.

— Gdy mnie waszmość pan schwycił *in flagranti delicto* ukontentowania, rzekł, taić się nie będę, iż jestem wielbicielem panny podczaszanki...

Uśmiechnął się pan starosta dziwnie.

— W takim razie słusznie się waszmość spieszysz, rzekł, bo *periculum in mora*... trafisz pono na wesele...

Jak piorunem uderzył w Pełkę tą wiadomością, który pobladł i ręce załamał...

— To nie może być — krzyknął. Nie! to być nie może. Za kogo?

— Radbym, żeby to być nie mogło, ale niestety! mało mam nadziei, abyś to waszmość lub ktokolwiekbądź mógł przerobić. Zaswatał pannę podczaszankę rodzony mój, pan wojewoda sieradzki...

Milczał Pełka, słowa wymówić nie mógł, a starosta ciągnął daléj:

— Przynajmniéj tyleż ja, co wy miałem ochoty małżeństwa tego niedopuścić, a czyniłem co mogłem. Z rodzicem jednak wojować trudno, musiałem na łaskę Bożą zdać... i wyjechać.

— Podczaszyna śmiałaby jedyne dziecię zmuszać? przerwał Pełka...

— Jakto! zmuszać? mówił starosta — ale ja i *de visu* i *de auditu* mogę waszmości zaręczyć, że panny zmuszać wcale pono nie potrzebowała... Pan wojewoda ją klejnotami i cackami jak małe dziecko przekupił...

Zmilczał Pełka rzuciwszy się na ławę, a choć nie zdawało mu się, by za jego przyjazdem rzeczy się zmienić nie miały — serce mu się ściskało, w głowie nie mogła pomieścić płochość niewiasty tak młodéj jeszcze i tak niezepsutéj życiem. W przekonaniu jego matka wszystkiemu winna być musiała, nie chciał już jednak o tém mówić z równie jak sam był rozżalonym starostą. Siadł na uboczu i o mało nie płakał, a burzył się i gniewał tak, że łamał cokolwiek wziął w ręce...

Z noclegu podług obrachunku było jeszcze dla konnych półtora dnia drogi. Postanowił nocą, gdyby się cokolwiek nad ranem wyjaśniło, wyjechać, a konia nie szczędząc, stanąć jak można najrychléj w Głogowie, témbardziéj, iż starosta o weselu wyrażał się, iż rychléj jutro niż za tydzień być może, bo wszelkie ku temu starania poczynione były, a przyznał się, że wojewoda mu wioskę darował,

byle sobie jechał precz i do zaślubin mu nie przeszkadzał... Nie chcąc wioski postradać starosta, ozdrowiał prędko i w podróż się puścił donacyę *in perpetuum* w kieszeni wioząc z sobą. Z rzeczy publicznych mało ze starosty wyciągnąć było można. Ociężałéj natury, obojętny dość — niewiele się o nie troszczył i prawie mu wszystko było jedno kto w Rzeczypospolitéj panował, byle łanowego niewiele płacić, a w domu mieć spokój.

Pożegnali się tedy idąc oba na siano, a Pełka przededniem, o drugich kurach zbudzić się kazał. Niepotrzebna ta ostrożność była, gdyż wszystkie kury śpiewające słyszał i oka nie zmrużył, a wzdychał tak, że towarzysza nieopodal zasypiającego, mógł zbudzić. Starosta zaś miał sen twardy i to go tylko ocaliło...

Piały koguty i na niebie zaczynało być gwiazdzisto, a mróz ścinał błoto, gdy Lejbuś przyszedł go zbudzić i zastał wcale nieśpiącego. Polewki grzać o téj porze, ani było myśleć, wyjechali więc naczczo, korzystając z tego, że jeszcze gruda była nie stanęła i pod końmi się łamało. Nim dzień się począł robić dobry, kawał drogi ubiedz się i udało, i o świcie popasać. Już tedy i granica była pod bokiem i kraj spokojny, a przed nocą, bliższemi drogi, o które się rozpytali, spodziewali się być na miejscu. Przeszkadzała tylko droga, dla której konie na ostro przekuć musieli, co parę godzin ich kosztowało...

Lejbuś, mający przytém jakiś handelek na myśli, trzymał się już bez potrzeby pana Pełki, chcąc z nim razem powracać... Rad był téż o cudzym koszcie trochę kraju zobaczyć, a że wszędzie szwargotał wiele, dużo się téż pewnie nauczył. Noc zapadać zaczynała, gdy im się mury Głogowa pokazały... Uderzyło serce Medardowi smutném przeczuciem, zasapanym koniom nie dawano chwili spoczynku, póki w ulice nie wjechali.

Zdziwiło niepomału Pełkę, że w téj porze Tum ujrzeli oświecony i około niego dosyć nagromadzonego ludu ciekawie się jakby nocnemu nabożeństwu przypatrujący. Kolasy paradne stały przede drzwiami kościoła... Tknęło to bardzo Medarda, który téż ciekawością wiedziony, do pierwszéj gospody naprzeciw Tumu pod rakuzką koroną zajechał. Pełno i tu zastał polskich sług a dworny różnych państwa, którzy snadź przy królu bawili. Izbę mu przecież dano z oknami od rynku i ulicy, tak, że się mógł zaraz owéj kościelnéj paradzie, którą za pogrzeb wziął — przypatrzeć...

Już stał w oknie od kwadransu, gdy od bocznych drzwi Tumu kolasy i konni ruszać się zaczęli, a posługacz wchodzący właśnie oznajmił mu, że to nie był pogrzeb, jak się domyślał, ale owszem wesele możnego polskiego pana, który z młodziuchną żenił się dzieweczką, a ci, co piękną narzeczoną u boku jéj przyszłego męża widzieli, żałowali wielce... biedaczki...

Dość było tych wyrazów kilku Pełce, żeby się smutnéj prawdy domyślił — trafił więc na sam wieczór weselny, i na pogrzeb swych młodzieńczych nadziei. Posługacz oznajmił mu téż, iż wesele królestwo oboje na zamku sprawiali dla młodéj pary.

Cóż miał czynić? Jął się najprędzéj jak mógł przebierać, aby przed królem stanąć... musiał na zamek iść... Chciał mieć tę pociechę, by choć niegodziwéj matce w oczy wyrzucić, iż dziecię nieszczęśliwém uczyniła...

Burzyło się w niém od gniewu, nie mógł bowiem przypuścić, ażeby śliczna Jadwisia, która mu rzuciła wstęgę, odebrała przysięgę, i tak go pożegnała serdecznie... mogła go nie kochać lub zdradzić. Na matce pomścić się chciał... krew w nim kipiała młoda... Sam do siebie mówiąc, chwytając się, spiesząc, nie wiedząc jak przywdziać, bo i nie bardzo wiele miał do wyboru — Pełka w odzieży skromnéj pobiegł na zamek coprędzéj.

Tu tłumno było i jasno, a że i królowa gościła na nim i król, i z nimi wielu senatorów i dwór dosyć liczny, ledwie się przezeń docisnąć było można. Od znajomych ze dworu króla dowiedział się już w bramie, że w istocie sprawiano wesele pannie podczaszance z wojewodą sieradzkim, i że jeśli pilnéj sprawy nie miał, lepiéjby uczynił, gdyby nazajutrz dopiero o posłuchanie prosił; król bowiem

nie rad był, gdy mu chwilę dobréj myśli przerywano.

Medardowi szło i o to, by się przy téj zręczności na pańskie wcisnąć pokoje — zobaczyć straconą dlań Jadwisię i przekleństwem rzucić na jéj matkę... Oznajmił więc przy królu bawiącemu ochmistrzowi dworu, że przybywa z poleceniem pilném od pana kasztelana kijowskiego z Krakowa i z królem się dziś jeszcze nie tracąc ani godziny widzieć musi, bo ważne ma powierzone sprawy.

Obskoczono go zaraz rozpytując się o Kraków i co się tam z nim działo, nie miał wszakże ochoty Pełka zwierzać się niczego i zbył małém natrętów. Kazano mu się przed pokojami zatrzymać...

Stał biedny... słuchając z dala grającéj kapeli i poglądając na przesuwające się strojne panie. Nie dano mu tu długo pozostać, wzięli go bowiem zaraz do izby królewskiéj, gdzie król na siebie czekać kazał, oznajmując, iż za chwilę nadejdzie.

W sklepionéj staréj gotyckiéj komnacie, która może Konradów i Henryków Piastów pamiętała — mieszkał teraz król wygnaniec. Na stole jego stosami leżały pootwierane listy, z boku stał klęcznik z obrazem N. Panny, a w drugim końcu dla karłów nizka ławeczka i dziecinny stolik... Dwie świece jarzące w ciężkich lichtarzach srebrnych postawiono pośrodku... Z dala dolatywały dźwięki wesołéj muzyki, a zegar leżący przy łóżku pańskiém,

osłonioném pawilonem, głośno szeptał upływające minuty... Nagle drzwi od wewnętrznych sal otworzyły się, i karły ze świecami wbiegły poprzedzając N. Pana, który szybkim krokiem, szukając oczyma posła, kroczył niespokojny.

Spojrzał na Pełkę...

— A to waszmość? zawołał — zapomniałem jak się zowiesz?

— Pełka — N. Panie...

— Tak jest, tak twarz sobie przypominam, wyrwałeś mi się z Bielan w smutnéj godzinie. Któż cię tu przysyła? masz listy? co się dzieje?

— Jechać mi kazał co najrychléj pan Czarniecki chwili nie tracąc, com téż uczynił życie ważąc i przez obóz szwedzki się przedzierając...

— Trzyma się dzielnie Kraków? wiem! Niech wam Bóg błogosławi...

— Pan kasztelan oznajmić mi każe, iż żywności my nie staje, prochu braknie, ołowiu omal ma, ludzie giną... Kościołów kilka spalił Szwed, kilka my sami musieliśmy. Karmelitański na Piaskach ze słynącym łaskami obrazem w perzynie...

— O mój Boże! zawołał król, ręce łamiąc.

— Odsieczy błaga pan kasztelan, odsieczy jak najrychléj — lub Kraków a raczéj ruiny jego wpadną w ręce nieprzyjaciela.

Mówił jeszcze, gdy drzwi też same otwarły się znowu i weszła — królowa...

Pełka nie widział jéj nigdy... lecz domyślił się w téj majestatycznéj, energii pełnéj, rozkazującéj, dumnéj, prawie pogardliwie na świat patrzącéj niewieście — królowéj. Szła po królewsku... patrzała jak wódz... wrażała poszanowanie i obawę. Król przy niéj, mimo wieku swego, wydawał się jakby strwożoném dziecięciem... Na widok jéj dał znak Pełce, by mówić przestał.

Królowa nie była już młoda i snadź o utrzymanie wdzięków swych nie troszczyła się wcale, a twarz jéj mimo to śladami wielkiéj, wspaniałéj piękności minionéj jaśniała... Czytać z niéj było można życie w zawodach przebyte, ciężkie, niezaspokojone, walk pełne. Smutek panował na czole, w oczach duma i wzgarda dla świata i ludzi, w ustach energia wodza.

— Z Krakowa? zapytała zwracając się do króla — cóż przynoszą z Krakowa? co mówi Czarniecki — to jeden człowiek co ma serce i głowę męzką.

Pełka milczał.

— Mów waćpan — odezwała się Marya Ludwika...

Poseł spojrzał na króla, ten stał zafrasowany, jakby nie wiedząc czy ma mu zabronić mówić, czy nakazać.

— Mówże waćpan bez ogródki — dodała królowa... tyle złego mamy do zniesienia, że już téj

kropli goryczy, jeśli jeszcze ma być dodana, nie poczujemy w kielichu.

Zbliżyła się mówiąc to, stanęła wpatrując się w Pełkę, i powtórzyła łagodniéj:

Jam téż królowa, mnie jak N. Panu, prawda należy cała... Co przynosisz...

Zmieszany król dał znak Pełce, by mówił.

— N. Pani — odezwał się poseł — nic dobrego w istocie nie przynoszę. Kraków się broni bohatersko, z poświęceniem, lecz przeciw potędze króla Gustawa wytrzymać nie może... Głód go zmusi do poddania, kul mu i prochu zabraknie... Trzymać się będzie do ostatka, ruinami otoczony, gruzami zasypany... lecz w końcu się poddać musi. Kasztelan błaga odsieczy — odsieczy co prędzéj...

Zmarszczyła brwi królowa.

— Czegoś innego spodziewaliśmy się po takim żołnierzu i wodzu jak Czarniecki, zawołała z niechęcią... Nie miałże czasu przysposobić żywności... nie mógł wyrzucić za mury gęby niepotrzebne... To są zwykłe wojny ofiary... Kraków się musi trzymać, musi się obronić... poddanie się Krakowa będzie zdradą, będzie zbrodnią...

— N. Pani — rzekł Pełka — posłem jestem, nie moja rzecz sądzić o tém, lecz dzień i noc przy boku Czarnieckiego, który dwa razy ciężko był ranny i gębę ma przestrzeloną, a życie cudowi jest winien — dzień i noc obchodziłem mury, dzień i noc patrzałem na męztwo żołnierzy i mieszczan,

na wyczerpujące się siły, zapasy... na rosnącą siłę nieprzyjaciela... Kraków upadnie... chyba go cud ocali...

— Cud? męztwo niech będzie tym cudem... Czarniecki nie powinien siedzieć w murach, ale rzucić się ze swemi na nieprzyjaciela...

— My nie mamy czterech tysięcy, on ich ma dwanaście, więcéj może...

— Ale wy bronicie gniazda waszego, świętości waszych — zawołała królowa. Kraj dokoła wasz...

Pełka spuścił głowę...

— Posiłków? odsieczy? mówiła daléj zaczynając się przechadzać zamyślona — tak — mamy nadzieję — pewność, nadejdą... lecz na to trzeba miesięcy...

— Kraków na tygodnie już chyba mierzyć może obronę — rzekł Pełka.

Marya Ludwika odwróciła się patrząc z podwojoną niemal wzgardą na młodzieńca, który zapłonął pod piorunującym jéj wzrokiem...

— Z tém więc waćpana przysłał kasztelan kijowski? nie dziwiłabym się, gdyby to uczynił Koniecpolski — Lanckoroński, ale on? ten żołnierz, rycerz, bohater, w którym jednym pokładaliśmy nadzieję — on... Po cóż więc was miał przysyłać?

— Myśmy się dotąd łudzili nadzieją posiłków — odsieczy, obiecywano nam Tatarów... wojska cesarskie...

Uśmiechnęła się z politowaniem królowa.

— Dosyćby było tych zdrajców, co przeszli do Gustawa, a nie potrzebowalibyśmy obcych... Do ich liczby mamyż dodać i Czarnieckiego?

— A! pani — z oburzeniem odezwał się Pełka... byłoby najczarniejszą niewdzięcznością nawet posądzić tego człowieka... Dzień i noc, bez spoczynku, czuwa, bije się... krew przelewa... jest wszędzie, otuchę daje, choćby w sercu miał rozpacz...

— I ja miałam go za bohatera — przerwała Marya Ludwika — lecz jakże on — on — śmie przysyłać z groźbą taką?..

— Pani, odezwał się Pełka. Krakowa już gruzy zostały i zgliszcza — lecz i te oszczędzić się godzi... to świętości reszta, a ten lud, ci mieszkańcy...

— Kraków? gwałtownie zaczęła królowa — cegła i gruzy, lud?.. Cóż mi ta ludu kupka... honor Rzeczypospolitéj ratować trzeba... Patrz waćpan — dodała, my się tułamy... wyście nas, króla swojego, pomazańca bożego zdradzili. Wstyd to i sromota dla narodu! Obmyć się z nich należy... choćby we krwi...

— Leje się ona obficie — rzekł Pełka... lecz czyż ja mam bronić wodza... jam listem jego... i sługą...

Król z rękami złożonemi na piersiach słuchał rozmowy. Gdy Pełka zamilkł a królowa rzuciła się

w krzesło, począł rozpytywać o szczegóły... Medard nie unosząc się już, z zimną krwią wyliczał mu ofiary, opisywał wycieczki, rachował szkody, opowiadał o kasztelanie, o Szwedach, o ich obozie o poświęceniu młodzieży i mieszczan... o sile nieprzyjaciela...

Milczała posępnie królowa, nie odzywając się więcéj, potém wstała nie patrząc na Pełkę, i tym samym krokiem majestatycznym, powoli wyszła znowu na pokoje, sam na sam z nim króla zostawując...

— Mości Pełko — odezwał się król, kiedy ci kazano z powrotem?..

— Natychmiast — N. Panie.

— Więc jutro... Tak! jutro listy będą gotowe...

— Ja tylko ustny rozkaz W. K. Mości wziąć mogę; przejście przez obóz nieprzyjacielski jest zbyt niebezpieczném, bym się ważył pismo królewskie nań narażać.

— Tak więc jutro, po radzie... odpowiedź weźmiesz waćpan słowna.

Skinął mu ręką... i skierował się z wolna ku drzwiom, potém zwrócił ku Pełce.

— Zabaw się waszeć... wesele i skrzypki na zamku... wnijdź tam... popatrz, należy ci się to za tak ciężką posługę... Młodemu wesele daje siły...

N. Panie, odparł Pełka, chyba na cudze patrzyć będę, bo w duszy mam jeszcze Krakowian jęki, i nie łacno mi o wesołość.

Jan Kazimierz popatrzał nań chwilkę.

— Idź waćpan gdzie i drudzy... rozerwij się. Zatém rękę mu dał do pocałowania, a sam usiadł w krześle i sparł głowę na dłoni. Pełka wyszedł.

Ani strojem, ani humorem nie nadał się wprawdzie do tego wesela, przecie je widzieć pragnął. Wmieszał się więc w tłum, który u pierwszych drzwi zalegał przypatrując się jak dostojniejsi, pierwszy polski taniec odbywszy, zabawiali się stojąc przed paniami i wesoło z nimi żartowali. Zdawałoby się to niepodobieństwem, aby się ludzie znaléźli do tanów i hulanki, w chwili gdy kraj najazdem zniszczony, gruzami się okrywał, a garść obrońców rozpaczliwie walczyła wołając ratunku — przecież było tu dosyć wesołych twarzy i skrzypaki szlązkie grały od ucha, a nogi podrygiwały... Wiele pań strojnych otaczało królowę, wiele panien wesołych kręciło się po sali rzucając na dworzan zalotnemi oczyma... Pełka szukał jednéj twarzy, spodziewając się znaleźć ją smutną i załzawioną. Pierwszy rzut oka jego napotkał podczaszynę, która zdawała się chcieć dnia tego współubiegać z córką i młodszemi kobietami o wdzięki i świeżość. W istocie, mimo bujnego rozwinięcia była olśniewająco piękna i wspaniała, z białemi ramiony wśród koronek gniazda, z suknią czarną,

na któréj guzy z drogich kamieni połyskiwały, z pióropuszem na głowie osadzonym dyamentami, łańcuchem misternym na piersiach i szytą złotem chusteczką w ręku...

Rojem za nią szli młodzi i starsi panowie, do których się tak ochoczo uśmiechała, odcinając ich żarcikom, iż łacno było poznać, jak się czuła dnia tego tryumfującą i szczęśliwą. Na białe jéj czoło spadała od opaski piękna perła w kształcie kielicha kwiatu, który listkami brylantów był ujęty. To bogactwo i wykwintność stroju niczém były przy barwie twarzy, blasku oczu, świeżości ust i perłowych ząbków pani podczaszynéj.... Wesele promieniejące z niéj oburzyło w najwyższym stopniu wpatrującego się w nią Pełkę... Szukał oczyma ofiary...

Podczaszanka siedziała daléj trochę na honowém miejscu między paniami... Lecz jakież było zdumienie biednego Medarda, gdy ją ujrzał roztrzpiotaną, śmiejącą się, szczęśliwą a tak dumną sobą i pyszniącą się swą pięknością, jakby ani przeszłości, ani nikogo w niéj nie żałowała.

Była cudnego uroku dzieweczka, któréj się wszyscy jak obrazowi idealnemu ręką mistrza stworzonemu, przypatrywali, kołem stojąc przy niéj... i cisnąc się, by ją lepiéj zobaczyć. Mąż w przepysznym ubiorze od złota i karbunkułów, sparty o poręcz jéj krzesła, napawał się i wdziękiem poślubionéj, i jej tryumfem... Pan wojewoda, trzeba

mu to przyznać, umiał na ten dzień prawie sobie młodości pożyczyć, i niktby mu był jego wieku nie dał... tak świeżo się trzymał, a nadewszystko tak zręczną miał i elegancyi pełną postawę...

Jadwisia, to napawała się uwielbieniem, które obudzała, to zwracała czasem ku mężowi z minką wdzięczną i wyzywającą... Wystrojono ją jak laleczkę, a raczéj suto sama dobrała sobie ubioru na dzień weselny. Suknia z lamy białéj ze złotem okrywała ją, łamiąc się w świetle wieczorném kryształowemi blaski... Oszycia były z dyamentów, ozdoby z koronek złotych... na głowie dyadem iskrzący, na szyi sznur dyamentów, takiż pas u sukni, takież u rączek spięcia...

Żaden ołtarz na odpust nie bywa staranniéj obwieszony błyskotkami, jak ona dnia tego.... Patrzała téż na się w zwierciedle i uśmiechała się sobie, patrzała na się w oczach młodzieży się przeglądając... cieszyła sobą, czuła anielsko piękną...

Włosy utrefione spadały na jéj bieluchne marmurowe ramiona... przeplecione sznurami kamieni... i zielony bukiet tylko ciemniéj na całéj postaci sam jeden się odbijał. Król, królowa, liczni goście obcy i swoi, po drodze tłumy... nie mogły się odchwalić narzeczonéj — a wielu powtarzało, że jako żywi podobnéj nie widzieli piękności.

Wiedziała téż dobrze o tém... i była zupełnie szczęśliwą... najmniejszéj chmurki smutku nie było

na jéj czole, w oczach najmniejszéj tęsknicy... Śmiała się światu, życiu, sobie... wszystkim... Była i czuła się królową. Pełka patrzał na nią oślepły, oniemiały, zapomniawszy co się z nim dzieje, oczom swym nie wierzył... w sercu czuł jakby lodowy uścisk rozczarowania.

Jadwisia nie widząc go, śmiała się wojewodzie, który całował podawaną mu i wyrywaną rączkę... Nikt nie przerywał trefnych tych pierwszych małżeńskich swawoli... tylko królowa z pewném politowaniem spoglądała na nie i brew jéj marszczyła się nieznacznie, jakby przypomnieniami zawiedzionéj młodości.

Pełka skamieniały stał tak, nie czując jak go popychano, jak nim rzucano, jak go nadpływający tłum wysunął naprzód ku sali... i jak jego skromny a ubogi ubiór żołnierski zwracał wszystkich oczy. Mogła się do tego i piękność młodzieńcza przyczynić i smutek a ból w dziwnéj sprzeczności będący z usposobieniem całego towarzystwa otaczającego, w godowych szatach i z twarzami godowemi...

Miotano nim, aż się znalazł u okna ku środkowi postawiony, sam nie wiedząc jak, wystawiony na ciekawe wejrzenia pań i panów, którzy się po cichu dopytywali co to za jeden, tak widocznie obcy, wcisnął się na królewskie pokoje.

W téj chwili postrzegła go téż chodząca z wachlarzem w ręku podczaszyna — i obejmująca wzrokiem wielbicieli swych młoda wojewodzina... Oczy

jéj zatrzymały się na nim z osłupieniem i trwogą jakąś, z niedowierzaniem, zdawało się, że w pierwszéj chwili chce się zerwać i pobiedz, lecz wstrzymała się zaraz zarumieniona i odwróciła główkę zmuszając do nowych uśmiechów.

Podczaszyna przeciwnie zobaczywszy go, stanęła, zmarszczyła się gniewnie, i po namyśle krótkim, krokiem śmiałym skierowała się wprost na niego.

Pełka nie widział tego, bo cały był zatopiony w Jadwidze... bo w myśli ciągle powtarzał: Co się z nią stało? jestże tą samą? onaż to?...

I machinalnie dobywszy z za sukni niebieską kokardę, przypiął ją u boku...

W tym krótkim przeciągu czasu, gdy go popychano, gdy nieprzytomny dawał się nieść tłumowi odedrzwi, Pełka cały w sobie, przebolał więcéj niż dotąd w życiu niedługiém... Pierwszy raz zobaczył smutną, odwrotną stronę charakteru ludzkiego, kobiecego... Buchnąłby był gniewem, gdyby miał na kogo, lecz ta rozpacz i passya uśmierzyła się i zmieniła w ironię gorzką. Poczuł, że gniewby był zwycięztwem dla podczaszanki i jéj matki — a nie chciał się dać pokonać. Postanowił więc nie dać poznać po sobie co się z nim działo... i gdy piękna podczaszyna przystąpiła doń zacinając i sznurując usta, ujrzawszy ją, powściągnął się już i był panem siebie.

Nie ma straszniejszego nieprzyjaciela nad kobietę wzgardzoną, to téż w oczach podczaszyny

gniew się malował, duma i obietnice zemsty wiekuistéj...

— Cóż waćpan tu znowu robisz? — zawołała... na wesele Jadwisi przybyłeś widzę, aby mi powinszować, że ją tak dobrze za mąż wydałam... boć cieszyć się musisz jako wszyscy.

— W istocie, pani podczaszyno, — rzekł dosyć umiarkowanie Medard — patrzę, dziwuję się i cieszę, i winszuję pani. Stosowniejszéj partyi znaleźć było niepodobna, bo i wieki i humory, jakby dla siebie stworzone... Wojewoda młodziusieńki i włosy ma dziwnie pięknéj czarności... Mówią, że mu alchemik jakiś sprzedał elixir odmładzający, bo są ludzie co go lat dwadzieścia takim znają jak jest dzisiaj, syn, którego miałem szczęście na drodze spotkać, dalipan starszym od niego wygląda.

Zarumieniła się mocno podczaszyna, nie spodziewając się tak śmiałéj mowy, zarumieniona twarz Pełki była tak piękna, miał postawę tak szlachetną... że się przy nim czuła, sama nie wiedząc czemu, upokorzoną i maleńką.

— Wieleś się asindziej w wojsku nauczył, a szczególniéj retoryki jak widzę, — odpowiedziała z przekąsem. — Jeśli myślisz, że mnie metryką wojewody zastraszysz, mylisz się panie Medardzie. Mężczyzna młodym jest póki się na nogach trzyma, a pan wojewoda jeszczeby niejednego z was młodych przeskoczył.

— Zupełnie wierzę — roześmiał się Pełka — dał tego dowód... Musiał od tego samego alchemika który mu odmładzającą sprzedał wodę, i elixir *amoris* dostać, bo panna podczaszanka zdaje się bardzo szczęśliwą...

Podczaszyna patrzała gniewnemi oczyma wciąż na Medarda, i dostrzegła w końcu u boku jego przypiętą niebieską kokardę. Znała bardzo dobrze tę wstążkę...

— Gdzieżeś to waćpan pochwycił ten węzeł, który tak czule na piersi nosisz? — zawołała — i chwalisz się nim?

— Nie chwyciłem go, pani podczaszyno, był mi z dobréj woli dany, piękną rączką białą, noszę go na sercu i wydrzeć sobie nie dam, choćby się ta rączka innemu dostała...

— A któżby ci kawałek zbrukanéj wstęgi chciał odbierać, mój kawalerze — odezwała się szydersko podczaszyna — noś go sobie i pieść się nim, gdy inny rączką będzie się pieścił... tyle pociechy...

Pełka uśmiechnął się.

— Pani podczaszyno — zawołał — jestem młody, mam przed sobą czasu dosyć, cierpliwości wiele, a miłość gorącą. Gdyby mi inny wziął co ja za swoje uważam, za wygraną mu nie dam... mogę czekać... a któż wie co jeszcze wypaść może.

— Trzeba tylko, żebyś się waszmość dobrze z siłami obrachował — rzekła z gniewem podczaszyna. — Możesz trafić na możnego człowieka,

który ma na zawołanie i ludzi, i grosz, i przewagę... gra niebezpieczna...

— Od czasów Dawida, pani podczaszyno, Goliatów się maluczcy bać przestali, — rzekł Pełka.

— Widocznieś się w Krakowie retoryki uczył, zamiast prochu wąchać — dokończyła podczaszyna, odwróciła się od niego, odeszła parę kroków i przyszła doń znowu.

— Miałeś szczęście w ręku — rzekła cicho drżącym głosem — widzisz, żem przecie u dworu i króla dobrze położoną, mogłam cobym chciała... przyśniło ci się szaleństwo... zachciało ci się dziecka... nie będziesz miał nic i zginiesz marnie... na dworze, powiedz to sobie wcześnie — nie dokażesz nic. Znajdzie się komu stołka ci podstawić.

— Moja mościa dobrodziejko — rzekł Pełka gwałtownie — żaden z moich u dworu nie szukał krescytywy, i ja téż nie będę... Za stołekbym podziękował chyba... bo tu miejsca nie zagrzeję...

Skłonił się ze śmiechem...

W chwili, gdy ta gryząca, krótka, urywana rozmowa toczyła się między nimi, a podczaszyna umiała ją prowadzić tak misternie twarz przybierając obojętną, iż niktby się był treści jéj nie domyślił — królowa przechodziła salę.

Pełka widział ją tu po raz drugi, a teraz w blasku świateł, w tłumie kobiet, do których ją mógł przyrównać — większe jeszcze na nim uczyniła wrażenie. Było w téj niewieście takiego coś, coby ją

nawet dla tych, którzy jéj nie znali, czyniło wielką i niepospolitą. Znać było nietylko wielkiego rodu panię nawykłą od kolebki do rozkazywania, lecz niewiastę mężną, na wodza stworzoną. Wdzięk twarzy jéj zgasiły lata, a lice jednak wśród świeższych i piękniejszych panowało majestatem. Miała w sobie coś mezkiego i dziwnie śmiałego... Na jéj czole znać było klęskę Polski i upokorzenie królewskiego domu... Chciała się uśmiechać a nie mogła... z politowaniem patrzała na tłum lekkomyślny.

Zobaczywszy Pełkę, którego poznała... skinęła nań aby się zbliżył. Rzucił więc gniewną podczaszynę i z uszanowaniem zbliżył się do Maryi Ludwiki...

— Jutro waćpan odjedziesz — cicho odezwała się roztargnionym wzrokiem wodząc po sali i niekiedy oczy wstrzymując na nim — odemnie mów Czarnieckiemu, niech się trzyma tak długo jak będzie miał chleba kawałek, prochu nabój... żołnierza jednego. Kraków się poddać nie powinien... Szwed naówczas królestwo całe mieć będzie w rękach... i uczyni zeń herezyi gniazdo... Nie kochacie więc wiary swéj... nie macie miłości dla krwi królów waszych?

Pełka zmilczał.

— N. Pani — odezwał się — to tylko zapewnić mogę, że pan Czarniecki miasta nie odda, chyba zmuszony ostatecznością, i że go mieszczanie sami nie dadzą, chyba im rąk na mury zabraknie...

— Posiłki przyjdą — rzekła królowa — my nad tém pracujemy... przyjdzie Chan, ruszy się Chmielnicki zyskany dla nas, pomoże cesarz... Nie dadzą zginąć temu królestwu... które w ręku Szweda dla cesarza téż niedobrym byłoby sąsiadem... Powiedz to Czarnieckiemu — i powiedz mu odemnie, że go błagam, że rozkazuję... że rzeczy się zmienić muszą, że fortuna oręża zwróci się na naszą stronę. Ten śmiałek pochwycił nas z garścią ludzi, winniśmy sami, winni zdrajcy, że nas wygnał... noga jego ujść nie powinna z téj ziemi...

Gdy to mówiła, oczy jéj zabłysły — gniew wzdymał pierś, ukoiła się powlókłszy białą ręką po czole i skinęła głową Pełce odchodząc...

— Powiedzcie to odemnie panu kasztelanowi Czarnieckiemu, on swemu imieniu sromu tego uczynić nie powinien... Odeszła... Wtém skrzypki się odezwały do polskiego tańca, i król sam wziął pannę młodą, wiodąc ją po sali...

Medard stał na samej drodze... Z bijącém sercem wpatrywał się w dziewczę strojne, wesołe, ożywione, które śmiało rzucało okiem ku niemu i na wskróś go przeszywało jak niegdyś, kiedy mu niebieską rzuciło kokardę. I widać było, że ją poznała na piersi swego rycerza, zarumieniła się z uciechy, a przechodząc tuż koło niego, skłoniła mu się główką i filuternie szepnęła:

— Witam pana...

Ani nawet mógł odpowiedzieć tak prędko mu zniknęła... W drugiéj parze szedł wojewoda z królową, która zamyślona patrzała gdzieindziéj, i dała się wieść nie wiedząc prawie kędy i dlaczego szła.

Gdy się skończył taniec, król posadził panię młodą i wprędce dał się od niéj odwieść innéj jakiéjś pani, która go natarczywie ścigała. Wojewodę zatrzymała Marya Ludwika, na chwilkę więc miejsce przy wojewodzinie było opróżnione. Pełka z wielką zręcznością potrafił się przecisnąć i zbliżyć ku niéj.

— A! także m to ja panię méj wstęgi i mojego serca znaleźć się spodziewał — zawołał żywo przystępując — mogłażeś pani dać się zmusić...

— Ja? zmusić? — śmiejąc się odparła Jadwisia — a któżby mnie zmuszał...

— Więc pani go kochasz?

— Ja? kogo? mojego męża? — śmiejąc się zawołała młoda mężatka — ja? kocham? ja go bardzo lubię... to dobry człowiek! taki wesoły! taki wspaniały! tak śliczne mi porobił prezenta! A! żebyś pan widział mój sznur rubinowy, moje perły i kanaki... I szalenie rozkochany we mnie..

— Panno Jadwigo — rzekł żywo Pełka — pozwól, że cię jeszcze nazwę têm imieniem.

— O! bardzo przepraszam! ja przecie jestem wojewodziną... żoną senatora...

— Pani — dodał Medard — jakżeś pani mogła mnie tak zdradzić?

— Ja? pana? zdradzić! a to doprawdy doskonałe! — rozśmiała się Jadwisia — jakimże sposobem?...

— Myśmy sobie przysięgli! — zawołał Pełka.

— My? co się panu śni? my? Pan mnie przysiągłeś, to prawda — ale ja? nigdy! Czyż pan myślałeś, że ja pójdę za niego?

Wymówiła te słowa z wymówką naiwną.

— Przyjęłam pana za mojego rycerza, pozwoliłam się panu uwielbiać i kochać — bo to było bardzo zabawne... ale żebym miała iść za pana?

Rozśmiała się serdecznie.

— Ja przecie musiałam pójść za wielkiego pana i za senatora. Matunia mi to mówiła od kolebki, a trudnoż było czekać aż pan nim zostaniesz. Zapewne, gdybyś był panem, jakim księciem, wojewodą i bogatym, wolałabym go... lecz przecie nie mogłeś chcieć, abym kury hodowała i pilnowała prządek. A pfe!

Zaczęła się śmiać, Pełka stał tą naiwnością dziewczęcia zdumiony; zasmucony, zdrętwiały...

— Pani — rzekł po chwili — widzę, żem się w wielu omylił rzeczach... na wielu sentymentach... dziś nie pozostaje mi nic, tylko życzyć jéj, byś była szczęśliwą...

Jadwisia zwróciła się ku niemu wesoło.

— Widzisz pan, tak — to ładnie i dobrze.

— Lecz gdybyśkolwiek zapłakała nad swym losem... gdyby ci kiedy pomoc i dłoń była potrze-

bna... gdyby twój sługa i rycerz, który ci przysiągł do zgonu i nie czuje się wolnym od przysięgi... mógł ci się zdać na co — przypomnij go sobie... A! pani! pani! ja tak kochałem...

— Przecież pan dla tego, że ja za mąż idę, nie masz wcale potrzeby przestać mnie kochać, — z wielką seryą i minką poważną mówiła Jadwiga — kiedy to i panu i mnie czyni przyjemność. Któż panu broni? — przeciwnie, ja bardzo — o! bardzo go proszę, abyś mnie kochał i był zawsze mym wiernym rycerzem... O! ja o panu nie zapomnę... Pamiętam te nudne, długie dni w Horbowie, kiedyś pan do nas przyjeżdżał i tak na mnie patrzał, patrzał takiemi oczyma... że mi się jakoś robiło w duszy dziwnie, niespokojnie... miło... Czasem nawet przez okno wyglądałam pana i tęskniłam. Widzisz pan... nie możesz mieć do mnie żadnego żalu...

Mówili tak, a Pełka schylony każde jéj słówko srebrnym głoskiem wyszeptane chwytał i niém się upajał, gdy wojowoda, którego królowa przytrzymywała, zobaczywszy przy żonie młodego, pięknego chłopca, żywo z nią rozmawiającego... a ubranego tak skromnie, iż na prostego towarzysza wyglądał, począł się dziwnie niepokoić. Radby był odbiedz co rychléj... a królowa mu właśnie wyrzucała z goryczą, iż województwo sieradzkie poddało się téż Gustawowi, i przypisywała mu tę winę i rozbudzała

go, by teraz, gdy dostąpił, czego pragnął, poszedł przecie spełnić swój względem króla obowiązek.

W istocie, przyszła była właśnie wiadomość o poddaniu się Sieradzan, i wojewoda zmuszony tłómaczyć się, stał jak na gorących węglach, przyrzekając, iż święcie spełni obowiązek.

Marya Ludwika, jak zwykle, gdy o sprawach kraju mówiła, nie mogła się powstrzymać... z goryczą, z niewyczerpanemi słowy powtarzała swe wyrzuty, przypominała obowiązki. Wojewoda stał na mękach, — wtrącić nie mógł słowa, pilno mu było wrócić do żony — gdy w tém jeszcze znalazł się i król Jmość i za królową Jmością jął mu toż samo wtórzyć mniej gorąco, nie tak wymownie, ale jeszcze rozwlekłéj.

Pełka tymczasem korzystał z tego momentu, który mu cud jakiś zesłał na pociechę i obsypywał Jadwisię słowy, któreby inną do łez może pobudziły. Wojewodzina uśmiechała się tryumfująco...

Wszystkich oczy zwróciły się na Pełkę i jużby może podczaszyna, która zapóźno postrzegła rozmowę córki, pobiegła była ją przerwać, gdyby wojewoda nareszcie wypuszczony łaskawie przez N. Pana, nie nadbiegł do krzesła żony...

Okiem starego zazdrośnika z dala już przebijał młodzieńca, w którym widział, domyślał się, czuł rywala... Zdyszany ze wzrokiem jadem zaprawnym, stanął przy Jadwisi, która z uśmiechem nań popatrzyła i odezwała się naiwnie.

— Nie znasz pewnie, wojewodo, tego kawalera — to nasz sąsiad najbliższy... Medard Pełka, mój bardzo dobry przyjaciel, wielbiciel i rycerz...

— Ach! odezwał się kwaśno wąsa wijąc pan wojewoda i z ukosa spoglądając na Pełkę — a! miło mi bardzo. Lecz zdaje mi się, żem już raz gdzieś go spotkał.

— W istocie, panie wojewodo, miałem szczęście widzieć go u podczaszynéj w Krakowie... a teraz niedawno w drodze, spotkałem syna pana wojewody... IMpana starostę, powracającego ztąd do domu, i mogę ojcowskie serce pana uspokoić o zdrowie jego...

Wojewoda nie lubił wspomnienia o tym synu... pobladł trochę. Pełka się domyślał, że mu dokuczy i wielce temu był rad.

— Prawdziwie, rzekł, ktoby to poznał w panu wojewodzie ojca tak dorodnego syna... Co to za szczęśliwe zdrowie, przy takim wieku tak zachowana młodość! Ani się téż dziwować, iż JW. pan pomyślałeś o ożenieniu...

Surowo spojrzał Przerębski na Pełkę, jakby mu groził za to zuchwalstwo, nie zmieszał go jednak wcale... owszem, im ostrzéj patrzał, tém kawaler pewniejszym był, że strzała utkwiła i po cichu mówił sobie: *Hic habet!*

— Prawda? przerwała Jadwisia z równém okrucieństwem przedłużając tę rozmowę. Mój pan mąż wygląda tak młodo... a tyle ma lat! tyle lat! Już

mnie mówili! Ale cóż to szkodzi? jeśli kto młody, wszak matunia wygląda jak moja siostra?

Chmurno zamyślony pan Sieradzki stał u krzesła, okiem groźném starając się dać poznać żonie, iż mu to paplanie było niemiłém. Była to pierwsza próba jego woli i potęgi, która się nie powiodła zupełnie. Piękna Jadwisia miała tę naturę przekorną, iż lubiła drażnić tych co dawali z sobą żartować... i dąsali się... Zobaczywszy kwaśne męża oblicze może po pierwszy raz w życiu, ciągnęła daléj...

— Pan wojewoda wygląda pięknie... wszyscy mu się dziwują... a ja pyszna jestem będąc macochą starszego odemnie syna! Nieprawdaż wojewodo, że on dużo jest starszy odemnie... ja mam lat piętnaście — a on dwadzieścia kilka! I wojewoda był już żonaty, kiedy mnie na świecie nie było. A! to przedziwne! powtarzała śmiejąc się.

Spojrzała na męża... Nigdy w życiu nie trafiło jéj się widzieć tak nagle, a tak strasznie zmienionéj twarzy... Oczy jego błyskały ogniem prawie dzikim, wargi drżały, czoło sfałdowało się i brwi zbliżyły ku sobie tak, że jedną linią nieprzerwaną zdawały czoło przekreślać.

Nagle ten udawany młodzieniec zestarzał — stał się przerażającym. Jadwisi słowa na ustach zamarły, popatrzała nań długo... Na tę chwilę nadeszła niespokojna podczaszyna, która całą grę fizyonomii pana wojewody dostrzegła i biegła na po-

moc nieopatrznemu dziecięciu. Pełka usunął się nieco od krzesła.

— Co ci jest? — szepnęła świekra wojewodzie. Ścięte usta długo przepuścić nie mogły wyrazu— wreszcie szepnął westchnąwszy.

— Zuchwały młokos... mościa pani...

Medard nie chciał uciekać przed podczaszyną, stał trzymając się w miejscu...

Zwróciła się ku niemu śmiejąc na pozór gniewna kobieta. Jak na pierwsze pole — rzekła półgłosem do niego — możesz się pochlubić, iż dosyć dokazujesz... Czy ci to zawsze równie będzie uchodzić szczęśliwie... za tobym nie ręczyła... Radzę waszmości być ostrożnym i nietyle ufać sobie... jeśli chcesz cały do pani wojskiéj i do Gołczwi powrócić...

Pełka się uśmiechnął pogardliwie prawie.

— Pan Bóg radzi o czeladzi — rzekł obojętnie — cokolwiekby mnie spotkać miało, mężném sercem znieść potrafię. Już to strachem ani gniewem Pełków nie biorą...

To powiedziawszy, zwrócił się i z wolna począł cofać ku wyjściu. Po drodze jednak zbyt wielu się jeszcze opowiadać musiał ciekawym, by mu tak rychło wynijść dano... Pytali wszyscy o Kraków, o Czarnieckiego, o Polskę... bo wiedzieli już zkąd przybywał. Nie było końca badaniom, na które zręczny Medard tak odpowiadał, ażeby coś rzec i z niczém się nie wydać, bo mu to było zale-

coném... Przyjaciół mu się swatało wielu, których grzecznie zbywać musiał.

Tak doszedłszy ku drzwiom i chwilę tu jeszcze postawszy... pijany bólem i gniewem, — wyszedł. Sklepienia tego zamku ciężyły mu nad głową, powietrzem jego oddychać nie mógł, muzyka wydawała się ohydną, wesołość zbrodniczą... rad był co rychléj uciec... Nie miał téż już co tu poczynać i do jutra był wolnym... Wydobył się ze dworu rozochoconego i swawolnego... a gdy się w podwórcu znalazł, obejrzał na oświecone okna i pomyślał jeszcze raz o straconéj Jadwisi, o niegodziwéj podczaszynie... o starym wojewodzie... porwała go rozpacz taka, iż jak szalony zbiegł już nie oglądając się pod rakuzką koronę...

Tu cicho było i bramy pozamykane tak, że się ledwie mógł dobić. Lejbuś spał w sianie za wszystkie nocy niedospane i doznane w drodze biedy. Pełka sam rozdział się i padł na łoże... Cisza ta i dalekie nawoływanie stróżów nocnych i w jego duszę wlała trochę spokoju.

Znużone ciało domagało się od niéj spoczynku, oczy mimowolnie zamykać się zaczynały...

Jak długo trwał sen przerywany, a raczéj marzenie, w którém Szwedów, zbójów, podczaszyny i wojewody było pełno... nie wiedział on sam gdy do bramy gospody wściekłym sposobem dobijać się zaczęto. Rozbudzony przeklinał spóźnionego czy zbyt rannego gościa, który w ostatku bramę sobie

otworzyć przymusił rozespanym — gdy ciężkie kroki i hałaśliwy głos dał się słyszeć w kurytarzu, drzwi jego izby otwarły się — wszedł pachołek niosąc w ręku dwie świece, a za nim ogromny mężczyzna wybrany jak do drogi, w którym Pełka poznał niedawno na dworze widzianego komornika królewskiego, odziedziczonego jeszcze po Władysławie, niejakiego Bochwicza, którego niewiadomo za co mianowano chorążym...

Znany to był na królewskim dworze człowiek z nieustraszonego męztwa, zuchwalstwa, umysłu przytomności, serca otworzystego, gęby wypaczonéj i wszelakich przymiotów i wad rycerza-szlachcica przypsutego życiem u dworu.

Spojrzawszy nań nie obiecywał wiele, chyba słusznym nad miarę wzrostem — za to cienki był jak tyczka, chudy, a twarz blada, długa, wymizerowana, zapadła, z wąsem skąpym... z oczkami jak u kreta, gdyby nie uśmiech poczciwy, byłaby okrutnie brzydką...

Najrzawszy w łóżku leżącego Pełkę — Bochwicz misiurkę zdjął i pokłonił mu się.

— Czołem ichmość panu.

Kwaśny był Medard i nie do żartów.

— Czy już w całym domu drugiéj izby nie ma, że mi chorąży zasnąć nie dajesz... a toć...

— Stój i nie klnij ani się dąsaj — bo będziesz gorącego słowa żałował. Przychodzę nie od siebie,

ale od króla... w poselstwie do was, a posłów tylko Turcy ścinają.

Pełka się podniósł na łokciu i westchnął.

— Duszo moja złota! gołębiu niewinny! począł Bochwicz, mający zwyczaj czcić tak przyjaciół, nieprzyjaciół najdrobniejszemi imiony — nie gniewaj się, ani na mnie, ani na pomazańca bożego, ani na świat i ludzi. Wiem to, iż masz serce poruszone i słuszną urazę do świata, Boga, ludzi, podczaszyny, wojewody, wojewodzinéj — ale nie racya, abyś mnie za to zabijał...

Wielkiemi oczyma, zdziwiony spojrzał nań leżący...

— Zkądże ta wiadomość? mruknął kwaśno...

— Kawalerze smutny — mówił Bochwicz — cały dwór aż do kuchtów królewskich wie o nieszczęściu twém; roztrąbiła je podczaszyna... rozniosły Eole na cztery strony świata. Żal mi cię... serdeczny, lecz — pocieszaj się, bo cały téż dwór z tobą trzyma przeciw wojewodzie...

— Lecz co to ma do rzeczy.

— Nic a nic — mówił Bochwicz... i zwrócił się do posługacza... Jeśli nie chcesz dostać obuczkiem między łoapatki, zaraz mi tu gąsior wina staw... Małmazyi jak najprzedniejszéj.

Posługacz wyszedł, Bochwicz siadł i mówił daléj:

— Kochany Pełko — trzeba szanować *mores et consuaetudines majorum*, a ty we śnie i w łóżku

szukasz pociechy?... Widział to kto? wypiłżeś co?

Pełka ruszył ramionami.

— Ojcowie, dziadowie, praszczurowie nasi, wiedzieli o tém i doświadczyli, że utrapienie się nie dusi, nie zabija, nie rozwiewa... i tylko skutecznie utopić je można, byle nie w wodzie... Napijemy się i jak ręka ci odejmie... powiesz sobie, że baba tego nie warta, aby człek dla niéj zdychał. Mówię niełądnie — ale — miły amancie prawdę szczerą...

Wesołość ta wcale pana Medarda rozruszać nie mogła.

— Mówiliście, iż król Jmość was przysyła? zapytał.

— Jakem żyw nie kłamię nigdy — dodał Bochwicz, chyba już obejść się bez tego nie można... W tym wypadku powiedziałem prawdę szczerą, król mnie przysyła...

— Z czém?

— Kazał mi z waszmością jechać i dostać się do Krakowa, trzyma bowiem o mnie, że się rychléj Szwedowi wywinę, bom do węgorza podobny... a powiada, że zawsze dwóch posłać bezpieczniéj niż jednego... aby z tych choć który do celu doszedł...

— Przecieżem się tu przedarł! rzekł Pełka...

— Właśnie dla tego, mogłeś waszmość szczęście swe wyczerpać, a ja mojego jeszcze nie...

— Jeśli tak, bardzom rad — rzekł Pełka...

— Ja téż... miły gołębiu mój, mówił Bochwicz...

W tém małmazyę wniosiono...

— Jeśli chcesz u mnie reputacyi nie stracić — odezwał się chorąży — musisz pić ze mną. Zobaczysz, że ci to będzie jakby plastrem na ranę serdeczną.

Pełka wiedział, że w takim razie nie było co się upierać przy trzeźwości zbytecznéj... Nalano lampki.

— Na zgubę starym grzybom, którzy nam młode dziewczęta biorą! zawołał Bochwicz... nam — najsłodszy z towarzyszów — mówię tylko, abym cię samego nie zostawił, chociaż ja osobiście nie jestem już interesowany... Dawnom z miłości pokwitował...

Pełka wzdychał.

— Nie wstrzymuj się — męczenniku serdeczny — rzekł Bochwicz — wzdychaj i klnij — to zdrowo...

Tym sposobem pozbywa się zbytniego sentymentu i na piersiach lżéj... pijmy! zdrowie bab... z wyjątkiem podczaszynéj...

— Mnie się zdaje, że jeszczeby się kilka podobnych znalazło...

— Ja na kilkadziesiąt nawet pozwalam, ale ekscypuję jedną...

— A! jeszcze chorąży nie zrezygnowałeś?

— Owszem, ale to, złoty baranku mój — to miłość taka jak do księżyca... albo, mosanie do

gwiazdy... Dla mnie kobieta... co się zowie, przed którą klękać jedna tylko na peryferyi ziemskiéj — królowa jejmość..: Czołem téj heroinie!

Pełka słuchał tylko, nie było mu co słowa wtrącać.

— O piękności nie mówię, chociaż — chociaż mówił Bochwicz — ja widzę dziś jaką ona była, kiedy młodość miała — ale piękność u kobiety — furda — mości panie... krokodylu mój dyamentowy. Każda kobieta co chce i umie, potrafić być piękną, byle rozum miała... Ale to panie mój słodyczy pełny, — to heroina...

Pij małmazyę, cale niezła, jak na Szlązku — niczego...

To heroina — kończył Bochwicz... to żołnierz, panie, to rycerz, to *hic mulier*, to umysł niezłomny, to duch mężny... to dziś jedyny król nasz... bo co się tyczy króla Jmości, pacierze mówi *profectissime*, płacze — *arte*, umizga się choć stary... *cum libidine*, co się tyczy rządzenia... na tém się tak rozumie, bracie mój perłowy, jak ja na motkach i przędzy... W polu jako żołnierz, nic mu nie można zadać, idzie się bić jak na obiad, pierwszy na przedzie, ostatni z pola — a co mi po tém kiedy w nim hetmana nie mam...

Rychléjby nim była królowa...

— Panie chorąży — przerwał Pełka — wielkim jesteście wielbicielem pani naszéj, czemu się

nie dziwuję, — lecz w niczémby przesadzać nie trzeba...

— Rychléj za mało niż za wiele się rzekło — aniele rubinowy — odzwał się Bochwicz — trzeba ją znać i widzieć, aby ją osądzić, więcéj warta od hetmanów... ale co poradzi z takim najezcigodniejszym panem naszym, który ani księdzem, ani mężem, ani wodzem, ani królem, nie umiał nigdy być... tylko męczennikiem. Męczennika kości w relikwiarzu szanuję i całuję, a co mi po żywym?

Pili tedy małmazyę na zabicie smutku... Bochwicz jednak posłać sobie kazał siana i nie napastując zbytnio towarzysza dał mu dobranoc, kazawszy się zbudzić gdy rozednieje...

Nazajutrz rano nie miał już po co na zamek iść Pełka, gdyż go z obowiązku tego zwolniono, odpowiedź królewską niósł mu Bochwicz, a ta zawartą była w krótkich słowach — aby się Kraków nie poddawał, trwał i bronił do ostatka w nadziei odsieczy, któréj terminu oznaczyć nie mógł król, lecz w Bogu miał ufność, iż prędko nadejdzie...

O białym dniu dosiedli obaj koni... Lejbuś także niewiele skorzystawszy z wycieczki na Szlązk, bo czasu nie miał na żaden handel, powracał z nimi...

Droga tym razem była znacznie łatwiejsza jako przebyta, znana i osłuchana, bo o niéj wiele dowiedzieć się mogli od tych, co na dwór króla przybywali.

Do granicy też mogli wcale się nie kryjąc i nie strzegąc jechać, bo tu niebezpieczeństwa żadnego nie było. Drugiego dnia dopiero wjechawszy w granicę Rzeczypospolitéj, odzież wypadło zmienić, o uboczne trakty rozpytywać i na Żydka się spuszczać, który najwięcéj miał zdolności do przekradania się wszędzie...

Szwedów tak rychło się jeszcze spotkać nie spodziewali... O oddziałach ich tu i owdzie chodziły posłuchy, lecz rozsypanych uniknąć było można.

Jakkolwiek nocami bezksiężycowemi w téj porze roku, podróż była i niemiła i najtrudniejsza, musieli ją w większéj części odbywać rankami i wieczorami, a we dnie spoczywać. Tak Lejbuś postanowił i okazało się to skuteczném, gdyż w okolice Krakowa przybyli nieposzlakowani i cali.

Tu już nadzwyczajnych trzeba było ostrożności. Bochwicz wchodząc w myśl danych mu rozkazów, wnosił, iż należało się im rozdzielić, a pojedynczo próbować szczęścia, by choć jeden mógł się przekraść. We dwóch bowiem razem jadąc, pochwyceni obaj być mogli.

Chorąży znał nieźle krakowskie, nieraz tam bowiem przebywał. Na ostatnim noclegu, ubawiwszy towarzysza niewyczerpaną gadaniną swą — zapowiedział, że ztąd puści się już sam na szczęście i rozum własny rachując.

— A ty rycerzu mój frasobliwy — odezwał się do Pełki — ruszaj z Żydem drogą jaką wiesz,

i niech ci Bóg szczęści. Który z nas pierwszy u celu stanie... pomodli się, jeśli nie za duszę, to za grzeszne ciało pozostałego w rękach ciurów szwedzkich socyusza...

Bochwicz miał tu znajomych parę domów szlacheckich i wyboczył zaraz ku nim, przybrawszy postać niepozorną, a nawet gotów udawać Gustawowego partyzanta.

Pełka z Lejbusiem rachowali na swe passy szwedzkie, i po naradzie postanowili zajechać najprzód do Hożéj Wólki do Snarskiego, zkąd zostawiwszy konie, pieszo się przekradać myśleli.

Nad wieczór już przybyli do znanego dworku. Jakiż był smutek i zdziwienie Pełki, gdy w bramie już prawie będąc postrzegł ze dworu pozostałe tylko zgliszcze i sterczące węgły niedopalone...

Stary żebrak wlokący się gościńcem, powiedział im, że Snarskiego Szwedzi za to ubili, iż nic u niego nie znaleźli, bo go wprzódy już drudzy ze szczętem obrabowali... Trochę w bok był drugi folwarczek i dwór, do którego już nocą się dostali — ale ten pustką stał, bo się z niego wyniósł dziedzic kołkiem drzwi podparłszy... Szwedzi go jeszcze nie spalili, znać tylko było, iż tu już niejeden raz gościli, i odrywając podłogi, rozbijając mury, grzebiąc się w lochach szukali zakopanych skarbów. Blizko stojąca kapliczka, złupiona także, otworem stojąca, snadź za stajnię służyła... bo po koniach i żołnierstwie ślady w niéj zostały...

We dworze nanieciwszy ognia w pustéj izbie bez okien, w któréj się tylko okiennice jakoś zachowały, przedrzemali noc do ranka. Ztąd już na szopę mieli iść, konie porzucić i następnéj nocy do Krakowa się próbować przedzierać...

Dotąd po myśli jeszcze szło prawie wszystko... Wstawali właśnie ze słomy mokréj, na któréj przeleżeli noc tę, gdy Lejbuś przyłożywszy ucho do ściany, dał znak Pełce, ażeby się przyczaił i mówić przestał... Szelest jakiś i stąpanie podejrzane dawało się słyszeć przy domu... Lejbuś zamierzał już jedną z okiennic otworzyć i rzucić się w pole i zarośla pieszo... gdy szczęk oręża dał się słyszeć pod oknami, a tuż z zapaloną żagwią weszło cztérech żołnierzy do pierwszéj izby, szukając schronionych, których stojące pod szopką konie zdradziły...

Był to objazd szwedzki. Towarzyszył mu na tłómacza snadź wzięty Żydek niepoczesny... Uchodzić ani była pora, ani téż bezpiecznie, aby się nie dawać w podejrzenie. Lejbuś nadrabiając miną i wcale niby niestrwożony, na zapytanie żołnierzy — wydobył swedzkie passy...

Obejrzano je starannie, lecz starszy zawyrokował, że z niemi do pułkownika udać się należało... Pełka miał na myśli wybić się im, lecz na czterech dobrze zbrojnych, sam jeden nie czuł się na siłach, a na towarzysza wcale liczyć nie śmiał.

Lejbuś zaś sądził, że po nocy gdzie w gąszczach potrafią się wymknąć.

Położenie było rozpaczliwe. Żołnierze rozbroili najprzód Pełkę, odbierając mu tulich, pistolet i nóż zapaśny, którym się mógł bronić; Lejbusiowi odebrali tylko pieniądze... Pozwolono im koni własnych dosiąść i otoczonych wiedziono...

Pełka czuł się zgubionym, cud go mógł chyba ocalić... W lesie dębowym Lejbuś próbował się z konia ześliznąć, jak gdyby padł wypadkiem, pochwycono go natychmiast i ręce dla bezpieczeństwa związano... Medard jechał straciwszy nadzieję wszelką...

Manowcami i ścieżynami dociągnęli tak do obozu. Tu żołnierze postawili ich pod namiotem pułkownika i czekać kazali. Nierychło nareszcie wprowadzono do tego, który o ich losie miał rozstrzygać.

Opasły człek w kapeluszu z piórami, w butach szerokich, obwinięty szarfą, narzucony płaszczem, siedział nad kuflem grzanego wina i ziewał. Za nim stał szlachcic, który mu po łacinie miał odpowiedzi tłómaczyć. Poczęło się badanie... Choć Pełka miał czas do namysłu, w jaki sposób odpowiadać będzie, nie wynalazł nic na swą obronę prawdopodobnego. Tłómaczył się, iż jest podróżnym, który mając brata w wojsku komputowém do niego się przebierał...

W tego brata pan pułkownik widocznie wierzyć nie chciał, dowodząc, że tu się wszyscy braćmi zowią, a godzą tylko na zdradę protektora Rzeczypospolitéj J. K. Mości Karola Gustawa... Zbywszy się tak summaryjnie Pełki, ktory téż miał wstręt do długich tłómaczeń, obrócił się do Lejbusia, w którym łacno poznał Izraelitę, i z góry zapowiedział, że wszyscy Żydzi wisieć powinni. Lejbuś tłómaczył mu łamaną niemczyzną, że zajmuje się handlem, kupuje, sprzedaje i posługuje Szwedom, a króla Gustawa ma w najosobliwszéj estymie... Dodał zaraz skargę natarczywą na żołnierzy, iż jemu i towarzyszowi pieniądze odebrali.

Szwed o pieniądzach słyszeć nawet nie chciał, machnął ręką — ale tłómaczenie zdawało mu się naciągane i nieprawdopodobne, bo Szwedzi wszystko rabując, nic kupować nie potrzebowali.

Obudwóch podejrzywano, że byli szpiegami króla Kazimierza. Pełka próbował po łacinie sam i przez szlachcica służącego za tłómacza przemówić do pułkownika — który słuchać już nie chciał. Bez ogródki wyraził się, że obudwóch należało powiesić.

— Mogą być niewinni, mruknął do szlachcica — ale któż dojdzie czy niemieli złych zamiarów? Wojna ma swe prawa: lepiéj dziesięciu niewinnych pozbyć się, niż jednego winnego i szkodliwego puścić.

Szlachcic zaprotestował i począł prosić. Pułkownik milczał bębniąc palcami po stole, a potém powtórzył swoje:

— Najbezpieczniéj powiesić!

Wreszcie po długich mankamentach z upartym, flegmatycznym a dzikim żołnierzem, który mało co mówił — udało się wyjednać zatrzymanie więźniów pod strażą.

— Trzymać więźniów czasu wojny! głupia rzecz — rzekł pułkownik! pilnować jeszcze trzeba i karmić... a tak...

Lejbuś przypomniał, iż na przekarmienie mieli własne pieniądze, które zasekwestrowano; rozgniewało to niepomału pułkownika, który w stół pięścią uderzył, dowodząc ograniczonemu Izraelicie, że pieniędzy nie miał kiedy mu je zabrano.

Naburczawszy długo, wstał wreszcie, zawołał kaprala i odezwał się, aby obudwóch do taczek wzięto, gdzie i tak dosyć naspędzanych ludzi około aproszów pracowało...

Nie można z nim było rozprawiać...

Pełka wyszedł zadumany — zamknięty w sobie, niebardzo wiedząc co pocznie. Lejbusiowi oczy połyskiwały już nadzieją — z rydlem w ręku pod murami! był pewien, że sobie jakoś radę dadzą...

* * *

Można sobie wystawić nieszczęśliwego Pełkę pędzonego z chłopstwem razem do roboty... Na owe czasy straszniejsza to była, więcéj upokarzająca kara dla szlachcica, niżeli sama śmierć... Wolałby był pewnie w polu zgon z bronią w ręku... Bezbronnemu pędzonym być tak... nie módz podnieść oczu... zostać na łasce wroga... równało się hakowi i palom tureckim. Przeklinał dzień i godzinę, gdy w tę nieszczęśliwą podróż wyruszył...

Szli tak obaj ze spuszczonemi głowami, a Żydek go po cichu pocieszał i żartował... gdy z boku, z pod namiotu szwedzkiego ozwał się jakiś głos — niby znany.

— Miły Jezu! czy mnie oczy mylą... Medard Pełka...

Odwrócił się powołany i zdumiał widząc pana Żołudka, który z innymi kilku stał poufale w namiocie u Szweda, jak gdyby u siebie w domu.

Świnarski, który też tu był, poskoczył ku Medardowi i żołnierzom, wołając:

— Co się dzieje! gdzie waszmości złapano? czyś do niewoli się dostał?

— Wcale nie — odparł Pełka miarkując, że ma do czynienia z tymi, co z wojskiem hetmańskiém przeszli do Szwedów — jechałem spokojnie do domu, gdy mnie ani zacz, ani przecz zatrzymano i ujęto...

Spojrzeli po sobie.

— Dziwujecie się mnie, mówił Pełka, ale i ja zaprawdę wam: co w cudzym obozie czynić pod tę porę możecie?

— Zachciałeś! te rzeczy się wyeksplikują łatwo, byleby najprzód asindzieja z ich pazurów uwolnić — zawołał Świnarski; bo z nimi nie ma co żartować...

Zawrócił się tedy do namiotu, a Żydek przypomniał zaraz Pełce, żeby go téż na sztychu nie zostawił.

Wyszedł drugi pułkownik z namiotu, i jął żołnierzów rozpytywać co za jednych, za co i zkąd prowadzili? Na co snadź odpowiedź otrzymał, iż im go ów pierwszy pułkownik oddał. Zatrzymano więźniów i posłano do opasłego z zapytaniem, bo się Świnarski z Żołudkiem mocno ujęli za Pełkę, i za to, że niewinnych po drogach łapią szlachtę, przez co ją wszystką od króla Gustawa odstręczą.

Zły bardzo przyszedł ów flegmatyk, który wieszać chciał, a teraz żałował bardzo, że tego nie dopełnił zaraz, bo rzecz byłaby skończona, i od razuby się zbył kłopotu. Poczęli się Szwedzi między sobą ujadać i w oczy sobie pluć. Jeden dowodził, że miał słuszność, drugi mu zadawał, iż postąpił zbyt nierozważnie. Z tego sporu wynikło, iż więźniów na nowo do tómaczenia wzięto. Lecz tu już szło daleko łatwiéj, bo Świnarski i Żołudek za Medarda ręczyli, a Pełka Żyda przedstawiał jako sługę i przewodnika... Drugi ów pułko-

wnik, snadź daleko większy polityk, natychmiast przeprosiwszy jeszcze Pełkę, uwolnić go kazał razem ze sługą, przedstawiając mu tylko, że się niepotrzebnie narażał, zbliżając do oblężonego miasta, w którego okolicach wszyscy być musieli podejrzanymi...

Lejbuś skorzystał z tych usposobień pułkownika, upominając się o konie i o worki. Z tém było nieskończenie trudniéj, żołnierze od Annasza do do Kaifasza odsyłali, oburzając się na to, iż śmiano od nich żądać zwrotu pieniędzy, ani téż było podobna dośledzić, kto konie zabrał i pieniądze sobie przywłaszczył. Sam pułkownik, człek dosyć grzeczny i dobréj woli, śmiejąc się dowodził, iż co raz w ręce żołnierzom wpadło, tego i sam król Gustawby nie potrafił im odebrać.

Pełka, przy którym nieco grosza niepostrzeżonego zostało, dał znak Lejbusiowi, ażeby dał pokój, i tak się to skończyło. Świnarski i Żołudek, którzy mieli dla bezpieczeństwa poprzypinane szwedzkie kokardy, postarali się o podobne dla swych towarzyszów, i zabrawszy ich, oznajmili, że ich zaprowadzą z sobą do kwatery obozowéj komputowych, od których właśnie przybyło poselstwo układać się o żołd...

Nie w smak to szło Pełce — lecz musiał zmilczeć, obiecując sobie przy pierwszéj zręczności z rąk im pierzchnąć, a tymczasem przypatrzyć się co się téż i tu święciło... Poszli więc przez obóz

się przedzierając, bez przeszkody ze strony Szwedów, którzy już do tego kumania się z żołnierzem i szlachtą polską byli nawykli. Namiot dla panów deputatów, do których się Świnarski i Żołudek przyplątali racźej dla reprezentacyi i liczby niż z potrzeby, stał około wittembergowego... Ztąd musieli codzień chodzić do kwatery królewskiéj do Bożego Ciała, dla umów, które szły ciężko. Wprawdzie ofiarował się Gustaw uczynić co chcieli, a poił i karmił jak nie można było lepiéj, lecz gdy przyszło do porachunków i pieniędzy, z temi się niechętnie rozstawał... Dni upływały na likwidacyach... a deputaci wojskowi patrzeć musieli na ów biedny Kraków burzony i męczony — aż się im serce ściskało.

Stanąwszy w kwaterze, Pełka zastał tu zgromadzenie liczne, twarze znane i nieznajome, pełne buty i nadstawne... ale w usposobieniach jakich się nigdy nie spodziewał...

Właśnie pora była śniadać i stół pod namiotem ladajako sklecony opatrywano. . . Dostatku wielkiego nie było, a po żołniersku się zbierano głód zaspokoić. Każdy niósł ze swojego kąta co miał; ten kiełbasy, ten wędzonkę, bigos, chleb, wódkę, wino. Wzdychali niebożęta, przypominając domowe wczasy, kiedy wszystkiego mieli poddostatkiem, a tu i za największe pieniądze czasem nic dostać nie było można. Rozpamiętywano owe pie-

czenie z rożna i zawiesiste kapłony, o których tu nikt nie słyszał, chyba na dworze króla JMci.

Wśród tych lamentów żołądkowych, poczęli się też Pełki rozpytywać zkąd i dokąd jeździł, na co im zmyśloną bajkę opowiadać musiał. Na sercu mu słuchając mów tutejszych ciężko było, wszyscy już bowiem zgadzając się niby z przeznaczeniem, chwalili sobie poddanie się Szwedowi.

— Niepotrzebnie, mówił Świnarski, upiera się pan Czarniecki: szkoda miasta i ludzi; kraj cały wziął, cóż się tu jednemu grodowi bronić? Taka była wola boża... A nie będzie nam pewnie gorzéj za jednego Szweda, niż było za drugiego, bo już gorzéj niż za tamtego być nie może...

Pełka się coś z cicha ozwał, że się fortuna odmienić jeszcze może...

— Jakim sposobem? podchwycił Żołudek już nawrócony tu zupełnie. *Ex nihilo nihil*, król już za sobą nie ma nikogo, oprócz Krakowa, który lada chwila musi paść.

— Ależ mu odsiecz obiecują.

— Gruszki na wierzbie! zkąd ją wezmą! zawołał inny z boku. Czegoż u licha zresztą nam trzeba? ten mocny jest i obronić nas potrafi — ład zaprowadzi... Religię zachować i wszelkie prawa uroczyście przyrzeka.

— A no, konie po kościołach trzymają — szepnął Pełka.

— Toć ten czas wojenny przejdzie — dodał Żołudek — trudno było w pierwszym obcesie żołdactwo powstrzymać. Gdybyśmy się już wszyscy submitowali, byłby pokój jak należy, lecz że niektórzy brużdżą, wszyscy pokutują...

Słowem, jedno było słowo i zdanie: — święty pokój okupując poddawać się co rychléj, a króla niedołężnego opuścić. Nie było się co sprzeciwiać ani rozprawiać z nimi, tak uparcie przy swojém stali.

Stary niejaki pułkownik Obryski nawet religijnie dosyć dowodził, iż woli się bożéj sprzeciwiać nie godziło — a poddać się jéj raczéj w pokorze, gdyż nie co innego było jak dopust boży... a kara za grzechy...

Obiegała téż wieść po obozie, że Kraków był blizki poddania, i że trębaczów posyłał król Gustaw z ostateczném wezwaniem, po czém już szturm gwałtowny przypuścić miano. A nierozumem było na łupież tylu skarbów i świątyń się wystawiać, gdy je ocalić mogli. Dano téż znać do miasta o poselstwie od komputowych...

Chociaż nie tak dawno się był Pełka oddalił, łatwo mu było z dala nawet patrząc na Kraków i mury przekonać, iż ruin przybyło i łatania około porozbijanych baszt i kortyn...

Nie wiedział o tém w Głogowie, iż król był Leszczyńskiego, wojewodę łęczyckiego, posłał do traktowania z Gustawem. Mówiono téż, że od kilku

dni w mieście pod gradem kul i w nieustannem znużeniu wszyscy domagali się poddania, nawet ci, co wprzód twardo przy obronie stali.

Słowem, w obozie potęga Gustawowska tak się już przedstawiała groźną, że ani pomyśleć było można, aby się jéj opierać... Gorętsi wreszcie klęską hetmana Potockiego, którego Chmiel rozpłoszył, dowodzili, iż nic nie pozostawało, tylko się garnąć pod opiekę Szweda...

Pełka nasłuchawszy się tych mów różnych, przeciw którym wierności dla króla stawić już nawet nie było sposobu, bo sobie Kazimierza bardzo lekceważono — posmutniał wielce... ani o sobie mógł myśleć co pocznie.

Tymczasem Lejbuś, który został po za namiotem ze służbą, miał czas z uporem poszkodowanego Izraelity, kieszeń mającego najmocniéj na sumieniu — wyszperać konie zabrane i wytoczyć sprawę o ich odzyskanie. Szkapy były niewiele warte, kulbak już ani śladu, na postronkach je im przyprowadzono, ale Żydek choć ten ochłap dostał napowrót... Około południa deputowani z całą komitywą poszli do króla i komisyi, która ich likwidowała, a Pełkę zostawili samego jednego pod namiotem... Znalazł się przy nim Lejbuś zaraz.

— Co pan myślisz? zapytał — dostaniemy się my napowrót do Krakowa...

— Ani już wiem czy jest po co karku nastawiać, rzekł zniechęcony wszystkiém co słyszał

Pełka... Pan Czarniecki nawet pono zwątpił, i myśli nie czekając na nic poddać się Szwedowi...

Jeszcze trwali na téj rozmowie, gdy trębacza ujrzeli u bramy Mikołajskiéj, i ruch znaczny, i ludzi od kasztelana idących z listami do Wittemberga, a zaraz odpowiedzi niosących, aż wkrótce z białą chorągwią i trębaczem ukazali się z miasta jadący do namiotu wittembergowego, starosta dynaburski Fromhold Wolff, starosta chęciński Branicki i wielkorządca krakowski Płaza, o których wątpić nie było można, iż ich Czarniecki posyłał...

Na ten widok Pełka skrył się już do namiotu, aby nie patrzeć...

Rozeszło się téż wnet przez służbę, że traktaty u Wittemberga spisywano... Czy się Bochwicz dostał do miasta, trudno było domyślić się -- a Pełce zdawało się, iż mu bądź co bądź trzeba tam było, aby słowo królewskie zaniósł.

Czuł się w sumieniu związanym.

W biały jednak dzień próżno łamał sobie głowę co pocznie. Po chwili zawołał Żyda na radę. Ten już bodaj wprzódy o tém myślał — a nie widział innego sposobu tylko zawczasu się pod mury podkraść za dnia, w jamie gdzie przeleżeć do nocy, a do furty po ciemku dolazłszy — dobyć się do środka... Nie było téż w czém wybierać... upatrzyć tylko musieli chwilę, gdy Szwedzi mniéj byli pilni, aby się wymknąć z namiotu...

Tego dnia mniéj to może trudno było, bo się już poddania spodziewano, z obu stron milczały działa, a żołdactwo odpoczywało i zabawiało się ciesząc tém, że wkrótce lepsze kwatery dostanie.

Więc niby się przechadzając a rozglądając, gdy im nikt drogi nie tamował, Pełka z towarzyszem, kołowali tak a szli w biały dzień, dybiąc na zręczność, gdy się do przekopu dostać będzie można... Lejbuś pierwszy skoczył, za nim poszedł Pełka, a gdy przyczajeni przekonali się, iż nikt ich nie goni, bo nikt nie dostrzegł, znaleźli kawał obalonego muru z blanków, za który zasunąwszy się... na ziemi pokładli czekając mroku. Byli niedaleko nawet téj samej furty w murze, którą na tę wyprawę wychodzili. Chociaż dzień w téj porze krótki, ale czekającym- on zawsze długim wydawać się musi — piekielnie téż wymęczyli się nieruchomi za gruzem leżąc.

Nareszcie zmierzchać zaczęło... i noc powoli zsunęła się na obóz milczący, na miasto nieszczęśliwe... Podnieśli się z ziemi skostnieli na pół, aby do furty się dobijać. Przy téj znowu snadź nikogo nie było blizko, aby pukanie posłyszał, głośniéj zaś stukać nie mogli, ażeby Szwedów nie rozbudzili, którym pod mur łatwo było przyskoczyć. Dobre pół godziny trwało owo szturmowanie, dopóki nareszcie z przeciwnéj strony nie usłyszano go; ale sądząc, iż to było zdradą swedzką i że ową furtę ubiedz chciano, nierychło się rozmówili...

Długo znów trwało traktowanie i eksplikacye, nim naostatek ostrożnie uchylono drzwi i Pełka się w nie mógł wcisnąć.

A był tak zmęczony i znękany tém wszystkiém, iż dostawszy się na drugą stronę, padł prawie osłabły, bo i znużenie, i głód, i zimno, i leżenie na ziemi wilgotnéj siły mu odebrały. Przecież się zaraz jakoś ocucił, a zażądał wnet iść do pana kasztelana... Niemal całe miasto miał do przejścia, aby się do niego dostać, a łatwo mu było spostrzedz tu, iż co w obozie rozpowiadano, wcale kłamliwém nie było... Już w ulicach tego ruchu i życia jak dawniéj, ani tych okrzyków było posłyszeć... miasto się zdawało wymarłe a prawie bezludne. Jak cienie chodzili ludzie wzdychając po murach, domy stały ciemne... w kościołach tylko jęczeli niektórzy po kątach śmierci już prosząc, tak im dwa te miesiące oblężenia srodze dojadły...

Bez spoczynku więc zdążał Pełka do klasztoru... Tu w dziedzińcu pełno było ludu ubogiego i różnego tłumu spierającego się już tylko jak rychło bramy otworzyć, aby się utrapienie raz skończyło. Dobijano się do kasztelana, aby go nękać i zmuszać do prędkiego poddania. W mieście z téj rozpaczy i głodu bezpieczeństwa nie było, w biały dzień odbijano sklepy, rabowano spiżarnie i piwnice... Bójki codzień zakrwawiały rynek... Nasłuchał się Medard i rozpowiadań, i żalów, i szlochu,

niżeli do izb trafił, gdzie na naradzie siedzieli przedniejsi z miasta, ani przerywać się ją godziło.

Stanął Pełka u drzwi przysłuchując się, bo tego nikomu nie broniono, i nie było tajno, że o traktaty chodziło. Sądził, iż kasztelan zobaczywszy go zawezwie i z poselstwa zdać sprawę każe, lecz siedzący za stołem Czarniecki oczu nawet na stronę nie zwrócił.

Oprócz Płazy, Branickiego i Wolffa, którzy do obozu jeździli, wezwany na radę był i ks. Starowolski, i dowódca zamkowy pan Krzysztof Rupniowski, wojski krakowski i wielu innych... a obracała się mowa nie około tego, czy się bronić? bo dłużéj wytrwać nie mogli, lecz o warunkach traktatów, aby je jak najlepsze otrzymać. Stał Czarniecki przy tém, ażeby siebie z wojskiem ze czcią i w całości wywieść, — drudzy o całość kościołów, pamiątek, praw i przywilejów przypominali... Wzdychali wszyscy do téj ostateczności przywiedzeni, jaka całą Rzeczpospolitą już ogarnęła...

W tym punkcie podniósł oczy kasztelan, a twarz Pełki mu się nawinęła, i wstał ręką go do siebie przyzywając...

— Choć waszmość tu — zawołał — a mów! Czekaliśmy na cię, co nam przynosisz? Widziałeś króla? co rozkazał.

Wszystkich oczy zwróciły się na występującego Medarda, którego twarz zbladła świadczyła o doznanych niewczasach...

— W samą porę przybywasz — dodał kasztelan... cóż król?

Zamilkli wszyscy.

— Nie przynoszę wam, panie kasztelanie, prędkiéj posiłków nadziei... to najgłówniejszy a najsmutniejszy poselstwa mojego owoc... Lecz nie poprzedził mnie nikt od króla wysłany?

— Dotąd nie widzieliśmy nikogo...

— Chorąży Bochwicz...

— Nie było go... rzekł ktoś z boku...

— Przepraszam, bo oto on jest, odezwał się głos z wysoka i przeciskając się przez zapierających mu drzwi, wszedł chorąży, poglądając na Pełkę... Pokłonił się zgromadzeniu.

— Obaśmy z panem Pełką jednego dnia wyprawieni i z jedném, więc którykolwiek z nas zda sprawę — toż samo powie. Zaklina król i królowa Jmość, ażeby się miasto trzymało... Leszczyńskiego posłano z Gustawem traktować...

— Dobra rzecz z dala powiedzieć: nie poddawajcie się — przerwał Płaza — ani my téż po dobréj woli tegobyśmy nie uczynili, i dla sromu i dla szkody... a no, spójrzcie do prochowni i cekauzów, i do spiżarni, i tam gdzie biedny lud wodą a sucharem skołatane życie utrzymuje... popatrzcie na murów ruiny, a jeśli naówczas powtórzycie jeszcze: — nie poddawajcie się... chyba serca nie będziecie mieli.

— I rozumu! krzyknął gwałtownie jeden ze szlachty, co się w wielkiéj liczbie do Krakowa schroniła. Całą Rzeczpospolitą mają w ręku, poddało się co żyło, a Kraków chcą Kartaginą uczynić... Przecieby go jak relikwię po Krakach i Lechach zaszanować należało... Niechby Warszawkę zajęli... nic się jéj nie stanie, choć szturmem zdobędą, bo tam znowu grzybów narośnie... a naszych murów nie podniesie nikt... gdy raz padną.

— Co mi kazano rzec, mówił spokojnie chorąży, to waszmościom, miłym panom a braciom w niedoli, przynoszę, a świadczę się panem Pełką, który téż życie jak ja stawił, aby tu z tém przyjść, iż to, a nie co innego mówiła królowa Jejmość i król sam...

Gdyby z największemi ofiarami trzymać się było można — największe ofiary nie będą stracone, bo Kraków trzymając się drugim doda tego ducha, którego wszyscy stracili... i może się od niego począć znowu szczęście odmienne...

Czarniecki popatrzał nań... ale nie odpowiedział nic — rwali się inni... odezwał Rupniewski:

— Zamku i grobów królewskich poszanować trzeba... godzi się... obowiązek... Jeśli go wezmą szturmem... zburzą wszystko, a wezmą go niezawodnie, głodny się żołnierz nie bije...

— I to zważcie — dodał Starowolski, że ten głód i nędza, i zwątpienie, przywiodły do ślepéj rozpaczy, do bezładu i bezprawia, a gorszy to

stokroć nieprzyjaciel od Gustawa, wścieklizna zaraźliwa, co porządek obala, nie szanuje noc i zwierzętami nas czyni... i burzy... aby gdy ino ginie, nic nie zostało...

— Nocą ani dniem nie ma bezpieczeństwa, mówił Płaza... hultaje ulicami się włóczą, nikt życia, nikt mienia niepewien . . . zaprawdę czas jedno z dwojga, albo ginąć, lub coś począć.

Wstał po tych słowach kasztelan i zbliżył się do Bochwicza i Pełki.

— Jakież nadzieje? co za wiadomości przynosicie?..

Bochwicz się wyrwał. Nadzieję mamy na cesarzu, na królu duńskim, na Ordzie, ba! i na kozakach, którzy rozum mieć powinni, naostatek na wojsku naszém własném, do którego posłała królowa, aby się upamiętało...

— Wszystko to na miesiące liczyć trzeba — westchnął Czarniecki, — a tu jutro nam zabraknie chleba, soli i prochu...

Pełka ustąpił nieco... Przybliżył się doń klepiąc go po ramieniu Czarniecki.

— Rad jestem, że mi wróciłeś cało...

— Mało wszakże brakło — odparł Pełka, — bym cale nie powrócił, bo mnie dziś z rana Szwedzi chwycili, i winienem komputowym tylko... żem się wyrwał od stryczka i taczek...

— Bogu niech będą dzięki! westchnął kasztelan...

— Mnie się też szczęściło — rzekł Bochwicz— bom się dziś też po szwedzkich chodząc rękach, aż do Wittemberga dostał, a ten mnie snadź dla tego nie zjadł, żem chudy, i uczepiwszy się parlamentarzów, wszedłem do miasta... jakbym do tego wszelkie miał prawo... Szwedzi nas już tak lekceważą, że się i niebardzo pilnują.

Narady toczyły się daléj, a że do nich pomocą żadną być nie mógł Pełka, zabierał się odchodzić, któremu Bochwicz, jako dobry towarzysz, zaszedł drogę wpraszając się w gościnę.

Razem tedy szukać Rożańskiego poczęli, którego napytać nigdzie nie mogli. Żydek się dopiero dowiedział, iż od trzech dni ranny, doma siedzieć musiał. Szli więc na Floryańską ulicę...

Wacek na tapczanie z przewiązaną ręką kawęczał, otrzymawszy postrzał od Szweda, a że mu tęskno było snadź samemu, litościwą znalazł duszyczkę, która go opatrywała... Tu zaledwie się goście w progu ukazali, co najprędzéj uszła, wstydząc się pewnie swojego miłosierdzia nad żołnierzem... Zerwał się Rożański witać towarzysza, gdy razem z nim Bochwicz się ukazał.

Stary żołnierz i dworak umiał wszędzie być niezawadnym . . . a prędko się bardzo poznawał i spowiadał. . .

Pożartowawszy nieco z Wacka, iż się cyrulikowi takiemu dał opatrywać, który go na niebezpieczniejszą ranę serdeczną mógł narazić, wziął się

Bochwicz do ręki, bo był na rany *expers,* i miał rozliczne sposoby na nie... Posłano potém po wino, bo tego jeszcze w Krakowie podostatkiem było, aby się nieco pokrzepić... a Bochwicz i o przekąskę się przymówił, o którą trudniéj było... Chleba tylko, czosnku, cebuli i warzyw dostać było można.

Biesiadowali więc z postem, ale jak na te czasy bardzo stósownie — a gdy nadeszła noc, pokładli się pokotem na spoczynek. A choć nieopodal od murów mogli zasnąć, bo strzelania już nie było... Miasto się sposobiło do przyjęcia Szwedów. Mieli już ustaloną tak sławę, że kto żyw po piwnicach, lochach, ogrodach zakopywał droższe sprzęty, inni je wmurowywali w ściany, lub do zakrystyi i skarbców kościelnych oddawali, sądząc, że te będą poszanowane.

Nazajutrz przybył do miasta Schlipenbach młody, którego król w zastaw przysyłał, chcąc się z panem Czarnieckim rozmówić sam, a kasztelan kijowski nie biorąc zastawu, na słowo królewskie pojechał. Miarkowali tedy wszyscy, że nieodmiennie do poddania się przyjść musiało... Jakoż traktaty podpisane były, choć o tém nie głoszono po mieście. I ci, co wczoraj jeszcze domagali się poddania i pokoju... teraz omal nad nim nie płakali, bo dopiero się postrzegli i rozsłuchali, że zamiast obiecywanéj spokojności, inną tylko troskę i nie większe sobie kupią bezpieczeństwo...

Rożański z Pełką, obaj młodzi, rozpaczali niemal, Bochwicz był dobréj myśli, a wesołość go nie opuszczała.

— Mili panowie moi, karmazyny wy kochane, mówił do nich... wierzcie mi, że to jeszcze nie ostatek, i że inne a cale różne rzeczy widzieć będą oczy nasze... Wierzę naprzód w Pana Boga, dla którego niepodobieństwa nie ma, a potém w królową jejmość, która ducha nie straci, ani się zapłacze, ani spocznie... Dajmy się Szwedowi rozprzestrzenić, rozsiąść, rozsypać, niech jak najwięcéj bierze, aby nic utrzymać nie mógł.

Wierzę téż, dodał, panu Czarnieckiemu, który nie mówi nic, nie obiecuje wiele, lecz uczyni coś, bo wyjdzie cały, a to jedyny u nas człek, który ma przy rękach głowę, a przy głowie ręce...

Dnia tego poszedł Pełka do kasztelana i znalazł go samego stojącego w oknie a zdającego się rozmyślać.

— Dziecko moje, rzekł smutnie postrzegłszy go — zapakujcie węzełki a bądźcie gotowi... wyjdziemy cało i pod rozwitemi chorągwiami z Krakowa... Wyjdziemy ze czcią i niezwyciężeni, ale zmożeni siłą i głodem... Czyni się to dla Rzeczypospolitéj — a Bóg mi świadek...

Tu wskazał mu krzyż wiszący na ścianie: — Niech on sądzi, żem nie o sobie myślał i nie siebie ratował uchodząc ztąd... Aliści usłyszycie, — powiedzą wam... i będą ludzie powtarzali: żem

przekupiony, zyskany, żem zdrajca i niecnota... A niech to będzie na większą chwałę Tego, który cierpiał urąganie na krzyżu...

Wiem co mnie czeka, kończył wzdychając... ani się bronić będę, aui rzeknę słowa... Bóg osądzi, gdy krzykacze ostygną, gdy passye ochłodną, gdy ból przeminie...

Zakręcił wąsa... rana w twarzy zaczerwieniła mu się, jakby krew znowu wytrysnąć z niéj miała...

Wyszedł Pełka milczący...

W ulicach stali ludzie kupkami, słychać było rozmowy głośne...

— Było po co nas głodem morzyć — mówił żołnierz do mieszczanina — a skąpić jadła, aby Szwedom chleba zostawić...

— Szeregowi i hołota a lud ucierpieli najwięcéj, dodał drugi; im ze wszystkiego korzyść. Wyjdzie pan Czerniecki możniejszym niż był, nabrawszy po kościołach dosyć sreber, a które sobie na pieniądze przebić kazał... a biedota poginie...

— I Gustaw mu jeszcze zapłaci...

— Albo to nie do jego sakiew poszło co żołnierze porabowali?..

Wzdrygnął się Pełka słuchając... a szedł prędzéj, aby więcéj mu do uszu nie doszło, i przekonał się, że miał słuszność Czarniecki, który te sądy przewidział, bo ludzi znał...

Już tego dnia rozpowiadano, że Szwedzi na zamek szli oglądać dla króla mieszkanie, a najprzód

się do skarbca dobierali, w którym pustki i papiery tylko a zardzewiałe żelaztwo stare znaleźli, bo resztę był Lubomirski uwiózł i ocalił...

Drugiego dnia rano, wojsku się wcześnie zgromadzić kazano... ludu ciżba na ulice milcząco wypłynęła... Dwie bramy już zajmowali Szwedzi. W rynku się uszykował Wolff z gwardyą królewską... z rozwiniętemi chorągwiami, z muzyką i bębnami... i Gąsiewski, i Wąsowicz... i Czarniecki wyjechał na arabskim koniu, nie jako zwyciężony a kryjący się wódz, który się sroma tego co czyni, ale niemal jako zwycięzca. Tu go przed ratuszem rada i mieszczanie żegnali smutni... acz sami chcieli i domagali się, aby ich Szwedom oddał...

Ruszyło się tedy wszystko co było wojska w wielkiéj paradzie i poprzybierane jak na uroczystość jaką... Szedł Wolff przodem z chorągwią, z muzyką, żołnierze flinty i spisy na ramionach niosąc... którym w bramach się Szwedzi kłaniali i uśmiechali, i na słowach z obu stron nie zbywało... Daléj postępował Gąsiewski z hajdukami sandomirskimi, ze strzelbami w borsuczych pokrowcach, i trzynaście chorągwi dragonii konnéj z Wąsowiczem i Tetwenem, żołnierzem starym i doświadczonym, krórego Czarniecki nie dałby za innych trzydzieści, wreszcie przeszło pół tysiąca huzarów, a za nimi kasztelan sam, na koniu pod rzędem sutym, dywdykiem złocistym, w delii ponsowéj z futrem...

Przeprowadzono go oczyma... aż im za bramami zniknął...

Świadkiem téj uroczystości żałobnéj, choć się ona purpurą okrywała, był oprócz Bochwicza, i kasztelan sochaczewski Adam Brochowski, którego król był wysłał dobrze wprzód nim Pełka i on wyjechali. Ten się spóźnił dla niebezpiecznych dróg, lecz gdyby i wcześniéj nadążył, nicby nie uczynił, bo Gustaw już o żadnych układach słuchać nie chciał, a zdawało mu się, iż Rzeczpospolitą zawojował...

Tak dostało się panu Medardowi Pełce być świadkiem najsmutniejszego upadku dawnéj stolicy i jakby ostatniéj zaguby... Rozmyślali więc z Różańskim obaj co z sobą poczynać, bo im się w wojsku na kilka miesięcy bezczynności skazanym pozostać nie chciało, a że wszystko było w ręku Gustawa, przewidywać zdawało się łatwo, iż i rycerstwo się pod jego rozkazy, w jego służbę dostanie.

Chciał Pełka do Gołczwi powracać, zwłaszcza, że od matki i siostry nie miał wiadomości, a pod te czasy zawichrzone wszelkiego nieszczęścia obawiać się było można. Postanowili tedy obaj do domów jechać za pozwoleniem kasztelana. Tego jednak dnia dostąpić doń nie było można, bo go król Gustaw ujmując sobie wziął do siebie i gościł. Dopiero gdy Szwedzi zamek zajęli, gdzie zwycięzca hołd od wszystkich przyjmował, Czarniecki

do wojska powrócił, które ku Siewierzowi ciągnąć i tam na słowie dwa miesiące stać miało...

Wiedzieli o tém wszyscy i szlachty się siła do domu zbierała. Poszli tedy z innymi Pełka i Różański do kwatery Czarnieckiego, gdzie jak zawsze łatwo ich przypuszczono.

Postrzegłszy Pełkę — kasztelan się odezwał:

— Już mi się waszmość tylko niewypraszaj, bo nie puszczę...

— Właśnie z tém przyszedłem... bo matka stara w domu, a w Lubelskiém téż nie bardzo po dworach bezpiecznie — choćbym dobiegł nogi jéj ucałować... Cóż przez dwa miesiące w Siewierzu robić będziemy?

— A któż waszmości zaręczył za dwa miesiące? spytał kasztelan.

— Tak mówią powszechnie — rzekł Pełka.

— I tak stoi na papierze, przecież nie wszystko co się pisze, przyszłość jako oblig wypłaca...

Zobaczymy co będzie — *Deus providebit.*

Jedźcie waszmość zresztą — dodał kasztelan po namyśle, — wziąwszy pasporta pod pieczęcią z kancelaryi, aby was po drogach nie nagabywano — ale bawcie niedługo, bo godów i tak nie doczekalibyście doma, a kto wie co wypaść może... i gdzie ręce będą potrzebne. Nie zawsze jedna bywa pogoda...

Tak pożegnawszy Czarnieckiego, który im jeszcze naukę dał na drogę, wybrali się obaj, jeden do

Gołczwi, drugi do rodzica do Trąbek, majętność którą mieli około Ogrodzieńca, gdzie pono jeszcze Szwedów dotąd nie było. A gdy przyszło się rozstawać i żegnać — Rożański zaklął przyjaciela na drużbę, jaką sobie przyrzekli, aby drogę obrócił przez Trąbki i u niego wypoczął, chociażby przyszło nałożyć.

Pragnął Pełka co najprędzéj matkę i siostrę zobaczyć, i nierad był chwili stracić, ale i Wackowi trudno się zdawało odmawiać, zwłaszcza, że nalegał tak jakby o życie szło. Pełka téż rad był okolice poznać i ludzi, a po tylu tarapatach przez jakie przechodził, choć dzień jaki spocząć, nie tyle dla siebie co dla koni, które się w Krakowie na ważonym owsie ze stęchłą sieczką przymizerowały, choć Medard sobie od gęby odejmując, sułtana często chlebem karmił, a poczciwy Gabryk odkradał drugim, byle faworytowi na niczém nie zbywało. Dwa miesiące postu jednak dobrze na bokach jego znać było.

Obaj z Rożańskim byli téj myśli, że jeżeliby się Szwed, jak naówczas się zdawało, utrzymał w Rzeczypospolitéj, nierychło powracać do rycerskiego rzemiosła, dopókiby sprawy się nie wyklarowały i nie uspokoiły umysły. Była bowiem zawierucha niemała, zwłaszcza z téj strony, o któréj dawno słychać nie było, to jest od Aryan, Anabaptystów i wszelkiego wyznania nowego ludzi, choć ci byli już od dwóch panowań prawie ucichli. Zabierali się

oni poprawiać swych spraw i z pomocą Szweda katolikom przewodzić, i oni téż najgoręcéj Gustawa popierali a sławę jego głosili.

Ruszyli byli w drogę po młodemu dwaj przyjaciele, dosyć dobréj myśli a nadziei będąc, że się wszystko przemieni, że szwedzkie szczęście się przesilić musi i lepsze czasy powrócą. Ma to do siebie młodość, iż w największém utrapieniu nie rozpacza, a ze smutkiem długo żyć nie umie. Obaj więc wzajem dodając sobie serca puścili się w drogę, jakoś nad wieczorem. Rożański znający okolicę lepiéj daleko od Pełki, wziął na siebie popasy i noclegi wybierać, i gospody obmyślać. Innych téż nie mogło być dla nich nad dwory panów braci, bo krom Żyda i wieśniaka albo obcego człowieka, nikt do karczmy nie zajeżdżał — a byłoby despektem dla dziedzica, gdyby mu szlachcic podróżny zamiast do niego nawrócić, Żydowi się pokłonił o gościnę. Na pierwszy nocleg przypadała im Malinowa, wieś Jmpanów Zagórskich, ludzi możnych, dwóch braci nieżonatych, przy których trzy siostry ich mieszkały...

W jednéj bodaj z nich bałamut Rożański, który co miesiąc do kogo innego wzdychał — miał się kochać — i to go tu może ciągnęło. Pełka zaś, że u podczaszynéj o tych Zagórskich styszał, bo byli jéj powinowatymi, ciekawy był téż domu, a może, jak to młodemu nie nowina, wesołych panien także. Zachwalał mu je Wacek, że drugich takich raźnych

dziewcząt w całéj Polsce nie ma. Dobrze zmierzchało gdy do Malinowéj się zbliżyli. Dwór był staroświecki ogromny, snadź zamożny i zaopatrzony dobrze... i w służbę obfitujący, bo się jéj kręciło w podwórzu siła... Lecz jakże niemile rażony został Pełka, w chwili, gdy już z konia zsiadał i cofać się nie mógł, postrzegając ludzi i powozy podczaszynéj.

Tuż na spotkanie ich wyszli byli obaj Zagórscy — a rzucili się na Wacka z wielkiemi oświadczeniami przyjaźni, Pełka więc dziwaczyć nie mógł i od baby uciekać... choć przewidywał, że spotkanie to z kobietą, która mu zemstę przysięgła, wcale miłém być się nie obiecywało.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.